

PROWINCJA

KWARTALNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY DOLNEGO POWIŚLA I ŻULAW • NR 2 (56) • 2024



Darczyńcy Kwartalnika Prowincja



WOJEWÓDZTWO POMORSKIE

Publikacja została dofinansowana z budżetu
Samorządu Województwa Pomorskiego w ramach programu
„Rozwój kultury w województwie pomorskim w 2024 roku”



Wydawnictwo kwartalnika wspiera
Jacek Szarycki Prezes Zarządu Fobos One



WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA
im. Josepha Conrada Korzeniowskiego
DZIAŁ REGIONALNY
80-806 Gdańsk, ul. Targ Rakowy 5/6
☎ 58 301-48-11 w.227, 237

PROWINCJA

KWARTALNIK
SPOŁECZNO-KULTURALNY
DOLNEGO POWIŚLA I ŻUŁAW

Nr 2 (56)

2024

Redakcja

Leszek Sarnowski – redaktor naczelny

Wacław Bielecki – sekretarz redakcji

Piotr Napiwodzki

Janusz Ryszkowski

Andrzej Kasperek

Stali współpracownicy

Krzysztof Czyżewski, Paweł Zbierski, Andrzej C. Leszczyński, Andrzej Lubiński, Jan Chłosta,
Wiesław Olszewski, Adam Langowski, Krystian Zdziennicki

Projekt okładki

Mariusz Stawarski

Str. III i IV

Prace fotograficzne Wojciecha Szarugi

Skład komputerowy i przygotowanie do druku

Ewa Krefft-Bładoszewska

Druk

Wydawnictwo Region Jarosław Ellwart, ul. Goska 8, 81–574 Gdynia

Wydawca

Stowarzyszenie Inicjatyw Obywatelskich „TAKA GMINA” w Sztumie

82–400 Sztum, ul. Królowej Jadwigi 10, tel. 693 527 614

prowincja@onet.pl, www.prowincja.com.pl

Dziękujemy za współpracę przy promocji kwartalnika:

Sztumskiemu Centrum Kultury, Żuławskiemu Ośrodkowi Kultury oraz Żuławskiemu Parkowi Historycznemu w Nowym Dworze Gdańskim

Miejsca, w których można kupić kwartalnik „Prowincja”:

Zakład fotograficzny Foto Mono II w Sztumie, Plac Wolności 19

Sklep papierniczo-biurowy „Kopiał” w Malborku ul. Żeromskiego 5

Wszystkim, którzy zechcą wesprzeć finansowo nasz kwartalnik podajemy numer konta wydawcy:

Stowarzyszenia Inicjatyw Obywatelskich „Taka Gmina” w Sztumie:

Bank Spółdzielczy w Sztumie: 42 8309 0000 0002 6741 2000 0010

ISSN 2082–0291

www.prowincja.com.pl

Nakład 400 egzemplarzy

PIĘDZIESIĄTA SZOSTA „PROWINCJA”

SPIS TREŚCI

Pięćdziesiąta szósta „Prowincja”	5
--	---

Poezja

Janusz Ryszkowski	6
Stefan Rusin	9
Beata Langowska.....	11

Proza

Łukasz Walendziak – Hostel	15
----------------------------------	----

Esej

Andrzej C. Leszczyński – Okruchy.....	22
---------------------------------------	----

Wędrówki po prowincji

Alicja Łukawska – Żuławskie opowieści	27
Zbigniew Jerzy Woś – Jarnołtowo w życiu Immanuela Kanta.....	39
Jan Chłosta – Poetka polskiej Warmii. W 130 rocznicę urodzin i 40 rocznicę śmierci Marii Zientary-Malewskiej.....	51
Piotr Zawada – Śladami Napoleona czyli moja wyprawa do Montereau we Francji.....	59
Andrzej Kasperek – Tu zaszła zmiana	72
Radosław Biskup – Powojenna kronika szkoły w Miłoradzu (1945–1949).....	78

Na tropach historii

Andrzej Lubiński – Podróż Melchiora Wańkowicza po Malboreii w 1935 roku.....	89
Janusz Ryszkowski – Po sztumskich karczmach, hotelach i kawiarniach krótki przewodnik (część II).....	95
Ryszard Rząd – O pomnikach, w które można było wbijać gwoździe	105
Wiesław Olszewski – Drzymała nie był pierwszy – wspomnienie o rodzie Peplińskich ..	112
Leszek Sarnowski – Porządkowanie pamięci	117
Piotr Podlewski – Moje wędrówki po Dolnym Powiślu i okolicy.....	123

Prowincje bliskie i dalekie

- Marek Suchar – Dwa wieczniki 133
Krzysztof Czyżewski – Notatki słów i obrazów (22) 143

Muzyka

- Wacław Bielecki – Zapiski melomana 151

Galeria Prowincji

- Szara strefa w fotografii – z Wojciechem Szarugą rozmawia Agnieszka Świercz-Karaś.... 165
Piotr Napiwodzki – Patronka Dzierzgonia w różnych odsłonach..... 169

Czego ci matka nie powie...

- Paulina Hoppe-Gołębowska – Ironiczny przewodnik przetrwania rodzica 173

Recenzje

- Piotr Napiwodzki – O poezji parę (być może zbędnych) słów 176

Noty o autorach..... 178

PIĘĆDZIESIĄTA SZÓSTA „PROWINCJA”

Letnia kanikuła sprzyja relaksowi, ale też więcej czasu można poświęcić na lekturę. I najlepiej mieć pod ręką kwartalnik „Prowincja”, bo treści sporo i każdy może coś dla siebie wybrać. Mariusz Stawarski okładkowo także w sam raz na upalne lato.

Proponujemy zacząć od poezji. Tym razem dwoje naszych „nadwornych” poetów – Janusz Ryszkowski i Beata Langowska oraz debiutujący na naszych łamach Stefan Rusin z Konina. Łukasz Walendziak kontynuuje swoje opowieści nepalskie, a Andrzej C. Leszczyński analizuje, jaki wpływ na percepcję twórczości autora (malarza, muzyka, pisarza) ma jego biografia.

Alicja Łukawska słucha opowieści niemieckiej rodziny Liedtków ze Zwierzna, którzy wybrali Polskę i Żuławy za swoje miejsce na ziemi. Zbigniew Jerzy Woś przypomina historię wybitnego filozofa Immanuela Kanta, który w połowie XVIII wieku mieszkał we wsi Jarnołtowo, niedaleko Zalewa, gdzie był prywatnym nauczycielem w majątku właściciela Jarnołtowa Bernarda Fryderyka von Hülsena. Jan Chłosta przypomina sylwetkę wybitnej poetki Marii Zientary-Zalewskiej.

Piotr Zawada wiedzie nas śladami Napoleona do francuskiego Montereau, a Andrzej Kasperek zachwycą się (i słusznie) polskimi osiągnięciami po wejściu Polski do Unii Europejskiej. Radosław Biskup udostępnił nam ciekawy dokument (poprzedzony jego wstępem) dla historii naszego subregionu, a mianowicie historię szkoły w Miłoradzu, autorstwa wieloletniego nauczyciela i kierownika Wincentego Zgliczyńskiego. Bieżący rok został ustanowiony decyzją Sejmu Rokiem Wańkowicza. W związku z tym Andrzej Lubiniński przypomina wędrówki pisarza po Prusach Wschodnich. Przedwojenne zapachy i smakołyki sztumskich restauracji, cukierni możecie Państwo poczuć wola swojej wyobraźni w drugiej części tekstu Janusza Ryszkowskiego. Ryszard Rząd pisze o oryginalnych pomnikach, w które można było wbijać gwoździe. Dlaczego? Poczytajcie.

Pomorskiego Drzymałę, czyli Franciszka Peplińskiego, który w czasie zaborów walczył z niemiecką administracją, wspomina Wiesław Olszewski. W moim tekście piszę o potrzebie pamięci o dawnych mieszkańcach ziemi sztumskiej, społeczności żydowskiej, po której został jedynie cmentarz w Dzierzgoniu i kilka pamiątek w prywatnym Muzeum Alyem Sławka Michalika. Do kolejnej wędrówki po Powiślu zaprasza Piotr Podlewski, niestrudzony badacz historii ziemi sztumskiej.

Marek Suchar śladami biblijnych zapisów szuka miejsca w Jerozolimie, gdzie zlokalizowany był Wieczernik i trafia do oryginalnego miejsca w Syryjskim Kościele Ortodoksyjnym pod wezwaniem św. Marka. Krzysztof Czyżewski o Sri Lance, książkach, tych, co odeszli i zamordowanych poetkach i poetach z Ukrainy i Gazy.

Muzykę najlepiej jest słuchać, ale jak o muzyce pisze Waclaw Bielecki, to niemal jakby się ją słyszało. W Galerii Prowincji tym razem ciekawy fotografik Wojciech Szaruga opowiada o swoich inspiracjach, zapatrzeniach i odkryciach. Piotr Napiwodzki z kolei kontynuuje opowieść o wizerunkach św. Katarzyny Aleksandryjskiej, tym razem w wykonaniu powiślańsko-żuławskich artystów.

I na deser ironiczny przewodnik przetrwania rodzica, autorstwa Pauliny Hoppe-Gołebiewskiej.

Życzymy ciekawych wakacyjnych wojaży, umiarkowanie upalnego lata, inspirujących spotkań, wzruszeń, poruszeń, nowych wyzwań, dobrych myśli i ludzi oraz nieobojętnych lektur, ze wskazaniem oczywiście na „Prowincję”.

Leszek Sarnowski
Redaktor Naczelny Kwartalnika „Prowincja”

Janusz Ryszkowski



LESZEK NIE CZUJE

Leszek nie czuje się wcale
Przegryany. Wytacza ciężkie działa:
Inni mają gorzej.
Nie wsiadł do złotego pociągu,
Którym jechali jego koledzy z podziemia.
Może za to spełniać chłopięce marzenia:
Na wielkim ekranie telewizora
Kupione go za odszkodowanie
(kilka miesięcy internowania plus ścieżka zdrowia)
Ogląda
Wyścig dookoła Francji albo
Giro di Italia.
Krajobrazy piękne.
W tym czasie bierze urlop,
Bo co lepszego mógłby robić.
Poza tym futbolowa liga angielska i włoska.
Z lokalnego patriotyzmu –
Lechia Gdańsk.
Do wielkiego miasta przyjeżdża kilka razy w roku,
Kiedy musi spotkać się z dyrekcją.
Ten szok cywilizacyjny
Odreagowuje w budce z kebabem:
duża cola i podwójna porcja kurczaka,
Jeszcze jedna na wynos.
Ma biogram w
Encyklopedii Solidarności.
Dawni koledzy

Dziś pierwszy garnitur.
Dlatego nie nosi nawet
Wyartej marynarki.

EDWARD HOPPER Z PODWÓRKA

Oglądał te obrazy
I staje mi przed oczami Krzychu
Przyjaciół z podwórka
Przybysz z dalekiej planety
Wilna albo Osieka
Zawsze nad wiek poważny
Ukryty w swoich rysunkach
Tak że prawie niewidzialny
Nauczycielka poradziła
Jego matce
Żeby oddała go
Do szkoły specjalnej
Ostatecznie zgodziła się
Na powtarzanie trzeciej klasy
I kreślenie świata
W ostatniej ławce.

BÓL

Zobaczyłem klepsydrę i pierwsze o czym pomyślałem
To to, że mówiła szybko i niewiele za nią nadążało.
Tak było jeszcze do maturalnej klasy,
Potem jej dziwnie przeszło.
Miała szóstki prawie ze wszystkiego
Ostatecznie została nauczycielką
Przedmiotów zawodowych.
Kilka miesięcy temu spotkaliśmy się w przychodni.
Skarżyła się na wysokie ciśnienie, rząd
Ale głównie pogodę.
W sumie nic nadzwyczajnego,
Żaden materiał na wiersz żałobny.

BENISŁAWSKA

Odwiedziła mnie niespodziewanie Benisławska, poetka.
Przyniosła w darze pośmiertną książkę wydaną staraniem wnuków.
Długo w milczeniu, które jakoś nie krępowało, popijaliśmy
herbatę w filiżankach kupionych tanio w Ikei.
Zwróciła uwagę, że mam fatalną wodę, psującą wszystko.
Ale u niej, w Kurlandii, było zresztą podobnie,
Choć czerpali ją specjalnie dla gości z innego źródła.
Pożegnała się nagle, nawet nie chciała,
Abym ją odprowadził na dworzec,
Choć drogi nie znała. To prawie wszystko.
Do tej pory nie przeczytałem ani jednego jej wiersza.
Wolę, aby nadal pozostawały dla mnie, jak ona,
tajemnicą.

Stefan Rusin



OSIP MADELSZTAN

Wiozą nas statkiem na Kołymę.
 Zgubiłem wiersze Petrarcki i notes,
 w którym opisywałem moje życie.
 Nie czuję głodu. Odchodzę od zmysłów.
 O zmierzchu kryminaliści rzucą moje ciało
 do morza.
 Kiedy myślę o Stalinie, widzę przed sobą głowy,
 Wagony głów.
 Nadziejo, powiedz, co on z nimi zrobi?
 Pozwoliłem zdeptać moją duszę,
 ale i tak nie opuszcza mnie strach.

DO BRUNONA SCHULZA

W Drohobyczu, w ostatnim dniu Święta Wiosny,
 szły w pochodzie dziewczęta.
 Obserwowali je bałwochwalczy z chorągwiami,
 Murzyni, kulturyści, hybrydy ludzko-tygrysie,
 nagie karły, wijące się jak węże poskromione batem.
 Zachłannie patrzyłeś na idące nogi w czarnym pończochach
 i pantoflach. Drząc mówiłeś szeptem: Undulo, chcę całować
 twoje stopy, chcę je tulić, smakować.

Nie obejrzała się. Szła pewna siebie, dumna,
 Zostawiając za sobą zapach darszanu i paczuli.

DO JEHUDY AMICHAJA

Była bardzo ciepła wiosna. O świcie schodziłeś ze wzgórza,
Niosłeś na plecach umierającego kolegę. Jego martwe ciało
położyłeś w synagodze na posadzce przed szafą ołtarzową,
nad którą dwa lwy trzymały tablice dziesięciorga przykazań.
Widziałem zakłopotanie na twojej twarzy. Czy wówczas w myślach
zwróciłeś się do Boga Elizeusza, by pomógł ci oddzielić dobro od zła?

DO JANA A.P. KACZMARKA

Muzyka, którą skomponowałeś do filmu Marzyciel
Marka Forstera, płynie w jasnych winogradach.
Cicho podąża za pieskami wzdłuż biegu rzeki.
Jej romantyczne pasaże jak mgła unoszą się
nad łąką, wpadają do moich uszu,
kiedy siedzę na cyplu skarpy.

W Starym Koninie Maria otwiera drzwi balkonu,
z ogrodu dochodzą świetliste dźwięki,
nasycone erotyką mirażem fraz.
Uwodzisz elegancją akordów
i odrobiną dzikiego szaleństwa.

Beata Langowska



DESZCZ W SŁONECZNY DZIEŃ...

kto nie widział z bliska
 jak gąśnie człowiek chory na raka
 jakie może mieć zimne dłonie
 i oczy przytomne
 a
 jeszcze wczoraj
 chciał wsiadać na motor
 tak szczupły jak wtedy
 gdy miał 20 lat
 i grał : „Czy widziałeś kiedyś deszcz...”
 Creedense Clearwater Revival
 a teraz leży
 i mówi:
 – moja mała córeczka...
 i papieros wypada mu z dłoni
 pamięta jeszcze
 że nauczyciel fizyki w liceum
 tak śmiesznie zaciągał...
 kto tego nie widział
 niech lepiej
 nigdy nie zobaczy

PEJZAŻ DNIA

wysokie ciśnienie krwi
 uderzyło strumieniem
 normalnie noga się wlecze za nogą
 ale pewnie w tym wieku
 to już się zdarza

słowa – załadunek ciężki
 pigułka na to na tamto
 łykam razem z deszczem
 choć wcale nie pada

zbierasz mi włosy w rumiankowe bukiety

W POŚPIECHU

dzień jak zwykle
 dwudziesta kawa w przetyku
 gorzka i mocna
 bo lubisz czuć smak
 trzeba dać pretekst
 żeby tak szybko
 biło serce i drżały ręce

na kilku frontach
 rozpoczęte działania
 krawędzie nagle zewsząd wyrastają
 dosyć łatwo spaść

słodki zapach z nutą piżma
 otula miejsca nad obojczykiem
 tęsknota mglista i dżdżysta
 osiada miękko na twarz

oczy unosisz nad miastem

KOCI BLUES

wszystkie ślady będą zatarte
 kiedy każdy wróci do domu
 nikt nie wie ze w samotności zmieniasz się w kota
 chadzasz własnymi drogami
 wybierasz ścieżki ryzykowne bardzo
 taki kot to ma życie
 siedem żyć
 patrzysz złotymi oczami
 łowisz słowa do wierszy
 pod spojrzzeniami

przechodzisz obojętnie jak to kot
nie każdy może cię dotknąć
właściwie prawie nikt

dostojność kota onieśmiela
komu grzbiet a komu pazur

LITANIA O NIEPROSZENIE

o tę ziemię mokrą i żyzną
wysłuchaj mnie Panie
o książki których słowa od dawna czekają
nie zawiędz mnie Panie
o wodę której piję za mało
nie utop mnie Panie
o dłonie które splatają
przyciągnij mnie Panie
o zajętych zmęczonych ni bliskich
przyrowadź mnie Panie
o to i o tamto jeszcze
gdy serce bije nierówno
gdy patrzeć można i słuchać
w ciepłe zakwitnąć
obecnością leczyć duszę
czuć i rozumieć

nie proszę cię Panie

TAKA PORA

kiedy kobieta już wie
i daje sobie prawo
wyrasta drzewo dobrego i złego
jabłka na nim pyszne
jeszcze czuje smak na języku

przyjmuje że nic nie musi
gdy zmęczona to śpi
po bułki idzie w najpiękniejszej sukience
są tacy których to zniesmacza
stukot szpilek na chodniku

zapisuje na maszynie dnia
nowy wiersz wzruszony

zagląda do lustra i dotyka twarzy
Melepomene strudzona
z ramion zsuwa wieczorem ubranie

lubi być stara

...
...
...

...
...

LIWIARDA O WIEPRZYBYWALACH

...
...

...
...

...
...

...
...

...
...

...
...

...
...

...
...

...
...

WIELKI JACZYK

...
...

...
...

...
...

...
...

...
...

...
...

Łukasz Walendziak



HOSTEL

SUSZIL

Wioska i dżungla dały mi nadzieję, że odzyskam kontrolę nad własnym życiem. Przystałem pić, zacząłem na nowo cieszyć się każdą chwilą. Brak dokumentów zmusił mnie jednak do powrotu do Katmandu, przynajmniej na jakiś czas.

To samo miasto, ale ja funkcjonuję już zupełnie inaczej. Nie tak dawno spałem przecież na ulicy, ślaniałem się na nogach i wyglądałem po prostu odrażająco. Nawet jeżeli w ten czy inny sposób wszedłem w posiadanie jakiejś znacznej sumy pieniędzy, natychmiast wszystko trwońiłem i dalej tkwiłem w rynsztoku. Poczucie beznadziei sprawiało, że wszystkie starania i aktywności miały tylko jeden cel – zdobycie środków znieczulających. Kręciłem się wokół własnej osi, jak gdybym wpadł do pralki.

Ciężka praca, matka natura, ojciec wszechmogący a może zwykły zbieg okoliczności? Myślę, że wszystko po trochu. Najważniejsze są efekty, a te póki co napawają optymizmem. Przystałem żyć z dnia na dzień. Ludzie darzyli mnie sympatią i zaufaniem. Oczekiwania względem życia miałem niezbyt wygórowane. Potrafiłem natomiast delektować się każdym wschodem i zachodem słońca, każdą rozmową a nawet każdą chwilą w samotności.

Znajomy stolarz załatwił mi pracę w nowo otwieranym hostelu. Najpierw pomagałem na ostatnim etapie urządzania lokalu, następnie pełniłem funkcję menedżera i recepcjonisty. Do moich obowiązków należała też opieka nad dwoma psami. Do dyspozycji podróżnych mieliśmy cztery pokoje prywatne dla jednej lub dwóch osób, oraz cztery duże pokoje, w każdym po sześć łóżek piętrowych. Najtańszy wariant w stylu „łóżko i śniadanie” był niezwykle popularny wśród młodych ludzi, którzy odbywali wielomiesięczne podróże po wielu krajach. Obywatele czterech świata stron. Kolorowe towarzystwo.

Właściciel tego interesu nazywał się Suszil. W przeszłości był rozgrywającym reprezentacji Nepalu w koszykówce, obecnie pracował z młodzieżą jako trener. Jak sam twierdził, pasja do sportu uchroniła go przed rozmaitymi kłopotami, z którymi borykali się nasi rówieśnicy. Używki czy problemy z prawem, dla przykładu. Facet świetnie mówił po angielsku, przez kilka miesięcy mieszkał w Danii, ale ostatecznie zdecydował się wrócić do Nepalu. Od czasu do czasu latał natomiast do innych państw Azji południowo-wschodniej na różne turnieje, jako opiekun reprezentacji młodzieżowych swojego kraju. Dogadywaliśmy się doskonale. Kilka ostatnich lat nauczyło mnie, aby obietnice składane przez tubylców traktować z dużym przymrużeniem oka. Mały Ram, Mamaszri, Wujek i jeszcze kilku innych „wspaniałomyślnych” zapewniało mnie, że za kilka miesięcy będziemy bogaci, załatwimy kwestię dokumentów, wyprawimy mi wesele albo jeszcze co innego. Tymczasem Suszil był oszczędny w słowie, ale zawsze go dotrzymywał. Nie był natrętnie uprzejmy, jak wielu

innych w branży hotelarskiej, ale zawsze mogłem na niego liczyć w trudnej w chwili. Nawet na długo po tym, jak zaraza zaoarała sektor turystyczny i nasz hostel został zamknięty...

Po raz pierwszy pojawiły się myśli o powrocie do kraju. „Skoro zmieniłem się na tyle, że radzę sobie zupełnie przyzwoicie w stolicy Nepalu, ciekawe, jakby to wyglądało w Polsce...”. Wspominałem piękne chwile z dzieciństwa, różne miejsca i osoby bliskie memu sercu. Praca w hostelu gwarantowała mi wygodne miejsce pobytu i pełne wyżywienie. Korzystając z wyrobionych wcześniej kontaktów zaopatrywałem potrzebujących w haszysz lub grzyby i organizowałem wycieczki do Chitwan dla chętnych. Wyrobiłem sobie reputację przewodnika po dżungli i w późniejszych latach brałem na takie wyprawy również Nepalczyków, którzy dorastali w mieście, a chcieli zobaczyć południe „od kuchni”. Na pewnym etapie, w ramach pracy dorywczej, uczyłem grupę kilkunastu osób języka polskiego. Stawiałem dekorację na imprezach z muzyką elektroniczną, chodziłem na basen, grałem w piłkę. Prawdziwa metamorfoza.

Niektórzy z naszych gości zatrzymali się na noc lub dwie i ruszyli w dalszą drogę. Inni potrafili zabawić u nas nawet kilka miesięcy. Byli i tacy, którzy podczas mojej, nieco ponad dwuletniej kadencji, wracali jak bumerang. Hostel mieścił się w starym budynku, kompletnie zniszczonym podczas trzęsienia ziemi, który przeszedł całkowitą renowację. Część socjalna, w której mieszkaliśmy: trener, kucharze i ja, była z cegły – jedyny fragment, który przetrwał kataklizm. Część dla gości powstała od zera. Pokoje od kuchni oddzielało niewielkie patio, w połowie osłonięte tarasem, na którym można było zjeść śniadanie lub pograć w karty wieczorem. Hamaki i rowery do dyspozycji. Wnętrza skromne, ale świeże. Wykończenie jasnym drewnem. Sympatyczna atmosfera i obsługa. Biznes się kręcił...

BURAK

Burak przebywa w Nepalu od trzech do pięciu miesięcy w roku. Poznaliśmy się przed dwoma laty. Sympatyczny Turek bardzo słabo mówił wtedy po angielsku, ale i tak od razu złapaliśmy świetny kontakt. Rozumieliśmy się bez słów, można powiedzieć. Chłopak lubi zapalić, a haszysz w jego ojczyźnie kosztuje dziesięć razy tyle co tu na miejscu. Regularne wakacje w krainie marihuany znajdują więc swoje uzasadnienie. Burak, pomimo, że luzak, to trzyma fason. Gość ma fantazję, ale zachowuje zdrowy rozsądek. Funky ciuszki, kapelusz rybacki, na głowie krótkie dready. Chude to i wysokie, ale na deskorolce porusza się nad wyraz zgrabnie. Do tego charakterystyczny styl wypowiedzi – powolny, ale przemyślany, flegmatyczny, ale błyskotliwy. Sam siebie lubi określać mianem „Rasta Zombie”. Pierwszy raz spotkaliśmy się w Chitwan, w pełni sezonu na grzyby. Obaj mieliśmy upatrzone swoje miejscówki. Burak zjawił się w okolicy po raz drugi, ja przebywałem na miejscu od kilku miesięcy, nasze zbiory prezentowały się imponująco. Młodszy ode mnie o blisko dziesięć lat kolega dysponował znacznie większą wiedzą, jeżeli chodzi o środki psychoaktywne z rodziny psychodelicznych. Wspólnie zasuszaliśmy i zapeklowaliśmy w miodzie dziesiątki przygód, których doświadczyć mieli później konsumenci naszych przetworów. Polecił mi też stosowną literaturę. Był to impuls, aby nieco później rozpocząć własne badania. Zawiązana

w specyficznych okolicznościach nasza przyjaźń ma solidny fundament: wspólna pasja ponad barierę językową, porozumienie ponad podziałami.

Dziś Burak mówi po angielsku zupełnie przyzwyczajony, widać chłopak szybko się uczy. W swoim kraju studiuje zaocznie i pracuje przy organizacji dwóch imprez – festiwali muzycznych. Podczas gdy większość młodych ludzi używa swoich elektronicznych gadżetów, żeby pykać w jakieś kurczaczki czy bąbelki, ten koleżka zarabia na wakacje między innymi grając w pokera online...

– Borsuuuk!! Cholera, przegrałem pięć docłów. Uffff...Borsuuk!! Wygrałem piętnaście, dawaj, idziemy coś zjeść, hahaha, tylko najpierw zajaramy...

– Borsuk, a Ty byłeś kiedyś tam u nas w Turcji?

– Byłem, Burak, ale dawno temu. Na wycieczce krajoznawczej z rodzicami. Dokładną datę mógłbym nawet ustalić, bo pamiętam, że Wisła grała w pucharach z Trabzonsporem. Mecz odbywał się w Krakowie, a turecka telewizja prowadziła transmisję z tego spotkania. Polska drużyna zwyciężyła 5:1, a trzy bramki zdobył przesympatyczny pan piłkarz Tomasz Kulawik. Komentator relacjonował wydarzenia na bieżąco, na gorąco i po turecku: „Kulawik, Kulawik, Kulawik, Kulawik, Ooouu! Oou!! KU – LA – WIK...”

– „Ku-la-wik...” – powtórzył Burak, zaciągając się przy tym dymem i zanosząc śmiechem jednocześnie.

– Szczerze mówiąc średnio mi się tam podobało, ale minęło jakieś dwadzieścia lat, wyobrażam sobie, że dużo się pozmieniało. No a tobie, jak się tam żyje? – zapytałem.

– Wiesz, Borsuk, rodzinę tam mam i przyjaciół, szkołę i pracę od czasu do czasu, ale brakuje mi swobody, luzu i relaksu. Dlatego co roku wracam do Nepalu. Tak dla równowagi. Jakbym tam siedział cały czas, to bym się chyba udusił.

– Wiesz, Burak, ja to już czasem mam dosyć tej swobody i tego luzu. Brakuje mi piłki nożnej, teatru, starej dobrej kultury i cywilizacji. Chyba przydałaby mi się przeprowadzka nad Bosfor.

– Pewnie, Borsuk, zawsze jesteś mile widziany, poznałeś kilku moich ziomków z Turcji, tu, w Nepalu, oni wszyscy kręcą jakiś własny biznes, dobrze cię wspominają, robota się znajdzie na pewno...

– Spoko, Burak, ale póki co z tym paszportem, to u mnie jest pewien problem. Stempel się nie zgadza. Jak już pokonam tę pierwszą granicę, to Tureckie Linie Lotnicze i w 80 dni dookoła świata – podsumowałem. Bardziej serio aniżeli żartem.

Od czego by tu zacząć. Na pewno przyda się opanować podstawy języka tureckiego. Z nepalskim poszło mi sprawnie, czas na kolejne wyzwanie. Historia Turcji, tutaj skorzystam z materiałów w języku angielskim, podobnie, jeżeli chodzi o klasykę tureckiej literatury. Do dzieła przystępuję od zaraz, rozeznam się w temacie, a jak już pojawię się na miejscu, będzie czym zabłysnąć w środowisku młodych intelektualistów. W międzyczasie będzie można się postarać o dziką kartę na jakiś uniwersytet – medycyna naturalna albo jeszcze lepiej, botanika tropikalna, coś się znajdzie...

To mi wygląda na kolejny piękny rozdział w mojej naukowej karierze. Przeglądam sobie więc kalendarz imprez kulturalno-artystycznych. Co tam się odbywa? Na przełomie listopada i grudnia Istanbul Theatre Festival. Zjrzałem na stronę internetową i od razu pomyślałem, że w przyszłym roku muszę się tam pojawić. Dziesiątki grup teatralnych z całego świata, masa ciekawych osobistości. Środowisko w sam raz dla początkującego pisarza i kontrowersyjnego uczonego. Minęło wiele lat odkąd byłem ostatni raz w kinie, jak już coś oglądałem w telewizji, to sport. Dla odmiany sporo przez ten czas przeczytałem. Doskonale pamiętam za to ostatnią wizytę w teatrze. Razem z ojcem wybraliśmy się na sztukę w wykonaniu teatru „Wierszalin” na Podlasie. Przedstawienie wywarło na mnie ogromne wrażenie. Gdybym kiedyś zawitał z powrotem do Polski, na pewno uważnie przestudiuję repertuar wyżej wymienionego teatru i wybiorę się na kolejny spektakl. Może nawet uda się załapać na jakieś warsztaty. Czasami marzenia się spełniają... na raty.

HONORATA

Po raz pierwszy, podczas niemal pięcioletniej jak dotąd przygody w Nepalu, zorganizowana została wigilia. W poprzednich latach zdecydowanie wolałem w tych dniach przebywać gdzieś na łonie natury, najlepiej w samotności, a przynajmniej w spokoju. Nie były to jednak chwile trudne lub nieprzyjemne. Dużo sobie wtedy myślałem o zmarłych dziadku i babci, a także kumplach, którzy w tragicznych okolicznościach przedwcześnie odeszli z tego świata. Mam wrażenie, że gdybym spędzał święta „jak co roku”, to znaczy w natłoku obowiązków, ciężko byłoby znaleźć czas na takie momenty zadumy. Tymczasem wracamy do wydarzeń bieżących.

Gospodarzami kolacji byli nasza rodaczka Honorata z Mazur i jej partner Sadžit – Nepalczyk. Poznali się w Szwecji. Sympatyczny gość, fajnie gada po angielsku, widać, że wiele lat spędził w Europie. Para mieszka sobie w apartamencie. Elegancko i nowoczesnie wyposażone cztery pokoje plus duża kuchnia i łazienka. Jedną sypialnię odnajmują tymczasowo dziewczynie z Hiszpanii imieniem Ana, która oczywiście nam towarzyszyła. Listę gości uzupełniali: Ziomek, Burak i nasz kolega z Finlandii Joszua.

Co prawda nikt nie biegał z siekierą i nie wycinał choinek, wystarczyło nam małe drzewko wykonane z zielonych kokardek. Nie wręczaliśmy sobie też prezentów. Impreza wynikła spontanicznie i zaczęła się dosyć późno, bo około godziny 21, ale od pierwszych chwil zarówno gospodarze jak i goście wyraźnie podekscytowani podkreślali, że atmosfera jest wyjątkowa. Honorata dała czadu. Można się było tego spodziewać, w końcu co sobotę sprzedaje na międzynarodowym targu farmerów swoje wypieki, wędliny i pasztety. Gotowanie to jej pasja i praca, a święta i dwóch bezdomnych Polaków przy wigilijnym stole to coś więcej niż zwykła kolacja. Z Ziomkiem jest ten problem, że jest weganinem. To oznacza, że nie tylko pyszne ryby, ale i sałatkę z majonezem czy sernik musiał potraktować jako dekoracje. Całe szczęście była jeszcze kapusta kiszona z grzybami. Takiego czegoś, to myśmy tu jeszcze nie widzieli. Chleb na zakwasie pieczony w domu. Dalej paszтет

z kurzych wątróbek, konfitury z żurawiny czy przecier z czerwonej cebuli. Wszystkiego było dwanaście potraw albo i lepiej. Pojedliśmy...

Prawdę mówiąc, tutaj, w Nepalu, a w szczególności w stolicy, to te święta Bożego Narodzenia to kompletna degrengolada. Najgorsze, co się da wyciągnąć z tej pięknej tradycji i jej okolic. Pijane tłumy, dziewczuchy „do wzięcia” w czapkach a’la Święty Mikołaj. Bary zachęcają, żeby świętować u nich przy piwie i popcornie. Co i rusz ktoś rzuca jakieś „Merry Christmas” czy też inne „Where you from”? Zbiera się na wymioty. Ludzie spotykają się przypadkiem i sobie dyskutują, jak to się obchodzi te święta w Ameryce Południowej, a jak w Australii, powierzchowne to i na siłę. Tak, bo wypada.

I właśnie z tego względu skromne grono i biesiada przy domowym stole, a nie w lokalu czy hotelu, nadała temu wydarzeniu niepowtarzalny urok. Akompaniowało nam polskie radio internetowe – nie wiem, co za stacja, ale serwowała rozmaite wersje kolęd od wykonania pop – rockowych po góralskie „Oj Maluśki”. Ziomek, który orientuje się co nieco w moich dokonaniach z przeszłości, szczególnie entuzjastycznie zareagował na „W żłobie leży”, a cała nasza trójka z Polski poderwała się na „bydlęta klękają”. Nieco później nasza Gospodyni poszła w klasykę polskiego rocka i bluesa. Niemen, Riedel, Ostrowska, aż po Zaczarowany Ołówek. Było bardzo miło.

Cała nasza szóstka toczyła przy stole niezwykle interesującą debatę, dobry materiał na jakąś sztukę teatralną. Większość dyskusji odbywała się w języku angielskim. Oczywiście nam, Polakom, zdarzało się zaśpiewać, zażartować czy przeprowadzić szybką, prywatną konwersację w języku ojczystym, nie zawsze mamy taką okazję. Nieprzytomny Fin pod koniec wieczoru bełkotał już wyłącznie w sobie zrozumiałym dialekcie, zachował przy tym swój urok. Obyło się bez patologii. Skończyło dobrze po północy. Hej kolęda, kolęda...

EUGENIUSZ

Nie były to pierwsze wakacje Eugeniusza w Azji. Wcześniej dwukrotnie odwiedził Tajlandię, raz był też w Indiach. Poznaliśmy się w Chitwan. Żenia po angielsku „ani be, ani me, ani kukuryku”. Całą swoją dotychczasową karierę spędził w Gazpromie. Tam pracowali też jego ojciec i dziadek, rodzinne tradycje. Zazwyczaj ogolony na łyso i uśmiechnięty od ucha do ucha Rosjanin zasmakował w swobodzie życia. Tym razem wracać do swojej ojczyzny nie zamierzał. Zostawił tam na miejscu w Sosnogorsku mieszkanie i plan miał następujący: „Sprzedaję chatę i niech się dzieje co chce” – w sensie: „to, na co mam tylko ochotę”...

Robię na mieście drobne sprawunki. Kurze stopy dla naszych psów, papieroski dla znajomych szefa, gąbka i płyn do zmywania naczyń na użytek własny. Eugeniusz maszeruje ulicą, wygląda na zatroskanego...

– Privet Bratan, Kak Ty? – zawołałem. Dopiero teraz mnie zauważył. Oblicze mu się nieco rozjaśniło.

– Privet Barsuk – i wyjaśnił mi, na czym stoi...

– Mieszkanie już prawie, prawie sprzedane, Barsuk. Tylko ambasada, dokumenty, problem. Niemnoszka, troszku problem. Ja przyjechał z Czituanu dwa dni temu, spał w hotelu, teraz piniędzy zero Barsuk. Troszku, troszku problem.

– Dawaj, Bratan, ja pracuje tu nieopodał. Pogadaju my na miejscu.

Eugeniusz spędził u nas trzy miesiące na kredyt. Nocleg i kolacja to pakiet za pięć dolarów. Rano herbata albo kawa i jakaś słodka bułka na koszt firmy. W międzyczasie rząd zamknął kraj, a exodus turystów trwał w najlepsze. My się jednak nigdzie nie spieszymy...

Formalności zostały dopięte, nieruchomości zmieniła właściciela, a Żenia zainkasował pierwszą ratę. 25 procent całkowitej wartości nieruchomości, będzie jakieś 10 tys USD. Obostrzenia dotyczące przemieszczania się oraz handlu zostały tymczasowo zawieszono, natomiast nasz hostel miał zostać niebawem zamknięty. Suszil – jak się później okazało – trafił z prognozą, a ta zakładała, że bałagan będzie się ciągnął w nieskończoność i lepiej wycofać się teraz niż za rok. Mniejsze straty.

Nasz gość zapłacił swój rachunek i rozpoczął zakupy. Ostatnie trzy miesiące spędził rozmyślając nad tym, co to się będzie działo, jak kasa w końcu nadejdzie. Pomysły miał bardzo oryginalne, muszę przyznać.

– Barsuk, zakupilibyśmy pistoletu, znaczy się ten, karabinu na pejntbol. Potem weźmiem jednego pracownika. Damy mu kombinezon, nu taki zajac akrobata. Białe z dużymi uszy. Bogate Nepalce będą przychodzili. Pstryk (tu dosłowny pstryczek we własna szyję) popiją, a potem wybiega zajac. Skacze po drzewach kręci się w kółko. My wynajmujemy te kałasnikowy za grube dolary, a oni potem kasyno, Barsuuuk!

Jak rozumiem, panowie zakładają się, który z nich pierwszy trafi w cel ruchomy, kulka z farbą. Być może jednak podchodzę do tematu zbyt powierzchownie...

Niektóre koncepcje były jednak zupełnie możliwe do zrealizowania. Dla przykładu: wędzona ryba, kurczak i boczek. Mój towarzysz przestudiował w sieci, jak wygląda cały proces przygotowania. Rosyjskie kanały kulinarne pełną gębą. Błaszaną skrzynkę wykonał rodak Eugeniusza, Lew. Ten starszy już jegomość ożenił i osiedlił się w Nepalu kilkanaście lat temu. Następnie zakupiliśmy cylinder z gazem oraz palniki. Dalej wióry z tartaku i przyprawy z targowiska. Byliśmy gotowi na pierwsze eksperymenty. Na mój gust rybka palce lizać, za kurczakiem nie przepadam, to podziękuję, ale boczek też niczego sobie.

Wspominałem, że ostatnimi czasy Eugeniusz żył w oczekiwaniu. Na kolację (tryb drażny) i pieniądze (tryb docelowy). Okazało się, że niezły z niego majsterkowicz. Z przeróżnych odpadów składał rozmaite duperele. Fajeczka, wiatraczek, popielniczka. Kanciapę, w której Żenia spędzał większość dnia, nazwaliśmy żartobliwie: „Rosyjski Instytut Nauki i Technologii”. Na miejscu śrubokręt, nożyczki, druty, plastikowe butelki, wiadro i plany na przyszłość. Internet kopalnią pomysłów.

– Luk, Barsuk – rozpoczął troszku, troszku już po angielsku Żenia. Dalej już po rosyjsku. – Bazuku na kartoszku, Barsuk. Pojedziem znowu do Czituanu, postawim takowielko strzelnice i bazuku na kartoszku, Barsuuuk...

Innym razem nasz naukowiec wpadł na trop technologii VR:

– Zakłada się taki kask, Barsuk. Potem wyskakuje tridni hologramy. Rybu łapać nuda, strzelać nuda ale best, Barsuk, Everest. Da, teraz lakdaun, w trekking nidyrydy. My zakupim komputera kask VR i inne gadzety. Do tego klimatyzacja na maksa. Całe familje bedo nas odwiedzali. Mama, papa, Everest. Barsuuuk... – klasyczny hurraoptymizm.

– Bratan, ja mam PlayStation, komputera nam nie trzeba. Nawet tego sprzętu nie używam. Gry drogie, a ja miałem ostatnio co innego do roboty. Teraz jednak człowiek i tak pół dnia spędza na kanapie, to czemu by nie przed konsolą. Przetestowalibyśmy te twoje wynalazki. Bierz pan, co chcesz, i możemy startować.

No i się zaczęło...

Andrzej C. Leszczyński



OKRUCHY

AUTOR, DZIEŁO

Claire Dederer w książce „Monsters. A Fan’s Dilemma” (Potwory. Dylemat fanki) zastanawia się, czy i jak wiedza o autorze wpływa na odbiór jego dzieła. Wpływ ten wydaje się jej nieuchronny. Pisze, że percepcja dzieła to „spotkanie dwóch biografii: biografii artysty, która może zakłócić odbieranie sztuki, i biografii członka publiczności, która może wpływać na sposób oglądania sztuki”¹.

Czytam i zastanawiam się, o co chodzi z tymi biografiami. Nie wątpię, że kształt dzieła w taki czy inny sposób wyrasta z biografii, czyli doświadczenia egzystencjalnego twórcy. Pewnie tak samo jest z zależnością odbioru tego dzieła od moich własnych przeżyć biograficznych. Nieraz zdarzało się, że powrót do książki, którą pochłaniałem w młodości z wypiekami na twarzy, kończył się rozczarowaniem, a nawet zdziwieniem, że kiedyś mogła mnie zauroczyć. Czy oznacza to, że rozczarowanie bierze się z czegoś więcej, niż samo dzieło?

Próbuję uzmysłowić sobie, czy wiedza o zgwałceniu przez Romana Polańskiego ubezwłasnowolnionej narkotykami trzynastolatki zmąciła mój odbiór jego filmów. Chyba nie. Podobnie jak – nie wiedząc o zdarzeniu w willi Jacka Nicholsona – podziwiałem „Nóż w wodzie”, tak też wiedząc już o wszystkim z zapartym tchem oglądałem „Dziecko Rosemary”, „Wstręt”, „Chinatown”. Trochę inaczej było z Jackiem Kaczmarskim, który rozdzierał me serce nie „Murami” przede wszystkim, bardziej „Naszą klasą”, „Snem Katarzyny” czy „Wojną postu z karnawalem”. Nie da się ukryć, że trudno mi dzisiaj odzyskać tamte wzruszenia, co da się wytłumaczyć dość prozaicznie. Może po prostu postarzałem się, wyrosłem z Kaczmarskiego, żyję w rzeczywistości, w której nie ma miejsca już dla rewolucji i jej bardów. Owszem, nie wykluczałbym znaczenia tego wszystkiego, czego dowiedziałem się od jego córki, Patrycji Volny, mówiącej, jak musiały z matką szukać ratunku przed fizyczną przemocą ojca w specjalnym schronisku. Malarstwu Pabla Picassa raczej nie zaszkodziła lektura książki jego wnuczki, Mariny („Mój dziadek Picasso”, opracowanie zbiorowe). Trzeba przyznać, że autorka nie szuka łagodnych określeń odnoszących się do postępowania sławnego dziadka. „Wpędzał w rozpacz i niszczył wszystkich bliskich. Nikomu z mojej rodziny nigdy nie udało się wyrwać ze szponów jego geniuszu. Swe obrazy musiał podpisywać krwią innych: mego ojca, brata, matki, babci i moją. Potrzebował krwi wszystkich, którzy go kochali – ludzi, którzy myśleli, że kochają człowieka, podczas gdy naprawdę pałali miłością

¹ Cyt. za: Agata Sikora, „Spotkania z potworami”, „Znak” nr 10, 2023 r.

do Picassa [...]”. O jego kobietach: „Picasso podporządkowywał je swej zwierzęcej seksualności, poskramał je, czarował, pochłaniał i ciskał na swe płótna. Przez wiele nocy wysysał je jak wampir, a potem pozbywał się ich”. Pewnie, że brzmi to paskudnie, nie sądzę jednak, by osąd jego dzieła dokonywany zarówno przez krytyków jak i zwykłych odbiorców podlegał biograficznym ujawnieniom artysty. Podczas studenckich dysput na temat „Emila” Jana Jakuba Rousseau zgodnie oburzaliśmy się na sprzeczność między tym, co pisał, i tym, co zrobił (pięcioro dzieci oddał do zakładu opiekuńczego, do „podrzutków”, jak sam to określał). Czy wypłynęło to istotnie na uznanie wartości jego książki, nie pamiętam. Z kolei wiedza o nadużyciach seksualnych Woody Allena czy Michaela Jacksona nie wpłynęła na mój odbiór ich twórczości dlatego, że od początku jedna i druga były mi dość obce.

Może więc, zamiast śledzić wpływ wynaturzeń biograficznych artysty na odbiór jego wytworów, warto zająć się samymi tymi wynaturzeniami?

POD? NAD?

Sporo napisano na temat tego, że wybitnych twórców nawiedzają przenikające się wzajemnie geniusz i psychoza. Zaburzenia afektywne dwubiegunowe, schizofrenia, nerwica – to objawy towarzyszące napięciom twórczym, być może będące ich źródłem. Bywa też – gdyby spojrzeć na to z nieco innej perspektywy – że zaciera się granica między zachowaniami psychopatycznymi i takimi, które wydają się być pochodną nadwrażliwości i podatności na zranienia. „Można być paskudnym człowiekiem – mówi znany fotografik Ryszard Horowitz – i niezwykle twórczym. Twórcy mogą być sukinsynami, potworami w stosunku do swoich rodzin, mogą być bezwzględni, chytry [...]. Przyjaźniłem się z Claude’em Picasse, który mi dużo opowiadał o zagraniach swego tatusia”. Malarz – to zdanie św. Teresy z Ávili – może być bardzo złym człowiekiem i wspaniale odtworzyć Chrystusa. Wartość sztuki, pisał św. Tomasz z Akwinu, leży nie w samym artyście, lecz bardziej w jego wytworze. Nie maluj mnie na kłęczkach, ale dobrze, karcił Bóg Jana Stykę.

Przejmującym świadectwem wewnętrznych powikłań twórcy jest przypadek Carla Don Gesualda. Spokrewniony ze św. Karolem Boromeuszem ksiączę Venosy żył na przełomie XVI i XVII wieku (zmarł w 1613 roku). Kompozytor, lutnista, twórca madrygałów, geniusz wyprzedzający swój czas o kilka wieków. Igor Strawiński (jeździł do Włoch by własnoręcznie kopiować jego utwory) mówił o nim: „posłaniec z przyszłości”. Przy tym wszystkim zyskał miano demona w ludzkiej skórze. W nocy z 16 na 17 października 1590 r. zabija przyłapanych in flagranti żonę, księżnę Marię d’Avalos i jej kochanka, księcia Andrii, Fabrizia Carafę (krewnego papieża Pawła IV). Rzeź, zmasakrowane ciała, schody Palazzo Sensevero w Neapolu ociekają krwią. Wezwanego księdza zmusza do profanacji zwłok, zabija dziecko. Narastające z czasem poczucie winy próbuje zagłuszyć poprzez umartwianie, biczuje się (flagellacja), zleca też biczowanie służbie. Coraz wyraźniejsza psychoza i lęk przed zemstą krewnych ofiar każą mu własnoręcznie wyciąć las wokół zamku, by widoczne były zbliżające się osoby. Komponuje utwory o cierpieniu, śmierci i miłości. Zapomniany – w XX wieku zostaje przywrócony kulturze przez Aldousa Huxley’a.

O przekraczaniu granicy między dobrem i złem przez jednostki twórcze pisał Fryderyk Nietzsche. „Ludzie najbardziej duchowi, jako najpotężniejsi, swe szczęście znajdują tam,

gdzie inni znaleźliby swą zgubę; w labiryncie, w srogości wobec siebie i innych, w eksperymencie [...]” („Antychrześcijanin. Przekleństwo chrześcijaństwa”, tłum. Grzegorz Sowiński, Zbigniew Kuderowicz). Uwolnienie się od gorsetu norm i wartości, jakie stanowią fundament kultury, jest zdaniem Nietzschego warunkiem odzyskania przez jednostkę pełni potencjału twórczego. Szczerze mówiąc nie spodziewałem się kontynuacji tej myśli u Floriana Znanieckiego. W pracy pt. „Ludzie terazniejsi a cywilizacja przyszłości” Nietzscheańskiego „nadczołowieka” określa mianem istoty „nadnormalnej”. Nadaje nowy sens nacechowanemu negatywnie określeniu „zbocheniec” („zbok”) – to jednostka wykraczająca poza utrwalone kulturowo kanony. Utalentowana, nonkonformistyczna, krytyczna wobec zastanej rzeczywistości. W akcie buntu wyrzekająca się bezosobowego „się” i kolektywnego „my” na rzecz podmiotowego „ja”. „Są jednak ludzie, u których to dążenie do normalności cywilizacyjnej względnie mało jest rozwinięte, i którzy [...] skłonni są zbaczać z drogi normalnych ludzi, tych nazywamy zbocheńcami”. Od normy społecznej odbiegają też oczywiście degeneraci i nihilisci, istoty niezdolne do budowania alternatywnych wzorów – to także „zbocheńcy”, tyle że „podnormalni”.

Osoby nadnormalne dążą do przeobrażenia ładu kulturowego, co naraża je na odrzucenie przez tzw. normalnych. „Szersze środowiska – pisze Znaniecki – nieraz długo nie mogą się zdecydować, czy człowieka zbaczającego z normalnej drogi uważać za geniusza lub za wariata, za reformatora lub przestępcę”.

ŚMIERĆ AUTORA

Pokusa, by uniknąć problemów, o których pisze Claire Dederer – wpływu biografii autora na percepcję jego twórczości – usuwając go z pola uwagi. „Uśmiercając” go, by móc skupić się na samym dziele. Określenia tego (la mort de l’auteur) użył w 1967 roku Roland Barthes, postulując całkowitą autonomię tekstu (dzieła). W tym wypadku autonomia oznacza odejście od biografizmu oraz związanych z nim takich ujęć, jak psychoanaliza, metafizyka twórczości itp. Pozwoli to na unikanie tzw. błędu biograficznego (biographical fallacy), czyli wnioskowania o dziele na podstawie wiedzy o autorze (i odwrotnie).

Przy pomocy „śmiertelnej” metafory wyraził Barthes swe ugruntowane teoretycznie poglądy literaturoznawcze (inna sprawa, że cztery lata później godził się już na autorską obecność). O kłopotach związanych z łączeniem autora i jego dzieła mówiono bez tak głębokich uzasadnień. Jerzy Stempowski („Czytelnik o krytyce”) wyrażał obiekcyjne uwagi natury estetycznej. „Krytyk lub historyk literatury, wchodzący do autora przez kuchnię, zaglądnący do garnków, w których gotuje się obiad dla wielkiego człowieka, badający służącą, czy wielki autor nie cierpi na fistulę lub inną chorobę, z której można by wysnuć nieoczekiwane wnioski literackie, napełniają czytelnika nudą i obrzydzeniem”. Podobnie Witkacy, którego zdaniem „babranie się w autorze” w związku z jego utworem jest „niedyskretne, niestosowne, niedżentelmeńskie”. Polityczną roztropność słychać w słowach Jerzego Giedroycia: „Zawsze mówiłem, że gdyby przykładać do pisarzy bezwzględne miary polityczne i moralne, literatura polska przestałaby istnieć. Dlatego uważam, że należy odróżniać autora od jego dzieła i osądzać dzieło osobno. Inaczej będziemy mieli nieustającą sprawę Brzozowskiego”.

Zwykła przyzwoitość każe się zastanowić, czy wolno „uśmiercać” autora, który rzecz stworzył i chce, by o tym wiadano. Wydając, czyli upubliczniając owoc swej pracy, twórca może – zasadnie bądź nie – liczyć na osiągnięcie przeróżnych celów i korzyści. Juliusz Słowacki (w liście do matki): „W dzieciństwie, kiedy byłem egzaltowanie nabożny, modliłem się do Boga często i gorąco, żeby mi dał życie najędźniejsze – żebym był pogardzany przez cały wiek mój – i tylko, żeby mi za to dał nieśmiertelną sławę po śmierci”. Nie musi chodzić o cele tak wzniosłe. Gabriel García Márquez podczas słynnej rozmowy z Mario Vargasem Llosą w Limie w 1967 roku tak uzasadnia swą potrzebę twórczości: „Na początku lubiłem pisać, bo publikowano moje utwory i odkryłem coś, co później wielokrotnie podkreślałem i co jest dość oczywiste: piszę po to, żeby moi przyjaciele kochali mnie bardziej”. Zgoła inaczej tłumaczy to Jerzy Pilch. Pytany czemu pisze, odpowiadał: żeby wkurzyć (zazwyczaj określał to dosadnie) przyjaciół. Czesław Miłosz („Rok myśliwego”) wyraża się bez ogródek o, jak to określa, żalosnej pisarskiej konfraternii: „[...] łąka, na której tłum ludzi i każdy wypuszcza swój balonik, niebo ich pełne, a każdy marzy o tym, żeby inne baloniki pękły, żeby je przekłuć, a został jeden tylko balonik, jego”. Podczas sztumskiego spotkania związanego z promocją książkowego wydania moich „Okruców” wspominałem o rozkosznych doznaniach towarzyszących wydrukowaniu mego nazwiska jako autora pierwszego tekstu. Nosił tytuł „Czy inżynier może być humanistą?”, znalazł się na trzeciej stronie tygodnika „Politechnik” redagowanego przez Wojtkę Charkina.

Rzadko można spotkać autorów, którzy – jak Elena Ferrante – skrywają swą tożsamość pod pseudonimem. Włoska pisarka uzasadnia swój wybór koniecznością walki z powierzchownością kultury, w której ważniejsze jest kto mówi od tego, co mówi (mit artysty!). Podobną opinię wyraził Milan Kundera. Nawiązując do poglądu Gustawa Flauberta („Artysta powinien ukrywać się w swojej twórczości, podobnie jak Bóg nie ukazuje się w przyrodzie”), zauważył ze smutkiem, że dziś to dzieło niknie przesłonięte postacią autora.

Sława pomnaża się sama, społeczna rozpoznawalność celebrytów, artystów, intelektualistów potwierdza ich prawo do zabierania głosu. W książce pt. „Galimatias. Papiery, maile, wywiady” (tłum. Lucyna Rodziewicz-Doktór, 2023) Elena Ferrante dobitnie wyraża swe stanowisko związane z pytaniami i opiniami dziennikarzy i krytyków. Pytana o anonimowość odpowiada: „Proszę mi pozwolić na pewną uwagę: nie zdecydowałam się na anonimowość, moje książki podpisane są imieniem i nazwiskiem. Zdecydowałam się na nieobecność”². Usłyszawszy opinię, że ukrywając swą tożsamość w pewien sposób wymazała sama siebie, pisze: „Kto pisze i publikuje, wcale się nie wymazuje. Posiadam życie osobiste, a publicznie reprezentują mnie moje książki. Wybór dotyczy czego innego. Dwadzieścia pięć lat temu postanowiłam wyeliminować pragnienie sławy i pęd do znalezienia się w kręgu ludzi sukcesu, którzy uważają się za zwycięzców. To był znaczący krok. Dzisiaj sądzę, że dzięki niemu zdobyłam własną przestrzeń wolności, gdzie czuję się aktywna i obecna”. Powtarza, że buntuje się przeciw medialnemu gwiazdorstwu. „Ono nie tylko umniejsza rolę dzieła na wszystkich płaszczyznach ludzkiej działalności, lecz króluje niepodzielnie w każdym sektorze. Jakby nic nie mogło się obyć bez medialnych celebrytów”. Gdy Mauricio Meireles pyta ją co znaczy bycie finalistką Premio Strega (najważniejszej włoskiej nagrody literackiej), odpowiada: „Nic”.

² To i kolejne przytoczenia biorę z felietonu Małgorzaty Lebdy zatytułowanego „Cała ta cisza”, drukowanego w kwartalniku „Czas Literaturny” nr 2, 2023 r.

TEKST VS LITERATURA?

Z tego samego numeru „Znaku”, w którym Agata Sikora pisze o spotkaniach z potworami, wynotowałem poniższe zdania autorstwa Henryka Woźniakowskiego: „Jeśli naprawdę dotyka i obchodzi nas dzieło, potrącając w nas mocno struny zachwytu, zdumienia, odkrycia, ale też sprzeciwu i protestu, to zwykle chcemy się czegoś dowiedzieć o autorze, i to czegoś więcej, niż dzieło samo nam objawia”. Nie jestem pewien, czy rzeczywiście „zwykle” (zazwyczaj) tak jest, sam takiej chęci u siebie nie widzę. Zapadła mi w pamięć dawna przygoda z książką pozbawioną autora („uśmiercili” go najpewniej kury przesiadujące na strychu naszego domu w Ostrówkach).

Nauczyłem się czytać jeszcze przed szkołą. W krótkim czasie pochłonałem wszystko, co było w obiegu do przeczytania, między innymi „Timura i jego drużynę” Arkadija Gajdara, „Czuka i Heka” chyba też Gajdara, „Winnetou” Karola Maya. Kiedy wpadła mi w ręce książka pozbawiona kilkunastu pierwszych stron, zabrałem się za nią natychmiast. Była to lektura niezapomniana. Nagi tekst. Brak autora, a bardziej jeszcze tytułu powodował, że wszystko zależało ode mnie. Do dziś pamiętam niektóre szczegóły opisów, barwy i słowa wypowiedane przez bohaterów, odczuwam tamte podrażnienia zmysłów. Wiele lat później dowiedziałem się, że książka była zatytułowana „Rodzina Thibault”, a jej autor to Roger Martin du Gard; kiedy ponownie zacząłem ją czytać, wydała mi się nudna i szybką ją odłożyłem. Przyznałbym rację Robertowi Wilsonowi, który w rozmowie z Umberto Eco dowodził, że dzieło jest pojemniejsze niż autor, że każdorazowo aktualizuje się w świadomości odbiorczej. „Nie wierzę, że Mozart rozumiał, co napisał. Nie wierzę też, że Szekspir rozumiał, co napisał... Dzieło jest pojemniejsze niż autor... Mogę czytać »Króla Lira« jednej nocy w taki sposób i zupełnie inaczej następną”³.

O konieczności wiązania utworu z autorem mówią najczęściej sami autorzy. Oto co mówił Eustachy Ryłski w rozmowie Agnieszką Papieską⁴: „[...] dobra książka to tylko dobra książka, a literatura to książka plus autor. I to pół na pół. Nie ma wielkiej literatury bez jej autora. Czym byłyby dylematy moralne Lorda Jima, gdybyśmy nic nie wiedzieli o Conradzie? Co by nas obchodził Hemingway i jego opowiadania, gdyby miał powierzchowność i życie Woody’ego Allena? Co znaczyłby Gombrowicz wypreparowany z własnej twórczości? Literatura to pisarz i jego dzieło. Zaryzykowałbym twierdzenie, że w takiej właśnie kolejności”. I jeszcze, na zakończenie, smakowite zdania innego autora, Karola Maliszewskiego: „Odrywa się więc wypowiedź o charakterze literackim od jasnego przesłania, od konkretnego człowieka, od biograficznego przełożenia [...]. Wierszyki mają sobie pływać w kulturowym akwariu niczym zdechłe, acz wielobarwne, karasie, i kto tam chce, a samozaparcie w nim duże, niech je sobie na osobiste ryzyko wyławia – i trzyma się, rzecz jasna, na dystans, bo trochę już cuchną. Zaleca się dystans w widzeniu tej relacji między autorem i tekstem, i podobny dystans zaleca się w charakteryzowaniu lustrzanej relacji między tekstem a czytelnikiem. I ten zdystansowany dystans, ta rosnąca przestrzeń (uciekająca mgławica?) zaczynają wypełniać olbrzymi gmach literatury, który z daleka wygląda jak napompowany neuma, zaś z bliska przypomina zimną halę pustego lotniska, po której hula wiatr ogólnych intencji: bo przecież teksty się odczytuje, interpretuje, dekonstruuje, wynosi pod eksplikacyjne obłoki”⁵.

³ Cyt. za: Tomasz Cyz, „»Czarodziejski flet« według Mozarta”, Zeszyty Literackie nr 94 (2006 r.).

⁴ „Twórczość” nr 2, 2012.

⁵ „Czytanie wiersza, czytanie człowieka”, „Znaczenia” nr 5, 2011 r.

Alicja Łukawska



ŻUŁAWSKIE OPOWIEŚCI

STULECIE LIEDTKÓW W ZWIERZNIĘ

Ten kasztan zasadził mój dziadek, jak kupił ten dom w 1923 roku – mówi Piotr Liedtke, wskazując na obcięty pień starego drzewa przy drodze. W zeszłym roku się zwałił, przyciąłem go i zostawiłem na pamiątkę. W tym roku mija sto lat, jak tu mieszkamy.

Bohatera tego tekstu poznałam w Markusach w lutym 2020 roku, kiedy wraz z moją mamą Haliną Łukawską promowałyśmy naszą wspólną książkę „Córka organisty, Wspomnienia mieszkanki Pomorza” w tamtejszej gminnej bibliotece. Rodzina mojej mamy osiedliła się w Markusach w 1947 roku jako osadnicy. W tamtym czasie nie było już tam prawie żadnych Niemców, bo wszyscy albo uciekli w 1945 roku na zachód, albo nieco później zostali zmuszeni do wyjazdu za granicę.

Liedtkowie byli jedną z nielicznych niemieckich rodzin, która po II wojnie światowej pozostała w tej gminie. Byli znani w całej okolicy. Piotr Liedtke chodził do jednej klasy szkoły podstawowej w Zwierznię z moim kuzynem Andrzejem Burkiem, całe życie udzielał się też jako społecznik, a jego matka, Agnieszka Liedtke, zasłynęła jako ludowa uzdrowicielka, bo



Agnis i Hans Liedtke na motorze, Thierngart, rok 1938, fot. archiwum Piotra Liedtke

znała się na medycynie manualnej. Umiała masować i nastawiać chore kończyny. Pomogła wielu ludziom, zwłaszcza małym dzieciom cierpiącym na zwichnięcia stawów biodrowych.

Familia Liedtke od pokoleń żyła na pograniczu Żuław i Powiśla. Dziadek Gustav Liedtke pochodził z Baumgarth (obecnie Bagart) w powiecie sztumskim. Był pompiarzem. Obsługiwał parową pompę wodną, a także pracował u gospodarzy na maszynie parowej. Wykonywał różne prace dla rolników. Zimą młócił zboże, a latem je śrutował. Robił to w stodołach. Wtedy rolnicy mieli ogromne stodoły, niektóre piętrowe, a nawet wielopiętrowe, w których magazynowali wielkie ilości zboża i siana.

W 1923 roku Gustav Liedtke kupił niewielkie gospodarstwo rolne w Thiergart (Zwierzno) na Żuławach. Wybrany przez niego dom stał w oddaleniu czterech kilometrów od centrum wsi, na tzw. kolonii. Pod koniec XVIII wieku wybudowano tam na wale przeciwpowodziowym nad rzeką Tyną kilka długich domów typu „trzy w jednym”, które składały się z drewnianego domu mieszkalnego dla ludzi z mурowaną oborą (w której była też stajnia i chlew) oraz drewnianą stodołą. Wszystko to było nakryte jednym dachem z trzciny. Gustav zamieszkał tam z Hansem, najmłodszym z siedmiorga jego dzieci. Starsze rodzeństwo Hansa założyło już rodziny i mieszkało w innych wioskach w pobliżu.

Piotr Liedtke jest lokalnym patriotą i chodzącą encyklopedią Zwierzna. Opowiedział mi, co wie na temat przedwojennej historii swojej wsi. W okresie międzywojennym była to duża, dobrze rozwinięta miejscowość z wieloma sklepami i zakładami rzemieślniczymi. Spełniała funkcję centrum handlowo-usługowego dla tej części Żuław Elbląskich. Były tam sklepy spożywcze, rzeźnia, masarnia, mleczarnia, piekarnia, kuźnia, weterynarz, dentysta, dwie gospody, a także sklepy przemysłowe, m. in. salon sprzedaży samochodów i motocykli. Była nawet stacja benzynowa i dom publiczny. Na miejscu był także kościół katolicki, a także dwie szkoły wyznaniowe: katolicka i ewangelicka. Z kolei kościół ewangelicki wraz z cmentarzem znajdował się parę kilometrów dalej, w pobliskim Stalle (Stalewo). W sąsiedniej wsi Thiergartsfelde (Zwierzeńskie Pole) były dwa wiatraki. Jeden z nich stał nad Tyną w pobliżu betonowego mostu, na granicy z Alt Rosenfeld (Różany), a drugi (należący do niejakiego Wiehlera) był w pobliżu mleczarni przy drodze do Markushof (Markusy), gdzie mieszkała duża grupa menonitów. Wiehler to typowe nazwisko mennonickie.

W okresie międzywojennym Żuławy Elbląskie to było dobre miejsce do zamieszkania. Żyło się tutaj wygodnie. Rolnicza, trochę bagienna okolica nie była odcięta od świata, jakby się mogło wydawać, ale była znakomicie skomunikowana z większymi ośrodkami. Dojazd do ośrodków miejskich był chyba lepszy niż po II wojnie światowej (i nawet obecnie!). W Markusach znajdowała się stacja kolejowa. Zatrzymywał się tu pociąg, który jechał z Elbląga przez Stare Dolno i Myślice do Małdyt. W pobliżu stacji była zajezdnia autobusów, które kilka razy dziennie kursowały do Malborka, gdzie mieściła się wówczas stolica powiatu. Można tam było pojechać rano, załatwić różne sprawy, a po paru godzinach wrócić do domu.

Latem po rzece Tynie pływały niewielkie statki pasażerskie z Elbląga. Zatrzymywały się one m. in. przy przystani przy moście w Thiensdorf (Jeziorze), gdzie nad wodą znajdowała się duża gospoda o nazwie „Rueckfort”. Latem przyplływali tam turyści z miasta, by wypocząć na łonie natury. Spacerowali, łowili ryby, zjadali obiad i wracali do domu. Z kolei mieszkańcy wsi pływali statkami do Elbląga na targ i po zakupy. Ostatni przystanek takiego rejsu Tyną mieścił się w pobliżu domu Liedtków na odcinku Tyny Górnej. W miesiącach letnich były codziennie

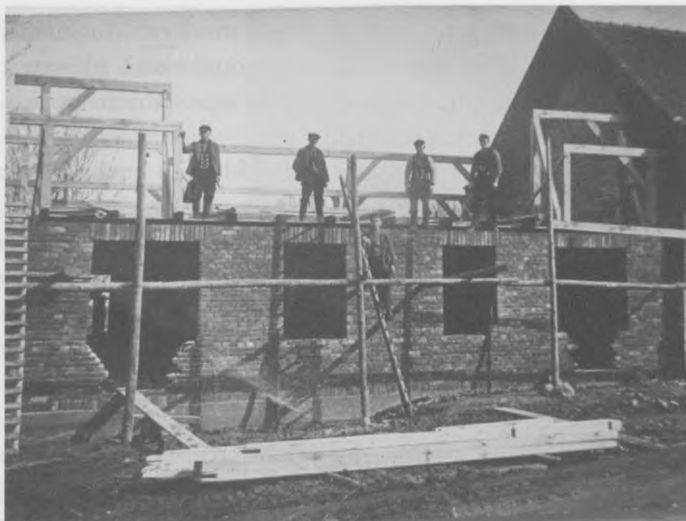
dwa kursy statków do Elbląga: rano i po południu. Podobne jednostki pasażerskie pływały także po pobliskiej rzece Dzierzgoń. Można było np. popłynąć statkiem z Bągartu do Elbląga, mijając gospodę „Letzter Grosch” („Ostatni Grosz”), która znajdowała się tuż przy ujściu rzeki Dzierzgoń do jeziora Drużno. Niedaleko Zwierzna przebiegała też trasa kolejki wąskotorowej, która jednak woziła tylko towary przemysłowe, głównie buraki cukrowe, wysłodki, pasze i nawozy.

Kursowała ona na trasie Lichtfelde (Jasna) – Altfelde (Stare Pole). Jeździła nie według rozkładu jazdy, ale doraźnie, według potrzeb. Skład ruszał dopiero wtedy, kiedy sołtys wsi zebrał od mieszkańców zamówienia na przewóz towarów.

W tamtym czasie na Żuławach nie było takiego rozdrobnienia gruntów jak po II wojnie światowej. Za Niemców w Zwierznie były tylko cztery gospodarstwa rolne, ale za to bardzo duże. Ich właściciele nazywali się: Gruebnau, Klotz, Knorr i Krause. Mieli majątki o powierzchni ponad 100 hektarów i zatrudniali jako robotników większość mieszkańców wsi. Pozostali mieszkańcy zajmowali się handlem, usługami i drobnym rzemiosłem. Gruebnau mieszkał w starym domu podcieniowym z drewna, który do tej pory stoi w centrum wsi naprzeciwko remizy strażackiej, ale trzej pozostali bauerzy wybudowali sobie już murowane domy z cegły w miejsce starych drewnianych. Stawiali też czworaki mieszkalne z cegły dla swoich pracowników, by ich rodziny mieszkaly w godnych warunkach.

Budową domów i pomieszczeń gospodarskich w całej okolicy zajmował się przedsiębiorca budowlany Emil Goldmann z Thiergtsfelde (Zwierzeńskie Pole). Miał on dużą firmę i zatrudniał na stałe wielu ludzi, w tym murarzy, cieślów i specjalistów od innych robót. Goldmann mieszkał w istniejącym do dzisiaj budynku stojącym tuż przy moście na rzece Tynie. Na poniemieckim cmentarzu w Zwierznie zachował się nagrobek Emila i Berthy (z d. Groetz) Goldmannów. Po dziś dzień ktoś tam czasem zapala znicze... W okresie międzywojennym był ruch w budowlance. Bardzo dużo nowych domów powstawało w tej wsi i w sąsiednich. Mieszkańcy Żuław musieli wtedy obowiązkowo ubezpieczać od pożaru domy i gospodarstwa. Jak się spalił od pioruna stary, drewniany dom, to Goldmann w mig stawiał nowy, ale już nie drewniany, tylko murowany z czerwonej cegły. Pieniądze na to wypłacała firma ubezpieczeniowa. A domy paliły się często.

– Przyjeżdżała wtedy ekipa od Goldmanna, zwozili materiały budowlane i wszystko robili. Tego pogorzała już nic nie obchodziło. Nic nie musiał kupować, kłopotać się, bo za wszystko



Budowa obory na Żuławach. Hans Liedtke pierwszy z lewej, okres międzywojenny, fot. archiwum Piotra Liedtke

płaciła firma ubezpieczeniowa. W okresie międzywojennym mój ojciec pracował jako cieśla u Goldmanna. Mam jeszcze zdjęcia z jego młodości, jak wraz z kolegami budował wielkie drewniane stodoły i drewniane strychy na murowanych oborach – opowiada pan Piotr i kładzie na stole plik starych fotografii.

Siedzimy w pokoju na piętrze biblioteki w Zwierznie mieszczącej się w starej willi, która kiedyś należała do niemieckiego weterynarza Kleinerta. Oglądamy przedwojenne fotki. Kilkuosobowa brygada cieśli przeży się dumnie w chwili ukończenia konstrukcji dachu i postawienia na nim wiechy. Mężczyźni mają na sobie typowe stroje robocze. Niemiec cieśle w tamtym czasie nosili do pracy czarne, sukienne kamizelki z wielkimi, błyszczącymi guzikami przyszytymi w podwójnych rzędach. Zwykli robotnicy mieli po cztery rzędy tych guzików, a brygadzysta aż pięć. Na kamizelkach widać też łańcuszki od zegarków noszonych przez robotników. Do tego dochodziły spodnie, wysokie skórzane buty, koszula, czapka z daszkiem, a jak było chłodniej, to także jakaś kurtka lub marynarka. Cały strój wyglądał bardzo elegancko. W archiwum pana Piotra zachowały się trzy zdjęcia przedstawiające ciesielską ekipę Goldmanna przy pracy. Na jednym widać, jak robotnicy stoją na murowanej oborze, do której dobudowują drewniany strych do składowania siana dla bydła. Na drugim rozebrani do pasa cieśle w upalny dzień siedzą na dachu budowanej z drewna stodoły. A na trzecim 8-osobowa ekipa stoi na ziemi przed jakąś zbudowaną z drewna konstrukcją.

W 1936 roku, już w czasie III Rzeszy, Goldmann dostał rządowe zamówienie od państwa na budowę Domu Ludowego w Zwierznie (obecna szkoła podstawowa). Wcześniej w tym miejscu była mleczarnia, która spaliła się w 1935 roku. Nowy budynek postawiono z cegły, ale w tradycyjnym stylu żuławskim, czyli jako dużą wiejską chałupę z podcieniem z przodu. Z tyłu zaś była wielka, elegancka sala widowiskowa z podłogą wyłożoną pięknym parkietem. Na piętrze znajdowały się pokoje mieszkalne dla gości. Było tam coś w rodzaju pensjonatu czy też schroniska dla młodzieży. Obok znajdowało się boisko do piłki nożnej, gdzie trenowała i grała miejscowa drużyna piłkarska, do której należał także Hans Liedtke, ojciec Piotra.



Drużyna piłki nożnej w Thiergart, okres międzywojenny, fot. archiwum Piotra Liedtke

Zachowała się fotografia przedstawiająca dziesięciu zawodników tej drużyny. Są tam wszyscy miejscowi piłkarze, oprócz Hansa. Pozując do zdjęcia, stał z boku z lewej strony. Jego podobizna została jednak oddarta w latach 60. XX wieku, w dramatycznych okolicznościach, o których nie będziemy tu pisać, bo dotyczy to małej społeczności, a świadkowie tej sprawy być może jeszcze żyją. Na zdjęciu możemy podziwiać wysportowanych kolegów Hansa, przejących muskuly do aparatu. Podobno była to

drużyna na niezłym poziomie. Na miejscowym boisku lokalsi rozgrywali też mecze z drużynami przyjeżdżającymi z innych miejscowości. Piłkarze z Żuław również sami wyjeżdżali na gościnne występy gdzieś dalej.

Cieśla w tamtym okresie zarabiał dobrze. Hansa stać było na to, aby w salonie samochodowym we wsi kupić sobie motocykl, którym dojeżdżał do pracy. Ten zakup także został udokumentowany na zdjęciu wykonanym w 1938 roku. Widać tam parę młodych ludzi siedzących na motorze. Za kierownicą jest Hans. Dziewczyna z tyłu w spodniach i jasnych pantofelkach na obcasikach to Agnes, jego żona i przyszła matka Piotra. Agnes pochodziła z Powiśla, a dokładnie z Neumark (Nowy Targ) w gminie Altmark (Stary Targ). Znała zarówno polski, jak i niemiecki, bo w jej domu rodzinnym mówiło się w obu językach. Była córką Marii (z domu Terpidłowskiej, rodem z Koniecwałdu) i Piotra Izdebskich. Jedną z jej sióstr, Hedwig, poślubił Martina Wohlena, który w latach 30. XX wieku miał w Zwierznie



Rzeźnik Martin Wohlen z żoną Hedwig i dziećmi. Thiergart, okres międzywojenny, fot. archiwum Piotra Liedtke

rzeźnię, masarnię i sklep mięsny. Sprzedawał rąbankę, kielbasy, salcesony, kaszanki i inne swojskie wyroby masarskie. W latach 30. Agnes zamieszkała u siostry, by pomóc jej w domu i w sklepie. Tutaj, we wsi, poznała Hansa Liedtke. Ich ślub kościelny odbył się 27 września 1937 roku w kościele filialnym pw. świętego Rocha w Nowym Targu, zaś cywilny w urzędzie gminy w Starym Targu.

Ich pierwszy syn urodził się w 1938 roku, a drugi w 1939 roku. Po ślubie Hans nadal pracował jako cieśla. Agnes zajmowała się domem, wychowywała dzieci i pomagała teściowi w gospodarstwie. Jak na tamte czasy, było to gospodarstwo średniej wielkości: parę hektarów ziemi, pięć krów, koń i parę świnek. Kiedy III Rzesza napadła na Polskę w 1939 roku, to Hans nie został powołany do wojska z uwagi na gospodarstwo rolne i dwoje małych dzieci. Oficjalnie zwolniono go ze służby w Wehrmachcie z powodu opieki nad rodziną. Jednak pod koniec wojny, w roku 1943 lub 1944 roku, zdarzył się incydent, który spowodował, że Hans musiał zgłosić się do wojska w trybie natychmiastowym.

– Wtedy właśnie w Zwierznie w Domu Ludowym miała się odbyć jakaś ważna narada. A ojciec był sportowcem, grał w piłkę w tutejszym klubie sportowym. Wybrano go, aby w czasie tej uroczystości stał i trzymał flagę z hakenkrojcem – mówi Piotr Liedtke. – Ale on powiedział, że tego nie zrobi.

– A on nie popierał Hitlera?

– Nie, nie... W tej dużej sali w Domu Ludowym przy wejściu na scenę były dwie wnęki, gdzie wieszali te flagi jak była jakaś uroczystość. Ojciec miał tam właśnie stać z tą flagą, ale się nie zgodził. Następnego dnia o piątej rano przyjechał do niego sołtys i powiedział, że

natychmiast ma się zgłosić do jednostki wojskowej w Braniewie. Ojciec pojechał tam motorem, bo został wezwany w trybie pilnym. To była końcówka drugiej wojny światowej, chyba 1944 rok. Nawet nie wysłali go już na front wschodni. Najdalej na wschodzie był w Braniewie. Może z pół roku był w tej jednostce. A potem już tylko cały czas uciekali na zachód. Nie znam dokładnie jego losów wojennych, ale wiem, że ojciec dostał się do niewoli we Francji, gdzieś nad oceanem, nad Zatoką Biskajską. Tam z kolei był lokajem u jakiegoś francuskiego oficera, robił mu zakupy i pracował w ogródku.

Na stół wędruje niewielkie zdjęcie z czasu francuskiej niewoli przedstawiające grupę młodych żołnierzy w mundurach Wehrmachtu, ale bez pasów. Hans stoi jako drugi z lewej



Niemieccy żołnierze w niewoli francuskiej. Hans Liedtke drugi z lewej strony. Koniec II wojny światowej, fot. archiwum Piotra Liedtke

w jasnej koszuli z podwiniętymi do łokcia rękawami. Mężczyźni trzymają w rękach łopaty. Jak się zdaje, pracują przy jakiś robotach ziemnych, widać wielkie hałdy ziemi i wózki na szynach do jej odwożenia. Prawdopodobnie budują jakieś okopy czy umocnienia.

Tak więc Hans jest we Francji, a co w tym czasie dzieje się z Agnes? W styczniu 1945 roku całe Żuławy uciekają przed nadchodzącą Armią Czerwoną. Nie jest to

ewakuacja obowiązkowa, zarządzona odgórnie, jak na Wielkich Żuławach, które miały zostać w całości zalane wodą przez wojsko. Żuławy Elbląskie ewakuują się dobrowolnie i na własną rękę. Ze strachu przed Iwanem ludzie w popłochu zostawiają swoje gospodarstwa, zaprzęgają konie i siadają na wozy. To samo robi Gustav Liedtke. Ładuje na wóz synową z dwójką małych dzieci i podążają wraz z innymi na zachód. Jest mróz, śnieg, ślisko, na drogach tłumy ludzi. Panuje ogólny chaos. Udaje się im szczęśliwie przekroczyć Nogat i Wisłę. W okolicy Stolp (Słupsk) wpadają jednak w kocioł. Rosjanie biorą ich do niewoli, zabierają im konia i wóz. Na widok radzieckich żołdatów stary Gustav od razu pada trupem na miejscu. Zabija go nagły zawał serca ze stresu. Agnes zostaje wśród obcych sama z dwoma synami, z których jeden ma 7, a drugi 6 lat. Ratuje się jednak szczęśliwie z radzieckiej niewoli dzięki swojej znajomości języka polskiego. Gdzie teraz ma się udać? Tylko na Żuławy! Tam jest ich dom rodzinny!

– Agnes, ty wróc do domu, bo Hans tam na pewno wróci – powtarzał jej teść, jak jeszcze jechali razem na wozie w nieznanie. Zapamiętała dobrze te słowa.

W warunkach wojennych udaje się jej załatwić transport spod Słupska na Żuławy. Latem 1945 roku przyjeżdża tutaj wojskowym samochodem z radzieckimi żołnierzami. Mówi po polsku, więc Rosjanie biorą ją za Polkę. Litują się nad samotną kobietą z dwoma małymi chłopcami.

Po drodze Agnes służy im jako tłumaczka. Kiedy Rosjanie łapią jakiegoś Niemca do niewoli, to ona tłumaczy ich rozmowy. Rozstaje się z Sowietami, gdy dociera do Zwierzna. Idzie pieszo na kolonię za wsią, zobaczyć, co z domem. Budynki jeszcze stoją. Wchodzi do środka i staje jak wryta. Tam już nic nie ma! Wszystko wyszabrowane! Budynek został ogołocony z całego wyposażenia. Nie można tam zamieszkać. Poza tym, dręczy ją, co się dzieje z innymi członkami rodziny jej i męża. Wszyscy wyjechali stąd przecież zimą 1945 roku. Ciekawe, czy żyją, gdzie teraz przebywają...

Kobieta wraz z synami rusza na piechotę w kierunku Lichtfelde (Jasna), gdzie wcześniej mieszkała rodzina Hansa. Okazuje się, że tam stacjonują już rosyjscy żołnierze. Zatrzymuje się u nich. Jednak nie może tam zostać. Dowiaduje się, że tym oddziałem Armii Czerwonej dowodzi jakiś szalony lejtnant (porucznik), który po pijaku siada na konia i strzela do wszystkiego, co mu się nie spodoba, czy to kot, krowa czy człowiek. Żołnierze opowiadają jej o swym groźnym dowódcy i każą iść dalej. Jest czas sianokosów, a może już żniw. W pobliskim Bągarci miejscowi ludzie nie chcą pracować na polu. Lejtnant pojechał tam konno, aby przywołać ich do porządku. Ale niedługo powinien być z powrotem.

– Udiraj! – mówi jakiś młody żołdat. – Uciekaj! Nie wiadomo, co będzie, jak nasz lejtnant wróci z objazdu. Lepiej, żeby cię tu wtedy nie było. Masz tu pałatkę (pelerynę), okryjesz siebie i dzieci, jakby deszcz padał.

Ostrzeżona Agnes rusza z chłopcami w dalszą drogę. Nieprzemakalna pałatka od ruskiego żołdata bardzo się przydaje, bo po drodze łapie ich straszna ulewa. Nakrywają się tą pałatką i stoją w miejscu, czekając aż przestanie padać. Potem ruszają dalej.

W Starym Targu Agnes odnajduje ciotkę.

– Twoja mama i siostra ze swoją siódmką dzieciaków mieszkają teraz w Nowym Targu – mówi ciotka.

Agnes rusza więc dalej do Nowego Targu. Tam znajduje matkę, siostrę i jej potomstwo. Zatrzymuje się w domu rodzinnym. Przypadkiem spotyka na drodze koleżankę, z którą



Agnes Liedtke, okres międzywojenny, fot. archiwum Piotra Liedtke



Agnieszka Liedtke przed swoim domem w Zwierznie, fot. archiwum Piotra Liedtke



Straż pożarna z Neumark (Nowy Targ) w powiecie sztumskim, której członkiem był dziadek Piotr Izdebski. okres międzywojenny. Fot. archiwum Piotra Liedtke

chodziła do szkoły. Okazuje się, że tamta również ma męża wojskowego w niewoli francuskiej. Ma jego adres, koresponduje z nim.

– Agnes Liedtke się znalazła. Mieszka teraz tu obok u swojej matki – pisze koleżanka powojenne nowości do swojego męża. Ten list dociera do Francji.

A Hans Liedtke jest w niewoli tuż obok, po sąsiedzku, mieszka jakieś 100 metrów dalej. Kolega przynosi mu radosną wieść, że żona i synowie żyją.

W 1948 roku Hans wraca do Polski z francuskiej niewoli. Znajduje rodzinę w Nowym Targu. Jednak ciągnie go do Zwierzna, do swego domu. W tamtym czasie w gospodarstwie Liedtków mieszka już nowy osadnik, Ukraińiec Bohdanowicz, który zajął ten dom, bo stał pusty. Rodzina Liedtków zatrzymuje się w Zwierznie. Wraz z pięcioma innymi rodzinami mieszkają w dawnych „czworakach”, a właściwie „sześciorakach”, czyli w budynku komunalnym, który stoi pomiędzy Domem Ludowym a szkołą poewangelicką.

– I właśnie tam przyszedłem na świat w 1949 roku – mówi Piotr Liedtke. – Nasza rodzina mieszkała u góry, a na dole mieszkał sołtys Gruening. On był przed wojną niemieckim sołtysiem, a po wojnie polskim. Zostawili go, bo on, tak samo jak moja mama, znał dwa języki, polski i niemiecki. Mieszkał tutaj jakiś czas po wojnie, a później wyjechał do Niemiec. I ten sołtys tak załatwił, że Bohdanowiczowi dali inne gospodarstwo w Żurawcu, a my mogliśmy wrócić na swoje. Zamieszkaliśmy tam znowu w kwietniu 1951 roku. Miałem wtedy dwa lata. Mama przechowała wszystkie dokumenty tego gospodarstwa, miała akt własności dziadka. Do tej pory mam te stare papiery. Ale po latach taka sprawa wynikła... Miałem papiery jak mój dziadek przepisał wszystko na ojca, potem mama przepisała wszystko na mnie. Ale to nie wystarczyło, by zwolnić mnie z płacenia podatku za gospodarstwo. Musieliśmy potem spłacać to gospodarstwo tak samo jak polscy osadnicy, którzy tu przyszli po wojnie. Byłem tym oburzony! Ale płaciłem normalnie, jak wszyscy. Kiedy już tam zamieszkaliśmy, to nasza rodzina powiększyła się. W 1955 roku przyszedł na świat mój najmłodszy brat. Zostaliśmy tutaj, rodzice prowadzili gospodarstwo. Mój ojciec do końca życia, a zmarł w 1969 roku, nie nauczył się języka polskiego. Wszystkie sprawy w urzędach czy w sklepach załatwiała mama, bo mówiła po polsku. Ojciec zajmował się gospodarstwem, trochę też pracował jako cieśla. Tylko imię zmienił z Hansa na Jan.

– Jak was traktowano tutaj jako Niemców? Normalnie? Czy też byliście szykanowani jakoś przez przybyszów z innych terenów Polski? Bo tu jednak prócz was wielu innych Niemców nie było.

– Tutaj zamieszkali prawie sami katolicy. Nasza rodzina też była katolicka. Ojciec jakoś sobie radził bez znajomości polskiego. Jeden nasz sąsiad był zza Wisły, z Kociewia. Drugi sąsiad był z Poznańskiego. Obaj znali niemiecki, więc mógł z nimi się dogadać. W Złotnicy mieszkało kilku rolników, którzy w czasie wojny pracowali u Niemców i tam nauczyli się

niemieckiego. Wielgosik urodził się w Niemczech, to umiał po niemiecku. W Zwierzyńskim Polu Germany mieszkali, to z ojcem się kolegowali. Jak rodzice jeździli do znajomych do Kępniewa, to też tam rozmawiali po niemiecku. U nas w domu mówiło się po niemiecku. Jak miałem sześć lat, to mama mi powiedziała: „musisz zacząć uczyć się po polsku, bo do szkoły za rok pójdziesz”. W domu mama mówiła do mnie po polsku i tak się nauczyłem. W szkole nie miałem problemów z językiem. No, może trochę na lekcjach polskiego miałem problemy. Jednak muszę przyznać, że w podstawówce koledzy trochę mnie wyzywali. Kiedyś dostałem od cioci rower, pojechałem nim do szkoły, bo aż cztery kilometry do szkoły miałem. Wtedy koledzy ten mój rower schowali, gdzieś na drzewo powiesili...

– A pan był wówczas jedynym Niemcem w szkole?

– W tamtym czasie byłem sam. Zaraz po wojnie, jak chodzili do szkoły moi starsi bracia Heniek i Janek, to było inaczej. Wtedy razem uczyły się różne roczniki, była inna sytuacja.

– Ale chyba też dużo dawało to, że mama była tu znana w okolicy jako ludowa uzdrowicielka? Była lubiana. Słyszałam, że bardzo pomagała ludziom. Leczyła też osoby z mojej rodziny. Nastawiała kości czy też stawy... Jak ona odkryła to, że umie leczyć ludzi? Czy też ktoś ją tego nauczył?

– Kiedyś uczyli takich rzeczy w szkole podstawowej. Ona w szkole tego się nauczyła. Jak była zwichnięta ręka, obojczyk, kolano – to mama masowała i prostowała. Kiedy małe dzieci „przewichnęły się”, to też im pomagała. Jak rodzice przyjechali do niej z takim dzieckiem, to ono płakało, bo je bolało. To mama wtedy przesuwała lewy łokieć do prawego kolana, a prawy do lewego. Jak było dobrze, to dotknęło, a jak było źle, to zaczynało krzyczeć. Ona wtedy brała dziecko za nóżki, trzymając głowę na dół, lekko strząchnęła i było dobrze. Ile ludzi u nas się przewinęło! Z dziećmi ile osób przyjeżdżało... Mama jeszcze prócz tego gotowała na weselach. Jeździła na rowerze po wsiach. To dlatego byliśmy znani w okolicy.

– Pan jest tu znany jako społecznik i strażak.

– Zawsze wiele pracowałem społecznie. Swego czasu byłem przewodniczącym ZMW (Związek Młodzieży Wiejskiej) w naszej gminie. Po skończeniu podstawówki uczyłem się w Gdańsku na tapicera w szkole zawodowej. Jak wróciłem potem do domu, to mnie wybrali na przewodniczącego ZMW. W polityce nigdy nie byłem, ale umiałem zorganizować coś dla ludzi. I potem było tak, że ci mi najbardziej w szkole dokuczali, to później byli moi najlepsi kumple. Organizowałem różne występy i zabawy ludowe w Zwierznie. Te zabawy były słynne na całą okolicę. Sprzedawaliśmy po 550 biletów. W Domu Ludowym była piękna, duża sala, parkiet na podłodze, tam się tyle ludzi mieściło. Orkiestra przyjeżdżała przygrywać do tańca. Lubili u nas grać, bo tu była dobra akustyka. Ludzie się bawili, tańczyli. Działalem też w straży pożarnej. Pożarnictwo to jest taka nasza rodzinna tradycja. W straży pożarnej było moich dwóch dziadków, mój ojciec, czterech synów, a także ich synowie i córki. Teraz jestem prezesem straży pożarnej w Zwierznie, a mój syn Paweł jest komendantem straży w całej gminie Markusy. Nasza rodzina nawet dostała z tego tytułu specjalny dyplom.

– Pana rodzina nie miała ochoty wyjechać do Niemiec „na pochodzenie”?

– Ja w wieku 26 lat już pojechałem do RFN!

– Na pochodzenie?

– Nie, pojechałem tam w gości. Dostałem zaproszenie i pojechałem. Poznałem tutaj w Rozgarcie ludzi, którzy przyjechali z RFN-u. Oni tam byli w kościele, potem szli drogą,

rozmawiali po niemiecku. Podszedłem, zapytałem, czy mogę jakoś pomóc. Oni się bardzo ucieszyli. Okazało się, że to syn ze starszymi rodzicami przyjechał. Oni pochodzili z Rozgartu. Zaprosiłem ich do nas do domu, a potem oni zaprosili mnie do siebie. To było w połowie lat 70., czyli okres PRL-u. Nie było wtedy łatwo dostać paszport, ale mnie się udało. Dostałem paszport i niemiecką wizę. Potem jeszcze innym pomagałem, co tu przyjeżdżali. Zdarzało się, że oni sami jeździli po okolicy, nie mogli znaleźć domu przodków, który mieli na fotografii, a ja im pokazałem. Albo jakiś właściciel polski nie chciał ich przyjąć, nawet pogonił z widłami. A jak ja z nimi przyjechałem, to była już inna gadka, bo mnie znał, więc ich dobrze przyjął, ugościł, nawet ziemi w worku dał na pamiątkę. Przez to właśnie byłem wiele razy w Niemczech, bo miałem tam wielu znajomych. Każdy chciał się jakoś odwdziżyć. Ci ludzie stąd, np. Sztumiacy czy Elblążanie, mieszkający tam organizowali sobie takie zjazdy raz w roku. Oni chcieli tu przyjechać, zobaczyć, ale się bali. Ci, co mnie już znali, mówili jeden drugiemu: „Jeźdź! Tam jest taki Piotr, on ci pomoże”. Ludzie, którzy tu przyjeżdżali w tamtym okresie, czyli w połowie lat 70., to mieszkali tutaj jako dzieci. Mieli 8, 10, 15 lat jak stąd wyjechali. Oni pamiętali co nieco. A po wizycie tutaj, to mówili: „Jak będziesz w Niemczech, to musisz mnie odwiedzić”. Jechałem do jednych ludzi, a potem od nich do innych. Miałem spisane adresy i telefony. W jednym roku byłem w Niemczech w 37 miejscach, u rodziny i u tych znajomych, którym tu pomagałem. Wiele zobaczyłem, dowiedziałem się, poznałem. Byłem w domach i u prostych ludzi, i u wysoko postawionych, byłem u lekarza, u prezydenta miasta, u emeryta i u robotnika... Właśnie przez to, że oni tu zaczęli przyjeżdżać, to my znaleźliśmy naszą rodzinę z ojca strony, z którą nie było kontaktu od 1945 roku. Okazało się, że oni mieszkają w Niemczech, w RFN, rozsypani na dużym terenie od morza aż po Francję. Dzięki tym ludziom, którzy tu zaczęli przyjeżdżać, oni się odnaleźli! Poznajdowałem moich kuzynów i kuzynki, dużo starszych ode mnie, bo ojciec był najmłodszy z całej siódemki rodzeństwa, więc ci kuzyni byli starsi ode mnie nawet o 40 lat. I ta rodzina ojca też tu do nas przyjechała. W 1985 roku w gościnę do nas na tydzień przyjechało aż 25 osób.

– Cała wycieczka.

– Wycieczka.

– Jak ich położyliście w domu?

– Oni przywieźli ze sobą namioty. Młodzi spali w tych namiotach, a starsi u nas w domu. Przyjechali autobusem, robili sobie wycieczki po okolicy, do Gdańska jeździli. Miałem wtedy konie i bryczkę, woziłem ich po wsiach. Podobało im się tutaj. Wcześniej wiedzieliśmy tylko, że w NRD mieszka dwóch wujków i dwie ciotki ze strony mamy. Ten wujek Wohlan, rzeźnik ze Zwierzna, miał brata koło Cottbus, nad czeską granicą. I jak musieli stąd uciekać w 1945 roku, to on od pojechał do brata, aby się u niego zatrzymać. I tam już został. Inny wujek ożenił się w NRD i tam zamieszkał. A z rodziną ojca nie było żadnego kontaktu.

– Historia pańskiej rodziny jest bardzo skomplikowana. W sensie tożsamości, to pan się czuje bardziej Niemcem czy Polakiem?

– Dlaczego ja mam być Niemcem, jak ja jestem Polakiem? Jeździłem tam, ale mieszkam tutaj. Jak tam pojechałem pierwszy raz w 1976 roku, to już chciałem tam przeprowadzić się na stałe. Porównałem, co tam było, a co u nas. My byliśmy wtedy 100 lat do tyłu. Przyjechałem do domu, mówię żonie, że jedziemy. Nasza córka Ania miała wtedy dwa lata. – Ja nigdzie nie jadę – mówi żona. – Ty umiesz po niemiecku, będziesz gdzieś łaził, a ja będę siedzieć w domu

sama, bo ja nie umiem. – Ja też nigdzie nie jadę – mówi mama. – Ja tu się urodziłam i tu chcę umrzeć. Po dwóch latach pojechałem tam znowu. I znów widziałem tę organizację, ten dobrobyt... Przyjechałem. Rozmawiamy w domu. Nie, nie jedziemy, zostajemy...

A trzeci raz jak pojechałem do Niemiec, to już tam było inaczej. Zrobiło się kolorowo. Pełno było Turków, Jugosłowian, Murzynów. Jak poszliśmy ze znajomymi do knajpy, to



Odwiedziny rodziny z Niemiec, fot. archiwum Piotra Liedtke

nie wiedziałem, gdzie jestem. – Nigdzie nie jedziemy – powiedziałem żonie i mamie jak wróciłem do domu. Sam odmówiłem już wyjazdu. Zostaliśmy tutaj.

– Pan jest takim żyjącym świadkiem historii tej ziemi, dużo pan wie, nawet o tym, jak tu było na długo przed pana urodzeniem. Przekazuje pan tradycję...

– Dużo wiem o tej okolicy od ojca. On wiele mi opowiadał, tak przy okazji. Jak jeździłem z nim do młyna, do cukrowni, tu i tam, to on mi mówił, co gdzie było. Dużo wiedział o okolicy, bo w wielu miejscach pracował na budowie, wielu ludzi znał.

– Pan przez wiele lat prowadził gospodarstwo po rodzicach. W ciągu pana życia wiele się zmieniło w rolnictwie?

– To było średniej wielkości gospodarstwo. Miałem głównie łąki i hektar ziemi ornej w trzech kawałkach. Hodowałem krowy, świnie. Miałem maszyny rolnicze, wóz konny i bryczkę. Konie hodowałem do 1998 roku. Kiedyś nie było ciągników. Wszystkie prace w polu robiło się przy pomocy koni. Później dopiero pomału wchodziły ciągniki i nowoczesne maszyny rolnicze. Ja nie miałem ciągnika, bo nie dostałem na niego przydziału z gminy, więc pracowałem na roli przy pomocy koni. Potem trochę pomagali mi sąsiedzi, którzy już mieli ciągniki. Ja z kolei miałem samochód dostawczy, więc rewanżowałem się im swoją pomocą. Jak był potrzebny transport, to temu czy innemu coś tam przywoziłem, pomogłem. Ludzie sobie kiedyś nawzajem pomagali na wsi w różnych pracach.

– A co się zmieniło, jeśli chodzi o meliorację, która jest tutaj niezbędna? Czy ludzie tutaj mają świadomość, że bez niej Żuławy mogą znowu zamienić się w bagno?

– Rów na Żuławach to jest podstawa. Przed wojną tutejszy rolnik sam czyścił swoje rowy. Każdy miał wytyczone 200–300 metrów rowu do najbliższej pompy wodnej i tym musiał się zajmować. To było kontrolowane przez władze. Do oczyszczania rowów służyły rolnikom specjalne szufle. Było to urządzenie ciągnięte przez konia, które zbierało to, co wyrzucono i rozgarniało na pole. Potem to się bronowało. Dawniej rowy były dość szerokie i głębokie. Nie były zarosnięte roślinnością tak jak dzisiaj. Pływały w nich ryby. Natomiast po wojnie



*Piotr Liedtke na drodze przed swoim domem,
fot. A. Łukawska*

z początku nikt nic nie robił. Nie było zorganizowanej melioracji. Dopiero potem utworzono spółki wodne. Każdy rolnik musiał na nie płacić. I te państwowe spółki oczyszczwały i kopały rowy. Robiły to jednak nie co roku, jak dawniej, tylko co 7 lat. Państwowi melioranci kopali jednak rowy zupełnie inaczej niż dawniej. Jak kopali, to zostawiali na brzegach rowu ogromne hałdy ziemi, ale ich potem nie rozgarniali. A po 1989 roku, po zmianie ustroju, spółki wodne rozwiązano i nikt już nie zajmował dbaniem o rowy. Kiedy gmina Markusy przeszła do województwa warmińsko-mazurskiego to jakiś urzędnik z województwa w Olsztynie chciał w ogóle zlikwidować tutejsze stacje pomp. Taką decyzję podjął z za biurka, nie znając w ogóle specyfiki Żuław. Uznał, że to jest niepotrzebne, za drogie, za wiele kosztów generuje. Dopiero jak go tu przywieźli i pokazali, jakie są różnice poziomów wody przy pompie; kiedy zobaczył, że w kanale jest woda dwa metry wyżej niż w rowie, to przejrzał na oczy. Teraz gospodarze, zwłaszcza tacy więksi, znowu sami zaczęli dbać o swoje rowy. Co roku z własnej inicjatywy trochę kopią albo zakładają dreny na polach...

Pan Piotr jest już na emeryturze. Nadal jednak jest aktywny i pracuje społecznie w Straży Pożarnej w Zwierznie. Działa również w miejscowym Klubie Seniora. Dom, który sto lat temu kupił jego dziadek Gustav, wciąż stoi, choć już nieco zmieniony i przystosowany do współczesnych czasów. Dach na domu jest pokryty czerwoną dachówką, a nie trzcina. W środku założono centralne ogrzewanie i łazienkę, a ozdobny ganek został oszklony, by zimą ciepło z domu nie uciekało. Zamiast stodoły jest garaż. Prowadząca do tego domu droga na wale nad Tyną niedawno została pokryta asfaltem. Przed domem ustawiono stół i krzesła, z których właściciele i ich goście mogą podziwiać rozległą zieloną przestrzeń łąk. W oddali widać strzelistą wieżę kościoła w Zwierznie. Krów i koni jednak już tutaj nie ma. W ogóle nie ma żadnych zwierząt hodowlanych, ani dużych, ani małych. Po podwórzu cicho przemyka nieśmiały kotek, a na dachu widać ogromne, piętrowe gniazdo bocianie, bo to okolica wymarzona dla tych ptaków. Bociany żyją w tym samym miejscu od pokoleń.



*Nagrobek przedsiębiorcy budowlanego Emila Goldmanna i jego żony Berthy,
fot. A. Łukawska*

Zbigniew Jerzy Woś



JARNOŁTOWO W ŻYCIU IMMANUELA KANTA

Immanuel Kant urodził się 22 kwietnia 1724 roku o godzinie 5 rano w Knipawie, jednym z trzech miast tworzących Królewiec (niem. Königsberg). W kilka miesięcy później, to jest 13 czerwca 1724 roku, król Fryderyk Wilhelm I mocą swego reglamentu ratuszowego scalił trzy miasta: Stare Miasto, Knipawę i Lipnik, w jedno miasto – Królewiec. Od tego czasu jego nazwa brzmiała: Królewsko-Pruskie Stołeczne i Rezydencjonalne Miasto Królewiec (niem. Königlich Preussische Haupt – und Residenzstadt Königsberg).

Rodzina Kanta była pochodzenia szkockiego, przybyła do Prus w XVII stuleciu, początkowo poprzez Gdańsk do Kłajpedy i Tylży, a później do Królewca. Pochodzący ze Szkocji pradziadek Richard nosił nazwisko Cant, dziadek Hans (~1640–1715) oraz ojciec Johann Georg (1683–1746) pisali swoje nazwisko Kandt. Syn pisał już nazwisko jako – Kant. Ojciec był rymarzem specjalizującym się w produkcji siodeł do jazdy konnej. Jego matka, Anna Regina Reuter (1697–1737), urodziła się w Królewcu, a jej rodzice pochodzili z Norymbergii we Frankonii, była córką rymarza, mocno związana z religijnym ruchem pietystycznym.

23 kwietnia 1724 roku potomek Kantów został ochrzczony jako Emmanuel. Z czasem przyszły filozof zmienił swoje imię i używał go w formie Immanuel (co z hebrajskiego oznacza, „Bóg z nami”). Był on czwartym z dziewięciorga dzieci (z których tylko pięcioro jego rodzeństwa dożyło wieku dojrzałego). Wraz z przyszłym filozofem wzrastały cztery siostry (Regina Dorothea 1719–1792; Maria Elisabeth 1727–1796, po mężu Kröhnert; Anna Louise 1730–1774, po mężu Schultz; Catharina Barbara 1731–1807, po mężu Theuer) i brat (Johann Heinrich 1735–1800).

W 1729 r. zmarł ojciec Anny Kant – Caspar Reuter, z którym rodzice Immanuela prowadzili wspólny rymarski interes biznesowy. Rodzina została zmuszona do opuszczenia centrum miasta i przeprowadziła się na ulicę rymarza Sattlerstrasse. Kant stracił bogatych klientów i jego dochód systematycznie spadał. Warunki życia rodziny znacznie się pogorszyły.

W 1731 Immanuel rozpoczął naukę w miejscowym Hospitalschule, Szkole Szpitala Świętego Jerzego, w której nauczano głównie katechezy. Matka wołała go „Manelchen”, mierzył metr pięćdziesiąt siedem, miał wielką głowę i nieco niższe lewe ramię.

W 1732 r., dzięki pomocy pastora Franza Schultza, który był znajomym matki, Immanuel został przeniesiony do Pietist Collegium Fridericianum dla chłopców, gdzie pobierał naukę aż do roku 1740. Zajęcia odbywały się tam sześć dni w tygodniu, niedziele pochłaniało odrabianie prac domowych i modlitwy. Głównymi przedmiotami były łacina i religia oraz podstawy matematyki. Tamtejsi nauczyciele uznawali, iż wszystkiego, co dotyczy natury i pojmowania świata, wystarczająco naucza Biblia. Przypomnijmy, że jeszcze w 1750 roku duchowieństwo



Herb rodu von Hülsen, właścicieli Jarnoltowa, po otrzymaniu 29 stycznia 1800 r. dziedzicznego tytułu hrabiowskiego. Rys. S. Saturnus

nadzieja, że zostanie on teologiem i będzie realizował karierę kościelną. Jednak młody student wybrał naukę logiki, etyki, metafizyki, prawa naturalnego i matematyki, najprawdopodobniej pod wpływem swego doradcy Martina Knutzena (1713–1751). To wówczas, korzystając z prywatnej biblioteki Knutzena, poznał dzieła filozofów Gottfrieda Leibniza i Christiana Wolffa oraz Davida Hume'a. Przyznał później, że to właśnie czytanie Hume'a zapoczątkowało jego przebudzenie z dogmatycznej drzemki i pozwoliło w nowy sposób postrzegać filozofię tego świata.

W okresie studiów, obok nauki, często brał udział w zabawach i spotkaniach towarzyskich, podczas których bywał tzw. duszą towarzystwa, zawsze modnie ubrany, szarmancki, elokwentny, z niewyczerpanym zapasem anegdot i poczuciem humoru oraz oryginalnych replik. Był też dobrym graczem w karty, także tam, gdzie stawką były pieniądze. Młody Kant nie był zamkniętym snobem i zdziwaczałym osobnikiem, jak niekiedy jest opisywany.

W 1744 roku Johann Kant doznał wylewu. Immanuel musiał zaopiekować się chorym ojcem i młodszym rodzeństwem, przestał chodzić na wykłady i zajęcia uniwersyteckie, został głową rodziny. W 1746 roku pochował swego ojca (na cmentarzu dla ubogich), napisał większość swojej pierwszej pracy, którą przedłożył do cenzora, i opłacił wydawcę. W 1747 roku uregulował sprawy rodzinne, to jest znalazł domy dla młodszego brata Johanna-Heinricha przyszłego pastora i trzech siostr, po czym poświęcił się własnym sprawom. Wydał pierwszą rozprawę „Gedanken von der wahren Schätzung der lebendigen Kräfte und Beurteilung der Beweise” (co wolno przełożyć jako „Myśli o prawdziwej ocenie sił żywych”), będącą jego debiutem naukowym.

W 1747 roku, nie ukończywszy formalnie uczelni, bez dyplomu, wyjechał z miasta do pracy jako nauczyciel na wsi. Został nauczycielem trzech z pięciu synów pastora Daniela Ernsta Anderscha w Judtschen [około sto kilometrów na wschód od Królewca – obecnie Wesołówka (ros. Весоловка) w Obwodzie Królewieckim]. Niektóre źródła mówią, iż był

oficjalnie odrzucało system heliocentryczny i nie uznawało mechaniki Newtona w obszarze ciał niebieskich. Szkoła miała przygotować uczniów do kariery administracyjnej i biurowej, zatem zakres nauki nie musiał być zbyt szeroki. Okres ten Kant później ocenił jako najcięższe lata życia, gdzie rządziła dyscyplina, smutek i brak wolności.

W 1736 r. umarła matka, a owdowił ojciec utracił pracę i pozostał bez źródeł dochodu. Kontynuacja nauki stała się możliwa dzięki stypendium i wsparciu finansowym wuja, szewca Richtera.

W 1740 roku Immanuel Kant wstąpił na uniwersytet. Intencją rodziny wspieraną przez pastora Schultza była



Kopia z pocztówki z roku ok. 1920. Po lewej, istniejący do dziś budynek zarządcy dawnego majątku ziemskiego. W środku wybudowany w 1770 r. przez Jerzego von Hülsena, ucznia Kanta, pałacyk jarnołtowskiego majątku. Po prawej nieistniejący dziś budynek będący domniemaną siedzibą właścicieli dworu w okresie poprzedzającym budowę pałacyku – prawdopodobne miejsce, w którym nauczał Immanuel Kant.

to rok 1748, gdyż pierwszym udokumentowanym śladem pobytu tam jest wpis dopiero z dnia 27 października 1748 r. w księdze chrztów, gdzie „studiosus philosophiae” Immanuel Kant widnieje jako świadek chrztu Samuela Challet, syna miejscowego nauczyciela (drugim świadkiem była żona pastora).

Za filozofem i biografem Kanta, Karlem Vorländerem, wolno powiedzieć, iż Kant około 1750 roku pozostawił Judtschen i udał się do Jarnołtowa (niem. Groß Arnsdorf). Datę tą przywołuje się na podstawie wpisów w księdze chrztów w Judtschen, gdzie w zapisach z roku 1751 jako świadek występuje już inny, nowy nauczyciel (student teologii), co pozwala wnioskować, iż Kant został zastąpiony i wyprowadził się z Judtschen. Na rok 1750 może wskazywać też fakt, iż w lipcu tego właśnie roku jego dotychczasowy uczeń rozpoczął naukę w szkole Joachimstaische w Berlinie. Kant został prywatnym nauczycielem (niem. Hofmeister) w majątku właściciela Jarnołtowa Bernarda Fryderyka von Hülsena (niem. Bernhard Friedrich von Hülsen). Nauczał trzech jego synów: 13. letniego Krzysztofa Ludwika (niem. Christopher Ludwig); 10. letniego Ernesta Fryderyka (niem. Ernst Friedrich) i 6. letniego Jerzego Fryderyka (niem. George Friedrich). Pracował on tam równoległe z innym nauczycielem, który nauczał chłopców języka francuskiego. Kant język francuski tylko rozumiał, ale nie mówił nim. Należy przyjąć, iż Immanuel Kant w Jarnołtowie przebywał do początku roku 1754. Wzmianką o powrocie do Królewca jest opublikowany w czerwcu 1754 r. w lokalnej gazecie artykuł Kanta. Na rok ten wskazuje także list Kanta pisany w Królewcu 10 sierpnia 1754 roku do Krzysztofa Ludwika von Hülsena, w którym Kant informuje adresata o wysyłce podręczników do łaciny i historii oraz dwóch obrazków dla jego młodszego brata oraz dla ojca. Z kontekstu całego listu i jego witalności wynika, że Kant bardzo niedawno opuścił ich dom.

Lata 1750–1754 jako okres pobytu Immanuela Kanta w Jarnołtowie wskazano także w sprawozdaniu z dnia 16 stycznia 1855 roku z wizytacji kościoła i parafii Jarnołtowo, zawierającym opis historii Jarnołtowa i parafii sporządzony przez pastora Glogana. Dokument ten sygnował wówczas August Fryderyk hrabia von Hülsen, patron i opiekun parafii, generał dywizji w stanie



Staw i zabudowania w centrum wsi, z widokiem na dawną rządcówkę a przedwojenny posterunek policji w Jarnołtowiu, fot. R. Kucharek. 2016.

spoczynku, syn jarnołtowskiego ucznia Kanta – Georga Friedricha. Oryginał dokumentu zachował się w olsztyńskim archiwum.

Jak wynika z powyższego, pobyt Kanta w Jarnołtowiu był tu kilkuletni, z rodziną Hülsenów późniejszy filozof nawiązał bliskie, trwające przez wiele lat stosunki. Świadectwem tego są dziękczynne i bardzo taktowne listy ojca jak i uczniów, w których dawnego nauczyciela i współlokatora jeszcze po wielu latach informowali o wszystkich rodzinnych wydarzeniach. Gdy siedem lat później, to jest w 1761 roku, Jerzy Fryderyk dostał się na studia, zamieszkał u swojego byłego nauczyciela w Królewcu. Po roku studiów pozostawił uniwersytet i przeszedł do szkoły oficerskiej, żegnając się ze swoim nauczycielem i opiekunem napisał do niego dziękczynny list, który ten przechowywał zawsze wśród gromadzonych dokumentów prywatnej biblioteki.

Kant w Jarnołtowiu nie tylko nauczał synów właściciela majątku, obserwował też wiejskie życie i panujące stosunki społeczne, zapewne pracował nad przyszłą pracą magisterską (dzisiejszy odpowiednik dysertacji doktorskiej) „O ogniu” (łaciński oryginał „De ignis”). Musiał dostrzegać różnicę w życiu chłopów pańszczyźnianych w Jarnołtowiu i życiu korzystających z przywileju wolności i braku pańszczyzny mieszkańców okolic Judtschen, gdzie wcześniej pracował. Przypuszcza się, że ówczesny dom Hülsenów w Jarnołtowiu, w którym mógł nauczać i mieszkać Kant, mógł znajdować się nad stawem, wewnątrz wsi. Pałac Hülsenów, którego ruiny pozostają do dziś, został zbudowany znacznie później, to jest 16 lat po wyjeździe Kanta. Natomiast stojące do dziś mury jarnołtowskiego kościoła zapewne pamiętają niejedną jego wizytę w kościele. Zapewne odczytywał tam też napisy wyryte w kamiennych płytach nagrobnych umieszczonych już wówczas i spoczywających do dziś wewnątrz świątyni. Niemym świadkiem jego pobytu jest też stary dąb, nazywany dębem Jagiełły, rosnący na terenie ówczesnego majątku Hülsenów. Bezsprzecznie pobyt w Jarnołtowiu wywarł wpływ na późniejszą postawę i myśli Kanta. Podczas wykładów z pedagogiki przywoływał doświadczenia i spostrzeżenia zebrane podczas swojej pracy prywatnego nauczyciela. I odwrotnie, Kant zapewne przyczynił się, a może nawet sprawił, że jego uczeń, Jerzy Fryderyk von Hülsen, z własnej woli uwolnił poddanych mu chłopów z poddaństwa



Oddany do użytku w 2020 r. w Jarnołtowie „Zakątek Immanuela Kanta”, fot. Z. Woś. 2023.

i pańszczyzny. Znana jest przy tym wypowiedź Kanta z 1795 roku o ponizającej i ciężkiej sytuacji poddanych chłopów. Obraz przedstawiający dolę jarnołtowskich chłopów służył zapewne filozofowi do informowania i kształtowania poglądu znanego ówczesnego polityka von Schröttera, będącego orędownikiem likwidacji pańszczyzny i współtwórcą późniejszego ogólnopaństwowego aktu prawnego w tej sprawie.

Dlaczego Kant negatywnie oceniał pańszczyznę? Otóż junkrzy pruscy będący właścicielami majątków posiadali prawo zakazania chłopom opuszczania swoich gospodarstw bez pozwolenia czy też prawo sprowadzania z powrotem (także siłą) chłopów, którzy uciekli i zamieszkali albo w mieście, albo w innym majątku. Chociaż chłopci nie byli własnością swoich panów, to związani byli pewnym stopniem poddaństwa wobec władzy pana. Pan był nie tylko pracodawcą dla swoich chłopów oraz właścicielem ich ziemi. Posiadał także nad nimi jurysdykcję poprzez sądy dworskie (tzw. sądy patrymonialne), który miał prawo nakładać kary od niewielkich grzywien za małe przewinienia, po kary cielesne, w tym chłostę i więzienie. Niemiecki emigracyjny historyk Hans Rosenberg opisał reżim miniaturowych autokracji w następujący sposób: „Miejscowa dominacja była pełna, gdyż, z upływem czasu, junkier stał się nie tylko wymagającym właścicielem ziemskim, dziedzicznym panem chłopów, aktywnym przedsiębiorcą, pieczołowitym zarządcą majątku i dorywczym kupcem, ale także patronem miejscowego kościoła, szefem policji, prokuratorem i sędzią. Wielu tych ekspertów od lokalnej tyranii miało doświadczenie w chłostaniu grzbietów, biciu twarzy i łamaniu kości nieposłusznych i hardych poddanych chłopów” [za Clark, *Prusy: powstanie (...)*, 2009].

Nie wszyscy chłopci w Prusach wschodnich byli poddanymi panów tak jak w opisywanym dawnym Jarnołtowie, byli też wolni chłopci – potomkowie wolnych osiedleńców, tacy jak chłopci w Judtschen, których wcześniej obserwował Kant. W Prusach Wschodnich w ostatnich latach XVIII wieku wolni prowadzili 13 tys. z pośród 61 tys. gospodarstw.



Gotycki jarnołtowski kościół z neogotycką bramą wieżą dzwonnicy oraz „Zakątek Immanuela Kanta” na przykościelnym terenie, fot. Z. Woś. 2023.

Jaki był wymiar pańszczyzny w Jaroslowie, nie zdołano ustalić, ale za Christophem Clarkiem, autorem „Prusy powstanie i upadek 1600–1947”, wolno powiedzieć, że w Prusach wahał się on zwykle między dwoma a czterema dniami pracy w tygodniu. Np. mieszkańcy wioski Karstädt musieli przychodzić do folwarku o szóstej rano w poniedziałki, środy i piątki z parą koni lub, jeśli konie nie były potrzebne, z drugą osobą, i zostać, dopóki nie pozwoli im się wrócić z pól razem z pastuchami krów. W innych wsiach musieli służyć pracą swoich rąk tak często, jak się im każe. Chłopi jednak nie cierpieli dotkliwej biedy. Pańszczyzna nie była na tyle wielkim obciążeniem, by uniemożliwić chłopom utrzymywanie się na rozsądnym poziomie ze swoich działek.

Wielkim zwolennikiem likwidacji pańszczyzny był król Fryderyk Wilhelm III; już w 1799 r. wydał rozkaz, aby zlikwidować pańszczyznę w domenach królewskich. Jednak opór Generalnego Dyrektorium i argumenty, że zmiany w statusie chłopów w domenach będą inspiracją do zmiany takiego statusu w posiadłościach szlacheckich i mogą wywołać powstanie chłopów, najliczniejszej klasy ludności, odsunął wykonanie tego rozkazu do roku 1803. Stąd nie może dziwić fakt, iż Jerzy Fryderyk von Hülsen za uwolnienie w 1799 roku z własnej woli poddanych mu chłopów w Jaroslowie z poddaństwa i pańszczyzny otrzymał 29 stycznia 1800 r. od króla Fryderyka Wilhelma III dziedziczny tytuł hrabiego. W Prusach powszechne uwolnienie z poddaństwa i pańszczyzny nastąpiło w wyniku tzw. reformy Steina, edyktu królewskiego z 9 X 1807 roku.

Ten sam Jerzy Fryderyk wybudował w Jaroslowie nowoczesny dworek i rozległy park. Korzystał też z pomocy Kanta przy kształceniu własnych dzieci, o czym świadczy kierowany do niego 1 maja 1784 roku list filozofa, w którym ten wskazuje i poleca mu kilku nauczycieli, studentów Albertyny. Tym sposobem synowie Jerzego Fryderyka von Hülsena, hrabia Karol Kazimierz von Hülsen, późniejszy generał major dowódca 1. batalionu piechoty

pruskiej Landwery i właściciel majątku Wiese (wsi Barzyna w gminie Rychliki) oraz hrabia August Friedrich von Hülsen, właściciel Jarnołtowa, pierwsze nauki pobierali w Jarnołtowie od nauczyciela wskazanego przez Immanuela Kanta. Dodać należy, że August Friedrich był wieloletnim adiutantem ministra wojny, a od kwietnia 1834 komendantem Twierdzy Weichselmünde („Twierdza Wisłoujście” k. Gdańska), później zastępcą dowódcy garnizonu Gdańsk w stopniu generała dywizji.

Po opuszczeniu Jarnołtowa Kant przez pewien czas był nauczycielem domowym u hrabiego von Keyserlingka w Waldburg–Capustigall w pobliżu Królewca, jednak forma pobytu nie jest jednoznacznie ustalona. Bardziej prawdopodobne jest, iż powrócił do Królewca, a jedynie okresowo odwiedzał posiadłość Keyserlingka i wówczas nauczał i udzielał korepetycji. Nawiązanie kontaktów z tą rodziną pozwoliło wejść młodemu filozofowi w środowisko arystokracji królewskiej. W późniejszym okresie Immanuel Kant bywał częstym gościem honorowym w domu hrabiny Caroline Charlotte Amalie von Keyserlingk stanowiącym centrum intelektualne i artystyczne Królewca.

17 kwietnia 1755 r. Kant złożył do dziekana Wydziału Filozofii swoją pracę magisterską „O ogniu” pisaną po łacinie. 13 maja obronił złożoną pracę i zdał egzamin magisterski. 12 czerwca, podczas publicznej ceremonii w dużej auli uniwersytetu, Kant odebrał dyplom magistra, po czym wygłosił krótką mowę po łacinie (jej treść nie została zachowana).

Jako, że Kant znany jest raczej jako niechętnie opuszczający Królewec, warto wymienić jeszcze inne jego podróże poza to miasto.

Podczas czterotygodniowej przerwy w wykładach, na przełomie grudnia i stycznia przypuszczalnie lat 1765/66, Kant przebywał u swojego przyjaciela generała majora Daniela Friedricha von Lossow w Gołdapi (niem. Goldap). Prawdopodobnie mieszkał w obu domach generała, w Kleszczowie i Gołdapi. 12 października 1996 r. w Gołdapi odsłonięto, zbudowany z trzech brył piaskowca ułożonych w kształcie stylizowanej kamiennej bramy wjazdowej do miasta, pomnik. Na jego północnym filarze umieszczono tablicę upamiętniającą filozofa i jego podróż do Gołdapi.

Z dużym prawdopodobieństwem można powiedzieć, iż w latach 1763 i 1775 był wraz z swym przyjacielem Josefem Greenem i jego szwagrem Robertem Motherby w położonej na Mierzei Wiślanej Piławie (niem. Pillau, ros. Балтийск).

Około roku 1770 odwiedził wraz z Robertem Motherby (szwagier jego przyjaciela Josefa Greena) kupca i byłego burmistrza Braniewa (niem. Braunsberg) Schorna. Do leżącego wówczas w granicach Rzeczypospolitej Braniewa przyłynęli statkiem (było to jedyne opuszczenie Prus przez Kanta).

Kant odwiedzał wielokrotnie pruskiego oficera, podpułkownika Friedricha Leopolda von Schröttera, w jego majątku Wohnsdorf (ros. Курортное), znanego pruskiego polityka, nadprezydenta i ministra finansów Prus Wschodnich i Prus Zachodnich. Wspominał, że był tam mile przyjmowany i czuł się tam jak we własnym domu, co wskazuje na dobre wzajemne stosunki między nimi.

Częstym celem wędrówek Kanta była położona w Moditten (obecnie obszar Królewca) leśniczówka leśniczego Webstera. Tam podczas spędzanych wakacji akademickich w 1763 r. napisał rozprawę „Rozważania o poczuciu piękna i wzniosłości” (oryginał niem. „Beobachtungen über das Gefühl des Schönen und Erhabenen”).

Kant odwiedzał też położone około 5 km na zachód od Królewca Juditten (obecnie obszar Królewca), bywając u swego wieloletniego przyjaciela Brytyjczyka Josepha Greena. Green zajmował się handlem i łączyły go najprawdopodobniej z Kantem także wspólne sprawy handlowe, prowadzony sklep w Królewcu. Sklep ten był dodatkowym źródłem dochodów Kanta.

Po obronie pracy naukowej magister Kant został zatrudniony jako kurator uniwersytetu, nie było dla niego wolnego miejsca w katedrze filozofii. W tym samym roku habilitował się. W 1765 r. został zastępcą bibliotekarza biblioteki zamkowej, a od 1766 r. był kustoszem gabinetu przyrodniczego. Katedrę i nominację na profesora logiki i metafizyki otrzymał po 15 latach, w 1770 roku. Do tego czasu żył bardzo skromnie, otrzymywał niewielkie uposażenie od władzy królewskiej. Po 1768 roku mieszkał u wydawcy i księgarza Johanna Jakoba Kantera. Najpierw na Rynku Wolarskim (Ochsenmarkt) nad rzeką Pergołą, a następnie przy ulicy Staromiejskiej Długiej (Altstädtische Langgasse).

Gdy został profesorem tytularnym jego główne dochody stanowiły honoraria płacone przez studentów. Pozwolił sobie wówczas na kupno domu i utrzymanie służącego, począł wydawać proszone obiady, które ciągnęły się do późnego popołudnia. Chętnie bywał w świetle i dawał się zapraszać ludziom z arystokracji królewskiej. We własnym domu przy ulicy Księżnej 3 (niem. Prinzessinstrasse) zamieszkał dopiero w 1783 roku, tam też urządził salę, w której prowadził wykłady (niestety, budynek nie dotrwał do dzisiejszych czasów – rozebrano go w 1893 r. podczas przebudowy ulicy). Mieszkał tam aż do śmierci. Wydawcą jego prac naukowych był Johann Friedrich Hartknoch. Hartknoch urodził się 28 września 1740 r. w Gołdapi, w rodzinie organisty i muzyka miejskiego. Po ukończeniu studiów początkowo pracował w księgarni Johanna Jacoba Kantera, później został kierownikiem filii księgarni Kantera, a wkrótce jej właścicielem. W 1763 r. otworzył księgarnię w Rydze. Nie można wykluczyć, iż gołdapijanin Hartknoch był inspiratorem i orędownikiem podróży Kanta do Gołdapi i jego znajomości z generałem von Lossow.

W latach 1786 i 1788 Kant był rektorem uniwersytetu w Królewcu, w 1787 roku został przyjęty do Akademii Nauk w Berlinie. Największe ówczesne uniwersytety niemieckie – Halle, Jena, Erlangen, Mittau – proponowały mu katedrę filozofii. Zawsze odmawiał.

Immanuel Kant prowadził nauczanie aż do 1796 roku, ale ostatnie lata jego pracy zdezerowały się z eskalacją cenzury wobec niego, w 1794 r. został poinstruowany (rozporządzeniem Rady Ministrów z 1 X 1794 r.), aby powstrzymał się od tekstów religijnych i teorii sprzecznych z głoszonymi w Biblii. Co ciekawe, podczas wykładów nie mógł przekazywać własnych poglądów. Treścią wykładów mogły być jedynie teorie z wskazanych przez ministra podręczników. Filozof własne poglądy przekazywał studentom wówczas jedynie poprzez sugestie, ironie itp.

Kant miał swoje przyzwyczajenia, jego rozkład dnia opracowany i przestrzegany był z ogromną precyzją. Nadał on swemu życiu rygorystyczny porządek i nie godził się na żadne odstępstwo od raz ustalonych i zaplanowanych przez siebie reguł. Jego życie było niezwykajnie uregulowane i splecione ograniczeniami. Co dzień lokaj, były żołnierz, Martin Lampe, za pięć piątą wkraczał do pokoju i wołał „Panie profesorze, już czas”. Kant reagował bez zwłoki, gdy zegar wybijał piątą siedział już przy stole śniadaniowym, pijąc filiżankę herbaty oraz paląc cygaro. Około siódmej szedł zwykle do pokoju, w którym czytał,

a stamtąd wracał do gabinetu, gdzie pracował do dwunastej czterdzieści pięć. Po czym wychylał kielich węgryzyna (był stanowczym przeciwnikiem piwa) i o pierwszej siadał do obiadu. Każdego dnia zapraszał na obiad kilku przyjaciół. Trwał on zazwyczaj trzy lub cztery godziny, rozprawiano wówczas najpierw o pogodzie, później przechodzono do tematów naukowych, na zakończenie omawiano szczegółowo wiadomości dnia, o których informowały gazety (wiadomo, że przez trzydzieści siedem lat czytywał dziennik wydawany przez Hartunga). Po obiedzie szedł na przechadzkę do twierdzy Friedrichsburg, zawsze o tej samej porze i tą samą drogą, ochrzczonej przez miejscowych mianem „drogi filozofa”. Po powrocie ze spaceru zasiadał przy swoim stole do lektury i czytał. Jego księgozbiór podręczny liczył około 450 woluminów. W chwilach wytchnienia Kant zajmował miejsce przy piecu patrząc przez okno na starą wieżę Löbenicht.



Kant zwykłe nie jadał. Kwadrans przed dziesiątą Kant wycofywał z umysłu myśli zbyt absorbuujące, zgodnie z zasadą, że mogłyby one stać się przyczyną bezsenności.

Neogotycka brama wieża dzwonnicy w Jarnołtowie z kamiennymi tablicami w języku polskim i niemieckim, upamiętniającymi pobyt tu I. Kanta, fot. Z. Wół. 2022.

Najmniejsze bowiem zaburzenie zwyczajowej pory zasypiania było dla niego w najwyższym stopniu nieprzyjemne. Rozbierał się sam, to uczyniwszy kładł się na łóżku i owijał w kołdrę w znany sobie i ustalony sposób. Kołdra Kanta wiosną była zawsze bawełniana, jesienią wełniana, a z nastaniem zimy używał obu, zaś przeciw dotkliwym chłodom zabezpieczał się jedną puchową.

Dla podkreślenia i okraszenia specyficznej osobowości Kanta biografowie często przywołują drobne szczegóły z jego postępowania, wymieniając najczęściej przy tym, między innymi:

- brak guzika przy surducie studenta, co podczas wykładów rozpraszało myśli filozofa;
- ranne pianie koguta w sąsiedztwie, które drażniło metafizyczny słuch Kanta do tego stopnia, że z tego powodu zmienił miejsce zamieszkania;
- pedantyczne ułożenie przedmiotów na biurku, z ścisłym przestrzeganiem miejsca i kierunku ich ułożenia;
- topolę sąsiada, która rosnąc zasłoniła widok z okna na starą wieżę Löbenicht, co rozpraszało umysł filozofa do tego stopnia, że topolę ścięto;
- niemal obsesyjne unikanie picia piwa i dopatrywanie się w tym źródła wielu chorób;
- unikanie pocenia się, Kant nie znosił zapachu potu.



Rzeźba postaci Immanuela Kanta wykonana w drewnie przez Ryszarda Fereńca, eksponowana w jarnońtowskim „Zakątku Immanuela Kanta”, fot. Z. Woś. 2023.

Kant zmarł w swoim domu o godzinie 11 dwunastego lutego 1804 roku, w obecności jedynej żyjącej siostry, siostrzeńca i swojego przyjaciela Krzysztofa Wasiańskiego. Ostatnie jego słowa brzmiały: „Es ist gut” (to jest dobre), wypowiedział je po chwili, w której Wasiański podał mu na łyżeczce odrobinę wina i słodzonej wody.

Nierozstrzygnięta pozostaje odpowiedź na pytanie, czy ostatnie słowa wielkiego filozofa należy pojmować i rozumieć z wieloznacznym i symbolicznym podtekstem filozoficznym, czy też raczej jako prostą zwykłą ocenę człowieka na podany mu łyk napoju.

Pochowano go w iście królewskiej oprawie, w jego ukochanym Królewcu, gdzie mimo zawieruchy wojennej i przejścia dwóch totalitaryzmów spoczywa po dziś dzień.

Kant dokonał niczym kopernikańskiego przewrotu w filozofii, jego dokonania wywarły silny wpływ na rozwój całej europejskiej filozofii. Pozostawił po sobie ogromny uniwersalny dorobek naukowy, z którego czerpią pokolenia do dzisiejszego dnia. Chociażby krótki opis zarysu jego dorobku wymaga oddzielnego artykułu.

Według przekazu świadków, Kant niejako powrócił jeszcze do Jarnońtowa, powrócił symbolicznie, bo przyjechały tu na kilka lat oryginały jego prac. Bowiern podczas drugiej wojny światowej składowano w Jarnońtowie księgozbiory Królewskie i archiwalia Uniwersytetu Królewskiego. Były wśród nich także oryginały tekstów Kanta z lat 1776–1791, głównie jego odezwy do studentów, publikowane w przeddzień semestru letniego i zimowego. Dokumenty te wywieziono z Królewca w obawie przed bombardowaniami miasta. W 1945 r. księgozbiory przewieziono z pałacu w Jarnońtowie do stacji kolejowej Połowite, gdzie załadowano na wagony. Po wielu perypetiach, w tym długim postoju w Morągu (miano je przechowywać początkowo w składnicy tymczasowej na terenie Morąga) dotarły do Olsztyna. Prawdopodobnie jakaś część z nich zaginęła, ale część zachowała się i jest przechowywana dziś w Archiwum Państwowym w Olsztynie. Jest tam też dyplom magisterski Kanta z 1855 roku.

Warto też dodać, iż wyjazd Kanta do Jarnońtowa był jedną z najdalszych – licząc w kilometrach i najdłuższą – licząc w dniach, jego podróżą z Królewca, podróżą, o której nie wspominają nawet niektórzy autorzy i znani jego biografowie.

Kierując się chęcią przywrócenia i umacniania pamięci o Immanuelu Kancie, dla upamiętnienia jego pobytu przed 240 laty w Jarnołtowie, w dniu 27 kwietnia 1994 r. odsłonięto ufundowane i umieszczone na budynku ówczesnej miejscowej szkoły tablice pamiątkowe. Mieszkańcy Jarnołtowa z dumą spoglądają na nie, wiedzą bowiem, iż pisane w tysiącach egzemplarzy i w wielu językach biografie Kanta przywołują i wymieniają dawne Groß Arnsdorf, a obecne Jarnołtowo w Polsce.

W 2019 roku tablice odrestaurowano, przeniesiono i zamontowano je na fasadzie neogotyckiej wieży dzwonnicy miejscowego kościoła. W roku następnym przystąpiono do budowy na terenie przykościelnym miejsca pamięci „Zakątek Immanuela Kanta”. Natomiast w 2024 r., z okazji 300-lecia urodzin Kanta, zorganizowano w Jarnołtowie międzynarodową konferencję popularno-naukową, wystawę materiałów archiwalnych dotyczących filozofa, zaprezentowano poświęcony mu i wydany znaczek Poczty Polskiej, a na ścianie budynku sąsiadującego z „Zakątkiem Immanuela Kanta” odsłonięto mural z podobizną Kanta.

Artykuł był dostępny również na portalu www.jarnoltowo.pl

BIBLIOGRAFIA

Archiwum Państwowe w Olsztynie, *Urząd Konserwatora Zabytków Sztuki i Historii Prowincji Prus Wschodnich*, zespół 367, sygnatura 42/367/7.

Berliner Revue, tom 12, e-book, <https://books.google.de/books?id=-DA8AQAIA-AJ&pg=PA380#v=onepage&q&f=false>, z dnia 22 maja 2023 r.

Christopher Clark, *Prusy powstanie i upadek 1600–1947*. Przekład Jan Szkudliński. Bellona, Warszawa 2009, ISBN 978–83–11–11628–3.

Steffen Dietzch, *Immanuel Kant: biografia*, przekład Krystyna Krzemieniowa, Warszawa 2005, ISBN 83–214–1353–6.

Encyklopedia Warmii i Mazur, *Królewiec*, <http://encyklopedia.warmia.mazury.pl/index.php/Kr%C3%B3lewiec>, z dnia 22 maja 2023.

Zdzisław Kieliszek, *Relacje rodzinne Immanuela Kanta*, Uniwersytet Warmińsko-Mazurski w Olsztynie, Artykuł z Forum teologicznego XXII, 2021, ISSN 1641–1196.

Stanisław Salomonowicz, *Prusy, dzieje państwa i społeczeństwa*, Toruń 2004, ISBN 83–05–13333–8.

Jerzy Sikorski, Janusz Jasiński, *Mikołaj Kopernik i Immanuel Kant. Dwie najwybitniejsze postacie na ziemiach niegdyś pruskich*, Olsztyn 2014, ISBN 978–83–64736–19–3.

Jarosław Słoma, *Śladami Immanuela Kanta*, Gołdap 2017, <https://goldap.org.pl/2017/04/historia-sladam-immanuela-kanta/>, z dnia 22 maja 2023.

Stanford Encyklopedia Filozofii, *Rozwój filozoficzny Kanta*, <https://plato.stanford.edu/entries/kant-development/>, z dnia 23 maja 2023.

Seweryn Szczepański, *Płyty grobowe z kościoła p.w. Chrystusa Króla w Jarnołtowie* (sprawozdanie z badań przeprowadzonych dnia 26.05.2007 r.), w: *Zapiski Zalewski* nr 13/2007;

Karl Vorländer, *Immanuel Kant – Der Mann und das Werk*, Münster 1924, <https://www.textlog.de/vorlaender-kant.html>, z dnia 25 maja 2023.

University of Manchester, *Materiały do nauki wykładów Kanta*, https://users-manchester-edu.translate.googleusercontent.com/translate?_x_tr_sl=en&_x_tr_tl=pl&_x_tr_hl=pl&_x_tr_pto=sc, z dnia 21 maja 2023.

Uniwersytet w Marburgu, *Opracowanie „Kant auf Reisen”*, https://www.online.uni-marburg.de/kant_old/webseite/bio_reis.htm, z dnia 24 maja 2023.

Zbigniew Jerzy Woś, *Kościół Chrystusa Króla widziany wewnątrz*, <http://jarnoltowo.pl/kosciol-wewnatrz/>, z dnia 21 maja 2023.



Wykonany w 2024 r. mural na budynku sąsiadującym z „Zakątkiem Immanuela Kanta” w Jarnoltowie, odsłonięty z okazji 300-lecia urodzin Kanta, fot. Z. Woś. 2024.

Jan Chłosta



POETKA POLSKIEJ WARMII

W 130 ROCZNICĘ URODZIN I 40 ROCZNICĘ
ŚMIERCI MARII ZIENTARY-MALEWSKIEJ

Z Marią Zientarą-Malewską zetknąłem się pierwszy raz w połowie lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku, kiedy była już członkiem Związku Literatów Polskich i miała za sobą wspólne z Michałem Lengowskim, Teofilem Ruczyńskim i Alojzym Śliwą wydany tom *Wierszy Warmii i Mazur*. Poetkę zaproszono na wieczór autorski w szkole średniej, której byłem uczniem. Zachował się w mojej pamięci ten wieczór, bo recytowała dwa swoje wiersze w sposób naturalny *Prządki* i *Bochan chleba*, napisane w gwarze warmińskiej. Odniosłem wrażenie, tak jakbym słyszał swoją babcie Elżbietę ze Starych Włók. Nie mogłem wtedy przewidzieć, że za kilka lat dana mi będzie bliska współpraca z poetką w tygodniku „Słowo na Warmii i Mazurach”. Towarzyszyłem wszak Jej na wielu spotkaniach literackich i pisałem o jej twórczości. Musiało to moje pisanie się jej podobać, skoro w jednym z tomików z dawnymi i nowymi wierszami, wydanym w 1983 roku, wpisała się mi „na pamiątkę od cici – autorki”. Przechowuję zbiorek *Na warmińską nutę* z tą szczególną dedykacją.

1

Poetka przyszła na świat 4 września 1894 roku w Brąswaldzie pod Olsztynem w rodzinie murarza wiejskiego, który także obrabiał niewielki zagon ziemi Augusta i Franciszki z domu Kraska. Była najstarszą z dziewięciorga rodzeństwa. Wywodziła się z rodziny chłopskiej osiadłej na południowej Warmii, tu po powstaniu listopadowym. Ukończyła niemiecką szkołę ludową, lecz jak cała rodzina Zientarów zachowała polskość. Droga najpierw samokształcenia pogłębiała związki z kulturą polską. Dopomagał jej w tym miejscowy proboszcz, etnograf, historyk i pisarz ks. Walenty Barczewski (1856–1928). On też stał się czytelnikiem jej pierwszych wierszy i zachęcał ją do dalszego pisania. Przed plebiscytem w 1920 roku uczęszczała na zajęcia trzeciego kursu dla pomocniczych sił nauczycielskich, urządzonych przez Warmiński Komitet Plebiscytowy w Olsztynie. Jeszcze 4 grudnia 1920 roku wydrukowano w „Gazecie Olsztyńskiej” pierwszy jej wiersz *Pory roku* i potem następne utwory. Odnotował ten fakt Władysław Pieniężny wcześniej podczas konstytucyjnego zebrania Związku Polaków w Prusach Wschodnich 30 listopada 1920 roku „Młodzi biorą się coraz więcej do nauki, czytania książek i gazet. Zdarzają się w ostatnim czasie nawet rodzime piśmiennictwo polskie, jako to czytaliśmy wiersze panny Zientarówny, które świadczą o niepospolitym talencie poetyckim i wysokim poczuciu narodowym”.

Z inicjatywy konsula Józefa Gieburowskiego przyznano na początku lat dwudziestych XX wieku pani Marii stypendium Towarzystwa Opieki kulturalnej na Polakami

Zamieszkałyimi Zagranicą im. Adama Mickiewicza, któremu przewodniczył warszawski adwokat Antoni Osuchowski. Mogła więc wyjechać na dwumiesięczny pobyt do kraju. Zwiedziła wówczas Poznań, Kraków, Zakopane, Lwów i Warszawę, co zbliżyło ją jeszcze bardziej do kultury polskiej. Następnie 10 września 1921 roku podjęła pracę w „Gazecie Olsztyńskiej”. Redagujący w tym czasie to pismo Kazimierz Jaroszyk napisał: „Powierzyłem jej opracowywanie kroniki politycznej i prowincjonalnej. Oprócz tego zasilala panna Zientarówna „Gazetę” bardzo udanymi własnymi wierszami i felietonami. W czasie mojej choroby panna Z[ientarówna] redagowała „Gazetę” prawie samodzielnie, wstrzymując się, wedle mojej rady, od wszelkiej polityki aktywnej”. Na polecenie olsztyńskiego konsula Józefa Gieburowskiego odbyła kilka podróży na Powiśle, aby zapoznać się z pracą towarzystw kobiecych takich jak Towarzystwo Ziemiarek i Kobiet Chrześcijańskich pod wezwaniem św. Kingi w celu tworzenia takich organizacji kobiecych na południowej Warmii. Dzięki temu wkrótce utworzono we wsiach pod Olsztynem i Barczewem kilka takich towarzystw. Były one jednak mało samodzielne i wciąż wymagały pomocy z Olsztyna, a po wyjeździe Zientarówny w 1924 roku do Krakowa same się rozwiązały. Zientarówna zaangażowała się również w działania tworzonego Związku Towarzystw Młodzieży w Prusach Wschodnich oraz organizację kursu kroju i szycia w Olsztynie z wykładami z zakresu kultury polskiej dla warmińskich dziewcząt. Sama przygotowała wykłady o literaturze polskiej. Uczestniczkami kursu były m.in. dziewczęta z Warmii, które następnie po ukończeniu niemieckich kursów dla wychowawczyń przedszkoli w Królewcu i odbyciu praktyk w kraju, prowadziły polskie przedszkola na południowej Warmii, nazywane tu ochronkami.

W pierwszych dniach grudnia 1924 roku Zientarówna udała się do Krakowa, aby podjąć naukę w żeńskim Seminarium Nauczycielskim. Uczestniczyła też jako wolna słuchaczka w wykładach z historii literatury w Uniwersytecie Jagiellońskim. Do seminarium nauczycielskiego została przyjęta na IV semestr. Już 28 maja 1926 roku zdała egzamin maturalny w krakowskim seminarium i z początkiem sierpnia tego samego roku została zatrudniona w Polsko-Katolickim Towarzystwie Szkolnym na Warmię. Zajmowała się organizacją polskich przedszkoli w Unieszewie, Gietrzwałdzie i Chaberkowie pod Olsztynem. W tych miejscowościach tych po wydaniu 31 grudnia 1928 roku przez Sejm Pruski ordynacji szkolnej dla ludności polskiej otwarto już 10 kwietnia 1929 roku pierwsze polskie szkoły. Przed tym krótko prowadziła polskie przedszkole w Gietrzwałdzie. Potem została nauczycielką polskiej szkoły w Chaberkowie, bo polskiemu nauczycielowi Janowi Hedrychowi, niemiecki w Poznaniu nie wydał na czas wizy na przyjazd do Niemiec.

Już 27 maja tego samego 1929 roku Związek Polskich Towarzystw Szkolnych Niemczech nakazał jej wyjazd na Pogranicze, obejmujące Ziemię Złotowską, część Kaszub i Ziemię Babimojską. Została 7 czerwca 1929 roku polską nauczycielką w Wielkim Buczku. Następnie 2 czerwca 1931 roku powołano ją do Berlina na stanowisko kierownika referatu przedszkoli i opieki nad wychowaniem religijnym dzieci. Organizowała więc kursy i konferencje metodyczne dla przedszkolerek. W tym czasie mianowano ją również redaktorem odpowiedzialnym, drukowanego w Olsztynie „Poradnika Nauczycielskiego”. Uczestniczyła też w XXXI Światowym Kongresie Eucharystycznym, co umożliwiło jej poznanie metod wychowania religijnego w innych krajach europejskich.

Nie czuła się najlepiej w środowisku Polaków w Berlinie. Zgłosiła chęć pracy w szkole, to z początkiem kwietnia 1933 roku rozpoczęła pracę w polskiej szkole w Złotowie, następnie od 1 kwietnia 1935 roku – w Nowym Kramsku na Ziemi Babimojskiej. Tam zastał ją wybuch wojny. Aresztowano ją 11 września 1929 roku, a 23 tego miesiąca została przetransportowana do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück. Tam stała się numerem 2171. Dzięki usilnemu staraniu rodziny z Brąswaldu 18 kwietnia 1940 roku poetka została zwolniona z obozu. Zamieszkała w rodzinnym Brąswaldzie. Przez pozostałe lata wojny była pod obserwacją gestapo.

Na początku 1945 roku włączyła się do pracy nad tworzeniem polskiego szkolnictwa na Warmii. Zakładała polskie szkoły, przedszkola i domy opieki nad dziećmi. Brała udział w działalności repolonizacyjnej. Weszła w skład Okręgowego Komitetu Narodowościowego. W lutym 1947 roku zawarła związek małżeński z Ottonem Malewskim. Odtąd podpisywała swoje utwory jako Maria Zientara-Malewska.

Na początku marca 1950 roku została zwolniona z pracy w Kuratorium Okręgu Szkolnego i przeniesiono na emeryturę. Nie od razu ją otrzymała, bo nie zostały uregulowane sprawy związane z pracą w nazywanym prywatnym szkolnictwem polskim w Niemczech. Zaangażowała się w pracę założonego przez dr. Władysława Gębika Oddziału Państwowego Instytutu Sztuki w Olsztynie, gromadzącego folklor warmiński. W końcu grudnia 1952 roku związała się ze „Słowem na Warmii i Mazurach”, regionalnym dodatkiem do „Słowa Powszechnego”, w którym wydrukowała większość swoich wierszy i wiele artykułów poświęconych polskiemu trwaniu Polaków na tych ziemiach.

2

Maria Zientara-Malewska była przede wszystkim poetką. Debiutowała wierszem, jak wiadomo, *Pory roku*, wydrukowanym w numerze „Gazecie Olsztyńskiej” z 4 grudnia 1920 roku. Z tego prostego wiersza pochodzi poniższa zwrotka:

Miło żyć w wiosennej porze,
Kiedy rolnik ziemię orze:
A skowronek nad zagonem
Śpiewa Bogu wdzięcznym tonem.

Odtąd jej utwory ukazywały się w tym olsztyńskim piśmie oraz w dodatku do tej gazety, pod nazwą „Gościu Niedzielnym”. Najwięcej w okresie od 1921 do 1924 roku, kiedy pracowała w tym czasopiśmie Pieniężnych. Pierwsze wiersze dotyczyły obrony języka polskiego jak: *O polskiej Warmii*:

Przejdźcie Warmię wzdłuż i w poprzek
A tu Bogu dzięki
Wszędzie, wszędzie usłyszycie
Polskiej mowy dźwięki.
Tu słyszycie polski pacierz,
Polskiej pieśni tony,
Tu użyźnia polski rolnik

Płodne swe zagony.
 Więc nie wierzcicie, gdy Wam mówią,
 Że tu Polski nie ma,
 Bo tu lud jest na wskroś polski
 Jak ta święta ziemia.

Ważną była deklaracja Zientarówny wyrażona w odpowiedzi na niemieckie głosy o jej twórczości:

Buduje rymy z prostych słów
 I proste wszystkie moje pieśni
 A serce kładę w nutę snów
 I jak ptaszęta śpiewam leśne.
 Chcą ludzie, że mam inną być,
 Lecz ja być mogę tylko sobą...
 Bo życia mego złota nic
 Osnuta gęsto jest żałobą.
 A moja młodość biegła tak
 Jak twarda ścieżka pośród pola
 I jak samotny żyła ptak,
 A towarzyska mi niedola.

Wiersze pisała przez całe swoje długie życie. Rozpoczęła swoją twórczość od zwyczajnych rymowanych składanek wciąż wzbogacając swój warsztat. Pierwsze swoje wiersze opierając się na utworach Marii Konopnickiej, Adama Asnyka, także Jana Kasprowicza zwłaszcza w *Sonetach warmińskich*.

Po 1945 roku liryka Marii Zientary-Malewskiej nie odbiegała od tradycyjnej dziewiętnastoletniej formy przedstawienia przeżyć, to w znaczny sposób wzbogaciła słownictwo. Wprowadziła też bardziej wyszukane rymy. Mniej w wierszach zwyczajnego opisu, więcej poetycznej wrażliwości.

Przed 1939 rokiem, poza „Gazetą Olsztyńską” i innymi czasopismami wydawanymi przez Związek Polaków w Niemczech jej wiersze zostały zamieszczone w dwóch antologiach: *Warmia i Mazury. Rodzimej poezji zwyczajom i obyczajom oraz kulturze i historii poświęcone*, wydanej przez Pawła Sowę w 1927 roku w Poznaniu i w *Nasi poeci*, wydrukowanej w 1935 roku w Krakowie przez Augustyna Steffena, kilka wierszy poetki z Brąszawdu zamieściła Emilia Sukertowa-Biedrawina w *Kalendarzach dla Mazurów*. Samodzielnego zbioru swoich wierszy doczekała się pani Maria dopiero w 1963 roku, a więc w wieku sześćdziesięciu dziewięciu lat. Był nim tomik *Pieśni Warmianki*, opublikowany przez Instytut Wydawniczy PAX w Warszawie, który to zbiorek został wyróżniony na Ogólnopolskim Festiwalu Poezji w Łodzi. Kolejne zbiorki wierszy wydało olsztyńskie „Pojezierze”, a więc: *Tym co przybyli* (1965), *Wiersze warmińskie* (1970), *Na warmińską nutę* (Warszawa 1982), *Dla mego ludu śpiewać chcę* (Olsztyn 1983) z reprodukcjami prac plastyka Andrzeja Samulowskiego.

W dotąd wydanych zbiorach wierszy i w antologiach najczęściej powtarzane były ekspresyjne *Ręce* z podtytułem *Wspomnienie z Ravensbrück*:

Widziałam ręce, wiele rąk

Wyciągniętych po kawałek chleba!

Wtenczas powiodłam okiem w krąg

Po oczach jasnych jak strop nieba,

Po czołach pochylonych w męce,

Widziałam Ręce! Ręce! Ręce! [...]

Wszystkie krzyczały pośród mąk

O pomsty grom do nieba.

Lecz choć nas męczą, psami szczują,

Te ręce kiedyś Polskę odbudują.

Nadto przypomniano utwór *Witaj nam, Matko Polsko*, rozpoczynający się od:

Nie przysłaś do nas z uśmiechem na twarzy

I w aureoli majestatu sławy,

Lecz szłaś po gruzach zburzonych ołtarzy,

W łunach i dymie płonącej Warszawy.

Po śmierci poetki (2 października 1984 roku w Olsztynie) wydane zostały cztery zbiorki wierszy: w 1985 roku *Miłość prostego serca. Wiersze religijne*, w wyborze i z posłowiem biskupa Jacka Jezierskiego, *Dzieła wybrane*, w wyborze i opracowaniu Andrzeja Sieradzkiego (Olsztyn 1997), w 2002 roku w moim wyborze i z posłowiem przeze mnie *Wiersze sercem pisane* w ramach serii z liściem, wreszcie przez Hannę Sawicką i przeze mnie *Wiersze zebrane* (Olsztyn 2004). W edycji znalazło się 428 wierszy. W kilkunastu przypadkach zostały podane dwie, a niekiedy i trzy wersje tych samych wierszy oraz wiersze dotąd znajdujące się w rękopisach.

Poza tym dwukrotnie w 2008 i 2014 roku wznowiono w olsztyńskim wydawnictwie „Wers” w moim opracowaniu wraz z posłowiem, baśnie i legendy warmińskie *O różnych kłobukach, karbach i zaklętych zamkach*. Te tekst uprzednio były zawarte w oddzielnych książkach Marii Zientary-Malewskiej *Legendy dwóch rzek* (1955) i *Baśnie znad Łyny* (1977).

Oprócz tego Hanna Sawicka napisała książkę biograficzną o warmińskiej poetce: *Maria Zientara-Malewska. Monografia życia i twórczości* (Olsztyn 1998). Jest to drugie wydanie edycji uzupełnione i poszerzone edycji, wydrukowane za życia pisarki jeszcze w 1981 roku.

Z działalnością publiczną pani Marii ściśle związane są jej prace literackie. W książkach prozatorskich znalazły się opisy trudnego trwania Polaków w latach międzywojnia w trzech dzielnicach: na rodzimej Warmii, Pograniczu i w Berlinie, ale też opisy zwyczajów ludowych i biografie wyróżniających się Polaków. Najwięcej miejsca poświęciła południowej Warmii. Pierwszą z książek prozatorskich było *Rośnie do słońca* (1954). Znalazły się w niej dzieje wsi podolsztyńskich, biografie ludzi przez nią opracowane oraz współczesne reportaże Wandy Pieńkowskiej. W następnym roku już samodzielnie przez Marię Zientarową *Legendy dwóch rzek*, a w 1959 roku szkice poświęcone ziemi ojczystej *Warmio moja miła*, w której znalazły się opisy krajobrazu, zmagania o zachowanie na tych ziemiach polskiego obyczaju, przypomniane legendy, włącznie z przysłowiami i przypowieściami, powtórzonymi za ks. Walentym Barczewskim z *Kiermasów na Warmii*. Podobny charakter mają kolejne

dwie książki *Płonące krzaki nad Obrą* (1961) poświęcone ziemi babimojskiej oraz *Złotowszczyzna* (1971), będąca opisem Ziemi Złotowskiej ze wstępem jej pierwszego nauczyciel z trzeciego kursy dla pomocniczych sił nauczycielskich w 1920 roku w Olsztynie Henryka Lewandowskiego. W tych dwóch książkach opisała ludzi i dzieje wsi, w których nauczwała, wreszcie wskazała trzeba na dwie książki wspomnieniowe, wydane w różnym czasie: *Śladami twardej drogi* (1966) i *Wspomnienia nauczycielki spod znaku Rodła* (1985), w których znacznie rozszerzyła zapamiętane przeżycia z pracy nauczycielskiej właśnie na Pograniczu.

Oprócz tego w 1972 roku opracowała sylwetki pięciu duchownych w *Księża ziemi warmińskiej*, mające charakter tekstów naukowych. Znalazły się w zbiorce biografie: Tomasza Grema, Feliksa Schreiberera, Walentego Barczewskiego, Jakuba Jagalla i Wojciecha Turowskiego. Na uwagę zasługuje też tom opowiadań *To nie ballada, to prawda* (1976), w którym fikcja literacka została spleciona z prawdą historyczną.

W swoim dorobku miała pani Maria także zbiorek *Działacze spod znaku Rodła* (1974), w którym ujęła biografie aktywnych Polaków w Niemczech z jakimi zetknęła się w swoim życiu. Ta książka została wzbogacona krótkimi biografiami przygotowanymi do druku przez profesora Tadeusza Orackiego.

3

Zachętę do opisanie miejscowych sanktuariów w Świętej Lipce i Gietrzwałdzie wyraził Eugeniusz Buchholz. W prowadzonym przez siebie felietonie napisał jeszcze w 1921 roku: „Jakże to byłoby dobrze, gdyby nasza domorośla poetka Maria Zientarówna po należytych przygotowaniach i odpowiednich studiach zabrała się do napisania epopei czy eposu warmińskiego, poświęconego Gietrzwałdowi lub też Święta Lipka? Górny Śląsk posiada podobny poemat nazwany *Góra Chelmska*, który napisał ks. Norbert Bończyk”¹. Poetka wzięła propozycję i napisała gwarowy tekst, niby wspomnienie swego ojca z pielgrzymki do Świętej Lipki w *Łosiera do Świantolipki w 1885 roku*, który został wydrukowany w dodatku „Tworzymy” do „Gazety Olsztyńskiej” nr 53 z 1938 roku. Potwierdziła to zresztą zapisem końcowym:

Ojciec mój drogi tak mi opowiedział,
 Gdy go o Warmii mej przeszłość pytałam,
 A że nie tak jak ja piórem władał,
 Więc jego słowa tu wiernie spisałam.
 Wprowadziła też osobliwe zdarzenie z tego pielgrzymowania:
 Łuszlim z łosierą [pielgrzymką] do Robajn [miejscowość] pódrogi,
 Jek krzyknie Moryc w przypozięduwaniu:
 – Hola, toć fela, bo skorznie są Kieli! – [czyli w Kolnie]
 A wszyscy za nim te słowa śpiewają.
 Łon zły zawrzyszczal! – Czyśta poszaleli?!

¹ [Eugeniusz Buchholz] Pustelnik, *Pogadanki literackie*, w: „Gość Niedzielny”, dodatek do „Gazety Olsztyńskiej” 1921, nr 42 z 15 X.

Książkę o Gietrzwałdzie i Objawieniach tam Matki Boskiej opracowała poetka z pomocą Tadeusza Swata i została wydana rok przed stuleciem tamtych wydarzeń podolsztyńskiej wsi czyli w 1976 roku.

4

W długim życiu poetce nie zawsze towarzyszyły sprzyjające wiatry. Na początku lat dwudziestych XX wieku wydarzył się smutny incydent związany z próbą druku zbiorku jej wierszy. Nigdy o tym przedsięwzięciu nie mówiła, ani pisała. Nie mogłem pani Marii zapytać o te kwestie, bo informację o podjętych zabiegach konsula Gieburowskiego² odnalazłem w Archiwum Akt Nowych w Warszawie przypadkowo po śmierci poetki. Okazuje się, że na początku 1922 roku konsul przekazał dwa zeszyty z wierszami Zientarówny mecenasowi Osuchowskiemu, a ten potraktował sprawę nadzwyczaj poważnie i przekazał teksty z propozycją napisania przedmowy oraz oceny znanego krytyka literackiego, wtedy związanego z „Tygodnikiem Ilustrowanym” i „Kurierem Warszawskim”, też poetą, Zdzisławem Dębickim. Ten z kolei, mimo kilkurazowej indagacji zwlekał z odpowiedzią. Najpierw A. Osuchowski próbował tłumaczyć Dębickiego nawałem pracy, później powiadomił olsztyńskiego konsula, że krytyk rzekomo zagubił zeszyty z wierszami. Zeszyty się jednak odnalazły. Można się tylko domyśleć, że Dębicki, nie znając biografii Zientarówny i jej wcale niełatwej drogi do kultury polskiej, wydał negatywną opinię o wartościach literackich tych wierszy, ale nie chciał tej opinii przekazać autorce. Tymczasem Zientarówna sądziła, że decyzję o odrzuceniu wierszy do druku podjął sam Osuchowski, bo podczas wielokrotnych przejazdów przez Warszawę do Krakowa, nie odwiedziła mecenasa. Ostatecznie zeszyty z wierszami z warszawskiego mieszkania Dębickiego odebrała sama pani Maria i do tego z rąk matki warszawskiego krytyka.



Maria Zientara-Malewska w 1977 roku, ze zbiorów Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Olsztynie

X

Maria Zientara-Malewska była obdarzona tym wszystkim, czym wyróżniali się mieszkańcy południowej części tej krainy: przywiązaniem do Kościoła katolickiego i postępowania zgodnie z jego nakazami, szacunkiem do obyczajów przodków, także gwary, nadzwyczajną pracowitością, w jej przypadku chęcią wnoszenia cywilizacyjnego wzwyż, zdobywania

² Archiwum Akt Nowych w Warszawie, sygn. 3683. Konsulat RP w Kwidzynie. Pismo konsula Gieburowskiego do mecenas A. Osuchowskiego w Warszawie kartki od 13 do 40.

wiedzy, w twórczości starała się oddać barwy Warmii, jej historię. Często odnosiła się do wydarzeń historycznych. O jej pracy nauczycielskiej konsul polski z Piły Jerzy Śmigieński napisał, że była „wartościową działaczką pozaszkolną, ideową Polką”, a wizytator polskich szkół w Niemczech Józef Mozolewski dodał: „była wartościową nauczycielką i skutecznie pracującą działaczką społeczną, dodatnio oddziaływująca pod względem wychowawczym na otoczenie. Zasiłała artykułami lokalne gazety polskie, umiejętnie zorganizowała prace świetlicową i stale czuwała nad jej rozwojem”³.

Po 1945 roku o autorytet Marii Zientary-Malewskiej zabiegały instytucje kultury i organizacje także o charakterze politycznym. Wyróżniano ją najwyższymi odznaczeniami państwowymi. Tymczasem jej służba Ojczyźnie i postawa były przykładne. Wyraziła to w jednym z ostatnich swoich wierszy, zatytułowanym: *Dar półwiecza*:

Wybierać zawsze trzeba było,
 Jaką ścieżyną dalej iść,
 Żeby być sobą! Zawsze sobą,
 Nie jak targany wichrem liść.
 Niosąc dar pieśni od pół wieku,
 Jak to światełko w muszlach rąk!
 Kryształ wzruszenia pod powieką,
 Kwiatu miłości świeży pąk.
 Ofiarnym składam dzisiaj gestem
 Służebnych pieśni słowa żar.
 I wołam Polsko: – Jestem! Jestem!!!
 Półwiecza niosę dar⁴.

W 1994 roku w książce zawierającej wspomnienia o Poetce *Czytaliśmy sercem*, ówczesny Prymas Polski kardynał Józef Glemp napisał: „Musiała pisać, a pisarz, aby być pisarzem, musi drukować. Zapraszano ją na zjazdy – Musiano się liczyć, że zawsze stanie w obronie Boga i Kościoła. Niektórzy sądzili, że to kompromis z komunizmem. Potrafiła przeżyć i taką krzywdę. Ona swoim poetyckim sercem głęboko czuła, że zwycięży prawda, miłość i piękno. Pamiętam Jej wzruszenie, gdy odznaczałem ją papieskim orderem „Pro Ecclesia et Pontifice”. Przyjęła to z wielką pokorą, ale i widoczną radością jakby przepełniała Ją myśl: a jednak prawda i dobro zwyciężają!”⁵.

Z okazji rocznic związanych z życiem i twórczością Marii Zientary-Malewskiej w 2024 roku odbędzie się na Warmii i Mazurach sesje naukowe i liczne spotkania Jej poświęcone.

³ T. Filipkowski, *W obronie polskiego trwania. Nauczyciele polscy na Warmii, Mazurach i Powiślu w latach międzywojennych*, Olsztyn 1989, s. 167.

⁴ M. Zientara-Malewska, *Wierze zebrane*. Oprac. H. Sawicka, J. Chłosta, Olsztyn 2004, s. 307.

⁵ Kardynał J. Glemp, *Poznałem poetkę Warmii*, w: *Czytaliśmy sercem*. W: *Wspomnienia o Marii Zientarze Malewskiej*, Wstęp i opracowanie J. Chłosta, Olsztyn 1994, s. 40.

Piotr Zawada



ŚLADAMI NAPOLEONA CZYLI MOJA WYPRAWA DO MONTEREAU WE FRANCJI

Późnym popołudniem 15 lutego 2024 roku grupka 9 pasjonatów epoki napoleońskiej, w tym i ja, wyruszyła busem z miejscowości Święta Katarzyna pod Wrocławiem do Montereau na imprezę rekonstrukcji historycznej upamiętniającej bitwę z 18 lutego 1814 roku. Naszą ekipę stanowiły 3 kobiety i 6 facetów, czyli 7 żołnierzy i 2 markietanki, gdyż jedna z pań występowała jako zwykły żołnierz. Nasza grupka reprezentowała 2 i 12 (to mój) Pułki Piechoty Księstwa Warszawskiego. Co prawda historycznie nasze pułki nie brały udziału w tej kampanii, to resztki Wojska Polskiego, w tym żołnierze naszych pułków, walczyły u boku Napoleona w obronie Francji rozrzucone po różnych oddziałach. Montereau (około 90 km od Paryża) to miejsce zwycięskiej bitwy Napoleona, w której walczono o mosty u zbiegu rzek Sekwany i Yonne z korpusem wirtemburskim, wchodzącym w skład Armii Czeskiej (głównie wojska austriackie, ale również bawarskie, pruskie i rosyjskie) pod dowództwem austriackiego marszałka, księcia Karola Filipa Schwarzenberga. W czasie tej bitwy Napoleon osobiście celował z armaty, co dokładnie opisał naoczny tego świadek, jeden z adiutantów sztabu Napoleona, kapitan Aleksander Fredro, nasz wielki komediopisarz, który tak to opisał w swoim pamiętniku „Trzy po trzy”: „...Wie każdy, że tam Napoleon sam wymierzył jedno działo, wie, że powiedział swoim gwardzistom: »Nie lękajcie się; jeszcze kula nie ulana, która mnie zabije«, ale nie wie pewnie, że o kilkadziesiąt kroków z tyłu stał deresz, a na dereszku ja. Chcąc wyrazić doskonałość jakowej czynności, mówią zwykle: Zrobił to lub owo jak król! Ale źle mówią ci, co tak mówić zwykli, bo nie tylko król, ale cesarz i król w jednej osobie wymierzył, strzelił i...chybił. Kula padła przed linią nieprzyjacielską. Utrzymują wprawdzie niektórzy, że dobrą dał dykcją...Być może, ale ja nie rezonując jako artylerzysta powiadam simpliciter (po prostu), com widział, że Jego Cesarska Mość spudłowała na piękne”. Do Francji z krótkimi postojami jechaliśmy przez całą noc. Podczas drogi jeden z kolegów zorientował się, że nie możemy zaparkować w Paryżu, ponieważ wokół stolicy Francji wyznaczona jest zielona strefa, do której nie mogą wjeżdżać zbyt mocno kopące samochody, do których i nasz się zaliczał. Załatwienie odpowiedniej nalepki trwałoby dwa tygodnie i w związku z tym musieliśmy zaparkować na granicy tej strefy. Około godziny 8 rano dojechaliśmy do Trocy, miasta na głębokich przedmieściach Paryża, gdzie zostawiliśmy naszego busa. Do Paryża dojechaliśmy pociągiem RER, coś w rodzaju naszej kolei regionalnej, a następnie rozjechaliśmy się słynnym paryskim metrem tam, gdzie kto chciał.



Kaplica „Sainte Chapelle” w Vincennes

ZAMEK VINCENNES

Ja z Dorotą i Andrzejem (wszyscy z 12 pułku piechoty) pojechaliśmy zwiedzić zamek Vincennes, zamek wybudowany w XIV wieku, który do XVI wieku był rezydencją królów Francji. Na terenie zamku o dwóch dziedzińcach stoi donżon – wieża obronna mająca ponad 50 m wysokości, z której roztacza się malowniczy widok na Paryż. Oprócz tego można zwiedzić gotycką kaplicę „Sainte Chapelle”, a także budynek archiwum Francuskiego Ministerstwa Obrony, gdzie przechowywane są między innymi wszelkie dokumenty dotyczące polskich pułków będących w służbie Napoleona. Wielu znakomitych polskich historyków doby przedinternetowej, aby skorzystać z tych źródeł, musiało tam osobiście pojechać, znaleźć pudło z interesującymi ich dokumentami, by za pomocą długopisu i kartki je skopiować. Po opuszczeniu zamku przez francuskich władców, którzy przenieśli się do Lwru, a później do Wersalu, w zamku funkcjonowała, między innymi, manufaktura porcelany, fabryka broni, arsenał i koszary, a także więzienie dla więźniów stanu. Przetrzymany tu m.in. markiza de Sade, kontrowersyjnego francuskiego pisarza, od którego nazwiska pochodzi wyrażenie „sadyzm”, Denisa Diderota, autora słynnej „Encyklopedii” czy Honoriusza de Mirabeau, znanego polityka Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Z historią zamku związane są dwie słynne egzekucje. W jego suchej fosie 21 marca 1804 roku rozstrzelano księcia d’Enghien, ostatniego z rodu Kondeuszy, bocznej linii Burbonów, fałszywie oskarżonego o spiskowanie przeciw Napoleonowi, a 15 października 1917 roku słynną holenderską tancerkę Matę Hari oskarżoną we Francji o szpiegostwo na rzecz Niemiec podczas I Wojny Światowej. Nas oczywiście bardziej interesowała sprawa księcia Louis-Antoine-Henri

d'Enghien, którego pod namową Charlesa-Maurice Talleyranda, ministra sprawiedliwości, i Josepha Fouché'go, ministra policji, Napoleon rozkazał porwać swoim wojskom z miasteczka Ettenheim w księstwie Badenii, w którym książę mieszkał. Pomimo tego, że Napoleon zorientował się, iż książę nie ma nic wspólnego ze spiskiem, to było już za późno, aby wycofywać się z przedsięwzięcia. Wieczorem 20 marca 1804 roku księcia przewieziono do zamku Vincennes i postawiono przed sądem wojennym, który sądził go za walkę z bronią w rękę przeciwko Francji. Książę wcześniej służył w Armii Kondeusza utworzonej z emigrantów francuskich na obczyźnie, którzy uciekli przed rewolucją francuską, walcząc u boku Austriaków przeciwko swojemu krajowi. Po szybkim, ukartowanym procesie 21 marca 1804 roku, o godzinie 1:45, skazano księcia na śmierć. Zaraz potem wyrok wykonano i księcia rozstrzelano w suchej fosie zamku, a jego ciało pochowano kilkaset metrów dalej, w fosie średniowiecznego donżonu. Dopiero w 1816 roku, po upadku napoleońskiego cesarstwa, szczątki księcia wydobyto z ziemi i pochowano w zamkowej gotyckiej kaplicy Sainte Chapelle w przepięknym mauzoleum autorstwa rzeźbiarza Louis'a Pierre'a Deseine'a. Zamordowanie księcia d'Enghien oburzyło wszystkie europejskie dwory, które dostrzegły w Napoleonie śmiertelnego wroga dla samych siebie i od tej pory starały się doprowadzić do jego upadku. Napoleon znalazł się w ogniu krytyki i zrozumiał, że popełnił błąd. Właśnie tego wydarzenia dotyczą słynne słowa, prawdopodobnie wypowiedziane przez Josepha Fouché'go: „To więcej niż zbrodnia, to błąd”¹.

W suchej zamkowej fosie w miejscu stracenia księcia stoi obecnie mały pomnik w kształcie kolumny upamiętniający jego osobę. Pomimo wszystko, tak surowe potraktowanie księcia d'Enghien znacznie zahamowało liczne do tej pory próby zamachów rojalistycznych na życie Napoleona. Wracając do Archiwum Francuskiego Ministerstwa Obrony, którego budynek znajduje się na terenie zamku, to w holu tego budynku można zobaczyć między innymi wielką rzeźbę przedstawiającą postać francuskiego



Mauzoleum księcia d'Enghien w „Sainte Chapelle” w Vincennes



Pomnik generała Daumesnil'a w budynku archiwum francuskiego Ministerstwa Obrony w Vincennes

¹ Według najnowszych badań słów tych nie wypowiedział ani Fouché (choć czasami rzeczywiście mu się te słowa przypisuje), ani Talleyrand – co jest całkowicie błędne, chociaż tak twierdzi wielu polskich ekspertów, lecz jeszcze inna postać: Antoine Boulay de la Meurthe (przyp. red. – P.N.).

napoleońskiego generała Pierra'a Daumesnil'a, który zamiast lewej nogi ma protezę. Nogę utracił w 1809 roku w bitwie pod Wagram koło Wiednia, a z nogą tą związana jest zabawna historia. Otóż generał ten wslawił się tym, że będąc gubernatorem zamku w Vincennes, dwukrotnie odmówił poddania twierdzy wojskom sprzymierzonym, walczącym przeciwko Napoleonowi. Pierwszy raz było to w 1814 roku i wtedy generał przekazał twierdzę dopiero wysłannikowi króla Francji, Ludwika XVIII. Natomiast drugi raz było to w 1815 roku, już po klęsce Napoleona pod Waterloo i jego drugiej abdykacji, kiedy pod murami twierdzy pojawili się Prusacy i zażądali jej poddania. Wtedy generał Daumesnil kategorycznie oświadczył, że odda im twierdzę tylko wtedy, kiedy oni oddadzą mu jego odciętą nogę. I znowu po wielu miesiącach oblężenia i wycofaniu się Prusaków, generał przekazał twierdzę wysłannikowi króla. W 1830 roku, już po upadku Burbonów, generał Daumesnil znowu wrócił do Vincennes jako gubernator twierdzy.

CLICHY

Po zwiedzeniu zamku Vincennes podjechaliśmy metrem do Clichy w Paryżu, gdzie w czasach napoleońskich znajdowały się rogatki Paryża od strony wzgórz Montmartre. 30 marca 1814 roku bronił jej z werwą stary marszałek napoleoński Bon-Adrien Moncey, stojący na czele gwardii narodowej, studentów politechniki paryskiej i mieszkańców Paryża, których zagrzewał do boju płomiennymi mowami. Skutecznie bronił dostępu do miasta wojskom rosyjskim z korpusu generała Langerona, ale niestety 31 marca 1814 roku nad ranem Paryż skapitulował. W miejscu tych walk, przy rogatkach Cichy, stoi wielki monument upamiętniający te wydarzenia. Jako ciekawostkę dodam, że pod Clichy u rogatek Paryża miała miejsce ostatnia szarża polskiego lekkiego pułku kawalerii tzw. „Krakusów”, na pruskich huzarów. Pułk wzorowany był na kozakach i w 1814 roku, po przeformowaniu się w Sedanie, otrzymał nowe granatowe mundury na wzór czerkieskich, z ładownicami na pierśsiach, oraz krymki tatarskie jako nakrycie głowy. Pułk został sformowany w Częstochowie w 1813 roku i z braku lepszych koni otrzymał małe, zwinne chłopskie koniki mierzynki. Gdy Napoleon zobaczył „Krakusów” na małych konikach, to szczerze się uśmieł, nazywając ich „jazdą pigmejską”. Ale przeciwnikowi nie było do śmiechu, gdyż pułk „Krakusów” wielce się wslawił swoimi bojowymi czynami w kampaniach w 1813 i 1814 roku.

CMENTARZ MONTMARTRE

Niedaleko Clichy znajduje się słynny paryski cmentarz położony u stóp wzgórza Montmartre, do którego dotarliśmy pieszo tzn. ja i Andrzej. Cmentarz znajduje się w środku miasta w małej dolinie, gdzie zewsząd otaczają go budynki mieszkalne. W 1888 roku nad cmentarzem zawieszono wiadukt drogowy ułatwiający komunikację, ale zasłaniający go przed ludźmi. Cmentarz Montmartre jest jedną z największych polskich nekropoli poza granicami naszego kraju, gdzie spoczywa ponad 200 naszych rodaków. Znajduje się tam kilkadziesiąt polskich grobów, w tym kilkanaście zbiorowych grobowców, gdzie głównie pochowano Polaków, którzy po Powstaniu Listopadowym schronili się we Francji. Dzięki ładnej

po pogodzie spacer alejami cmentarza był bardzo przyjemny, a my co rusz napotykalimy na groby sławnych ludzi. Oczywiście najbardziej interesowały nas groby Polaków związanych z epoką napoleońską, do czego byliśmy dobrze przygotowani, ponieważ Andrzej już wcześniej wydrukował mapkę cmentarza z zaznaczonymi interesującymi nas mogiłami. Żeby zbyt nie zanudzać, wspomnę tylko o mogiłach najważniejszych osób, które udało się nam odnaleźć. Jeżeli chodzi o Polaków, to byli to: Juliusz Słowacki – pusty grób naszego wielkiego poety doby romantyzmu, którego doczesne szczątki w 1927 roku zostały przewiezione do Polski i złożone w katedrze na Wawelu, Jan Paweł Jerzmanowski – generał, słynny szwoleżer Gwardii Napoleona, który zasłynął tym, że w 1814 roku popłynął z Napoleonem na zesłanie na wyspę Elbę, gdzie dowodził tzw. szwadronem Elby, w 1815 roku wrócił z cesarzem do Francji i walczył pod Waterloo, gdzie został ranny, Joachim Lelewel – polski historyk i działacz polityczny, w zbiorowej mogile, w której został pochowany, jego doczesnych szczątków już nie ma, gdyż w 1929 roku zostały przeniesione na cmentarz na Rossie w Wilnie, Tadeusz Antoni Mostowski – literat, publicysta, polityk, minister spraw wewnętrznych Księstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego, Maciej Rybiński – generał, ostatni wódz naczelny Powstania Listopadowego. Na uwagę zasługuje też nagrobek Mieczysława Kamieńskiego ze względu na piękny pomnik dłuta Jules’a Franceschi’ego. Mieczysław Kamieński był młodym, polskim ochotnikiem Legii Cudzoziemskiej w armii Napoleona III, który zginął w bitwie pod Magentą w Toskanii 4 czerwca 1859 roku podczas wojny francusko-austriackiej. Natomiast, jeżeli chodzi o groby innych nacji, to udało nam się znaleźć: Emile Zola – francuski pisarz, napisał m.in. 20 tomowy cykl pt. „Historia naturalna i społeczna rodziny za Drugiego Cesarstwa”, „Germinal”, „Nana”. W 1898 roku zaangażował się w obronę niesłusznie oskarżonego o zdradę francuskiego oficera pochodzenia żydowskiego Alfreda Dreyfusa. Tzw. Sprawa Dreyfusa silnie wstrząsnęła posadami Republiki Francuskiej. W związku z tą sprawą szczególnie polecam



Grób Juliusza Słowackiego – cmentarz Montmartre

wszystkim czytelnikom znakomity film fabularny w reżyserii Romana Polańskiego pt. „Oficer i szpieg” z 2019 roku przedstawiający te wydarzenia, Jacques Offenbach – niemiecki Żyd, który z czasem przeniósł się do Paryża i uzyskał francuskie obywatelstwo, muzyk i kompozytor operetkowy, do najbardziej znanych należy „Orfeusz w Piekle” ze słynnym Kankanem,



Grób Joachima Lelewela – cmentarz Montmartre

Stendhal, a właściwie Marie-Henri Beyle – francuski pisarz, autor m.in. „Pustelnia Parmeńska”, „Żywot Henryka Brulard” czy „Czerwone i Czarne”. Brał udział w kampaniach napoleońskich. W 1813 roku w Zgorzelcu i Środzie Śląskiej zetknął się z Napoleonem, a 6 czerwca 1813 roku został mianowany przez Pierre’a Daru generalnego intendenta Wielkiej Armii, intendentem w Żaganiu, gdzie odpowiadał za zdobywanie zaopatrzenia dla wojska, co często odbywało się siłą i nie przyniosło Stendhal’owi popularności wśród miejscowej ludności, Aleksander Dumas – syn – francuski pisarz, znany z melodramatu „Dama Kameliowa”, zaadaptowanego scenicznie przez Giuseppe Verdiego jako opera „Traviata”, Laure Permon d’Abrantes – żona słynnego napoleońskiego generała Jean’a-Andoche Junota, dobrego kolegi Napoleona jeszcze z czasów rewolucyjnych, spod Tulonu, znana pisarka, zostawiła po sobie ciekawe pamiętniki łatwo dostępne w języku polskim, Juliette Recamier – w czasach napoleońskich i później prowadziła znany salon towarzysko literacki popularny wśród paryskich elit, w którym często gościli krytycy polityki Napoleona, jak np. pisarka Madame de Staël, Antoine-Henri de Jomini – z pochodzenia Szwajcar, wybitny teoretyk wojskowości, napisał „Zarys sztuki wojennej”, książka dostępna w języku polskim, adiutant marszałka Ney’a, a po zdradzie Napoleona w 1813 roku, adiutant cara Aleksandra I, Philippe-Paul de Segur – wybitny generał francuski, przez całą epokę napoleońską niezwykle aktywny na polu militarnym, chciał towarzyszyć Napoleonowi w jego zesłaniu na wyspie św. Heleny, pozostawił po sobie interesujące pamiętniki, łatwo dostępne w języku polskim.

Czasami nie było łatwo i trzeba było się nieźle nachodzić, aby znaleźć konkretny grób; pomimo tego, że mieliśmy mapkę, i tak nie udało nam się zlokalizować trzech z nich. Nie znaleźliśmy grobu francuskiej kurtyzany Marii Duplessis, kochanki Aleksandra Dumasa syna, na której życiorysie pisarz oparł swoją powieść pt. „Dama Kameliowa”. Nie znaleźliśmy też zbiorowej mogiły gwardzistów szwajcarskich pomordowanych przez motłoch paryski podczas obrony pałacu królewskiego Tuileries w czasie Wielkiej Rewolucji Francuskiej w 1792 roku, a także grobu słynnego francuskiego malarza Horacego Verneta, autora wielu znanych obrazów historycznych, batalistycznych i portretów, często przedstawiających wydarzenia i osoby z czasów Rewolucji Francuskiej i epoki napoleońskiej. Najprawdopodobniej byliśmy przy tych grobach, ale niektóre z nich były zaniedbane i nie można było z nich nic odczytać. Naszą uwagę zwróciło to, że większość polskich nagrobków była odnowiona, co bardzo podniosło nas na duchu. To dobrze, że pamiętamy o naszych rodakach, często wielce zasłużonych dla Polski, a pochowanych z dala od ojczyzny. Po trzech godzinach intensywnego spacerowania po cmentarzu Montmartre, a wcześniej po dwugodzinnym zwiedzaniu zamku Vincennes i rogatki Clichy, poczuliśmy się trochę zmęczeni. Na krótki odpoczynek wstąpiliśmy do kafejki, jednej z tysiąca znajdujących się w Paryżu, gdzie posililiśmy się przepyszną zupą cebulową, wzmacniając się kawą i kieliszkiem wina.

PAŁAC I KOŚCIÓŁ INWALIDÓW

Po złapaniu oddechu my, „żołnierze napoleońscy”, ruszyliśmy w kierunku Pałacu – Kościoła Inwalidów, aby zameldować się „naszemu” szefowi szefów, Cesarzowi Napoleonowi Bonaparte, którego doczesne szczątki spoczywają w ogromnym sarkofagu pod złotą kopułą,



Dziedziniec Pałacu Inwalidów w Paryżu (od lewej: Andrzej, Sławek, ja i Dorota)

charakterystyczną dla panoramy Paryża. Być w Paryżu i nie odwiedzić Napoleona to dla nas niesubordynacja. Nie będę tutaj dokładnie opisywał historii tego miejsca, gdyż w dobie internetu każdy może szybko znaleźć informacje na jego temat, ale wspomnę o kilku ciekawostkach. Napoleon pochowany jest w Pałacu Inwalidów pod olbrzymią złotą kopułą, w ogromnym sarkofagu odpowiadającym jego „wielkości” z takim oto epitafium: „Niech śpi pod tą kopułą, to hełm na głowę giganta”. Sarkofag wykonany jest z czerwonego porfiru, a właściwie z fioletowego kwarcytu sprowadzonego z terenu dzisiejszej Finlandii, a umieszczony jest na podstawie z zielonego granitu z Wogezów. Oprócz tego, nie każdy o tym wie, doczesne szczątki Napoleona zostały pochowane aż w sześciu trumnach (cynowej, mahoniowej, dwóch ołowianych, z kości słoniowej i jeszcze raz mahoniowej), jedna w drugiej, jak rosyjskie drewniane lalki matrioski. W niszy grobowca, u stóp rzeźby przedstawiającej Napoleona w rzymskim stylu, pochowany jest jego jedyny legalny następca, syn, Napoleon II, król Rzymu zwany Orłątkiem, którego prochy, spoczywające dotąd w Wiedniu, w 1940 roku kazał przenieść do ojca nie kto inny, jak Adolf Hitler. Oprócz Napoleona w Pałacu Inwalidów spoczywa wiele zasłużonych dla Francji oraz związanych z Napoleonem osób. Między innymi jest to marszałek



Cesarz i ja w Pałacu Inwalidów w Paryżu



Sarkofag marszałka Ferdinanda Focha w Pałacu Inwalidów w Paryżu



Sarkofag Józefa Bonaparte w Pałacu Inwalidów w Paryżu



Sarkofag Hieronima Bonaparte w Pałacu Inwalidów w Paryżu

Francji, Wielkiej Brytanii i Polski, Ferdynand Foch, słynny dowódca z I Wojny Światowej, przyjaciel Polaków, aktywnie wspierający powstanie niepodległej Polski. Szczególnie polecam jego grobowiec, przedstawiający żołnierzy francuskich niosących zmarłego marszałka na swoich ramionach, który pod względem artystycznym uważam za najpiękniejszy. Godne polecenia są też grobowce dwóch z czterech braci cesarza, a mianowicie najstarszego z nich, Józefa, króla Neapolu i Hiszpanii, oraz najmłodszego, Hieronima, króla Westfalii. W części budynków przy Pałacu i Kościele Inwalidów znajduje się godne odwiedzenia Muzeum Armii Francuskiej, w którym szczególnie polecam ekspozycję poświęconą epoce napoleońskiej. Po prostu cuda nad cuda. Niestety, czas już było wracać do Trocy, do naszego busa, aby o w miarę normalnej porze zameldować się w Montereau. W drodze do metra jeszcze ostatnie spojrzenia na Paryż, na Wieżę Eiffła i Łuk Tryumfalny, przejście po moście nad Sekwaną i znikamy w podziemiach metra.

MONTEREAU

Do celu naszej podróży dotarliśmy wczesnym wieczorem, gdzie po długich poszukiwaniach udało nam się znaleźć organizatorów imprezy, z którymi mieliśmy spory problem, aby się porozumieć. Oni nie mówili po angielsku, a my po francusku. Jednak w końcu znalazł się jeden Francuz mówiący jako tako po angielsku, od którego dowiedzieliśmy się, co i jak. Nocleg mieliśmy niezbyt epokowy, bo w miejscowej hali sportowej. Mogliśmy obozować pod namiotami w miejscowym parku, ale nie mieliśmy namiotów. Pomimo, że była to połowa lutego, to we Francji było na tyle ciepło, aby spać pod namiotami, co wielu rekonstruktorów uczyniło. Na drugi dzień rano mieliśmy rekonstrukcję potyczki z Prusakami w pobliskim lesie, gdzie nie było wiadomo, o co chodzi, gdyż organizator sam nie wiedział, jaki jest scenariusz. No więc biegaliśmy i strzelaliśmy z muszkietów po lesie, robiąc mnóstwo hałasu i dymu, a nieliczni widzowie wypatrywali nas między drzewami,

próbując zrobić fotkę. Po tej części programu wszystkie oddziały przemaszerowały ulicami Montereau ku ucieście miejscowej ludności, która radośnie nas pozdrawiała, robiąc sobie z nami fotki i próbując zgadnąć, skąd jesteśmy. Kiedy słyszeli jak gadamy po polsku, niektórzy z nich podchodzili do nas, pytając, czy jesteśmy Rosjanami. Widząc nasze skrzywione miny, dochodziło do nich, że w obecnej sytuacji politycznej w Europie popełnili poważne faux pas, które z uśmiechem na ustach im wybaczyliśmy. Te słowiańskie języki!

Kulminacyjnym punktem programu tego dnia była duża bitwa w miejscowym parku na wyznaczonym niewielkim terenie ogrodzonym metalowymi barierkami oddzielającymi nas od publiczności. Wmaszerowując na pole bitwy czuliśmy się jak gladiatorzy idący na arenę i pozdrawiający cesarza, w tym przypadku cesarza Napoleona, w którego wcielił się stary znajomy Polaków, Belg Jean-Gerald Larcin. Dla porządku chciałbym poinformować, że po stronie francuskiej uczestniczyły liczne grupy rekonstrukcji historycznej, francuskie, belgijskie i niemieckie odtwarzające oddziały francuskiej piechoty liniowej i gwardii cesarskiej.

Były też oddziały kawalerii napoleońskiej i wrogiej na koniach, kilka armat z kanonierami, a także nasz mały oddział Księstwa Warszawskiego pod moim skromnym dowództwem w randze kapitana. Oddziały napoleońskie były liczne i były to w większości grupy dobrze wyszkolone w mustrze i dobrze



Konny pomnik Napoleona w Montereau (od lewej ja i Remi, Belg z pruskiej Landwehry, zamieniliśmy się nakryciami głowy)



Bitwa w Montereau

prezentujące się. Niestety, nie dopisali nasi wrogowie, czyli Prusacy, Rosjanie i Austriacy, którzy stawili się nielicznie. W związku z tym, że oddziały napoleońskie podczas rekonstrukcji bitwy nie miałyby za bardzo z kim walczyć, organizator poprosił nas, Polaków, abyśmy na czas bitwy przeszli do obozu wroga, aby wzmocnić jego skromne szeregi, na co niechętnie się zgodziliśmy. Tłumy widzów zebrały się wokół pola bitwy, aby zobaczyć starcie między obiema armiami. Bój rozpoczął potężny wystrzał armatni, który wielu niespodziewających się takiego huku widzów wystraszył i zmusił do wydania z siebie okrzyków zarówno przerażenia, jak i zachwytu. Od tej pory na nasze pozycje zaczęły nacierać, jedna po drugiej, kolumny piechoty francuskiej. Rozpoczęła się walka ogniowa. Oddziały cały czas strzelały do siebie salwami z muszkietów, po których często dochodziło do walki wręcz. W tym samym czasie odezwały się również inne armaty, prowadząc nieustanny ostrzał. Na polu walki panował ogromny zgłęb związany z ciągłymi salwami karabinowymi i strzałami armatnimi oraz okrzykami walczących żołnierzy zagrzewających się do boju. Całe pole zasłane było dymem po wystrzałach ładunków czarnoprochowych, którego opary mają charakterystyczny zapach zgniłych jajek. W tym miejscu chciałbym wyjaśnić, że rekonstruktorzy podczas bitew używają replik muszkietów i armat, z których strzelają ładunkami, pociskami z czarnego prochu, ale bez kuli. Efekt dźwiękowy i wizualny jest jak przy prawdziwym wystrzale, z tym, że z lufy nie wylatuje kula, a proch się spala powodując kłęby dymu. Oczywiście podczas strzału nie może być nikogo zbyt blisko strzelającego, ponieważ już sam podmuch wystrzału może zrobić człowiekowi krzywdę, a z bliskiej odległości może nawet zabić. Dlatego żołnierze strzelający podczas rekonstrukcji zazwyczaj celują broń w górę albo w ziemię, aby zachować maksymalne bezpieczeństwo. W przerwach między atakami piechoty atakowała nas kawaleria. Wtedy według prawideł regulaminów, piechota grupowała się w ciasne czworoboki lub koła, w których żołnierze stojąc do siebie plecami odpierali ataki jazdy broniąc się karabinami z nasadzonymi na nich bagnietami. Broniliśmy się dzielnie, ale z powodu dużej liczebnej przewagi wroga oraz po wyczerpaniu się amunicji, po zaciętej godzinnej walce w obronie, zmuszeni zostaliśmy do poddania się. Po zakończeniu batalii wykonawcy nagrodzeni zostali gromkimi i długimi oklaskami od licznie zgromadzonej publiczności. Na koniec odbyła się prezentacja oddziałów oraz przegląd wojsk dokonany przez Napoleona. Następnie oddziały w szyku defiladowym zeszyły z pola bitwy bratając się z miejscową ludnością. Już na sam koniec dowódcy oddziałów musieli zgłosić się do sztabu Napoleona po odbiór żołdu dla swoich żołnierzy. Każdy żołnierz za udział w bitwie otrzymał na pamiątkę mały jutowy woreczek z brzęczącą zawartością kilku monet, będących replikami oryginalnych franków z czasów napoleońskich. Po tym wszystkim mieliśmy trochę wolnego czasu, aby zwiedzić miasteczko, zrobić zakupy i wpaść do knajpeczki. Trzeciego dnia, który był naszym ostatnim, mieliśmy wziąć udział w kolejnej bitwie, identycznej jak opisana powyżej, w tym samym miejscu i o tej samej porze. Mieliśmy więc chwilę wolnego.

PAŁAC W FONTAINEBLEAU

Wstaliśmy trochę wcześniej, aby spakować się już do wyjazdu do Polski, i ubrani w mundury z karabinami pojechaliśmy zwiedzić zamek w Fontainebleau. A dlaczego w mundurach? Ano dlatego, aby maksymalnie wykorzystać wolne chwile na zwiedzanie, a po powrocie do Montereau od razu, z marszu, a właściwie z busa, w pełnym rynsztunku wkroczyć do



Sala tronowa Napoleona w Fontainebleau



Słynny kapelusz i płaszcz Napoleona w zbiorach Fontainebleau, fot z archiwum P. Zawady

bitwy. Podczas jazdy do pałacu słuchaliśmy i śpiewaliśmy refren starej polskiej piosenki, jeszcze z czasów komuny, pt. „W drodze do Fontainebleau”, w wykonaniu niezapomnianego duetu, Krystyny Giżowskiej i Bogusława Meca. Rezydencja królewska w Fontainebleau położona jest około 60 km na południe od Paryża, a jej początki sięgają XII wieku. Po licznych przebudowach w swej kilkusetletniej historii obecnie pałac to budowla w stylu renesansowo-manierystycznym. Obok pałacu znajduje się rozległy ogród i park poprzecinany licznymi kanałami, a w pobliżu rozciąga się wielki kompleks leśny, las Fontainebleau. Chociaż królowie francuscy oficjalnie mieszkali w Luwrze i Wersalu, to chętnie spędzali tu czas na polowaniach, a przy okazji tych wizyt upiększali swoją rezydencję; informuję również, że Napoleon także był entuzjastą polowań. Podczas rewolucji francuskiej pałac został splądrowany, a dawną świetność w 1804 roku przywrócił mu Napoleon, wybierając pałac na swoją główną rezydencję. Ostatnim z władców Francji, który zamieszkiwał w Fontainebleau, był Napoleon III, bratanek słynnego cesarza. Obecnie pałac pełni rolę muzeum, a dzisiejszy wygląd zawdzięcza ostatniej renowacji z lat 1964–1968. W pałacu znajduje się ponad 1500 pokoi i cztery muzea: Muzeum Chińskie, Galeria Malarstwa, Galeria Mebli oraz Muzeum Napoleona, dla którego właściwie tam przyjechaliśmy. Fontainebleau przywitało nas rześkim porankiem, ale dzięki naszym sukienным mundurom było nam ciepłutko. Przed pójściem do pałacu poszliśmy zobaczyć miejscowy targ staroci, który właśnie się rozstawał. Na dużym stoisku, gdzie wszystko było po 5 Euro, nie omieszkałem kupić sobie drobiazgi do swojej napoleońskiej kolekcji. W czasie naszego pobytu na



Stolik, przy którym Napoleon podpisał swoją pierwszą abdykację – Fontainebleau, fot. A Chyra

rynku miała miejsce zabawna historia. Otóż podczas oglądania eksponatów na jednym ze stoisk zagadnęła mnie jego właścicielka, bardzo sympatyczna starsza dama, zaciekawiona moim napoleońskim mundurem (po angielsku): – Ona. Skąd jesteś? – Ja. Jestem z Polski. – Ona. Byłam kiedyś w Polsce, w Gdańsku. – Ja. Właśnie ja jestem z Gdańska. A w którym roku Pani była w Gdańsku? – Ona. Byłam w 1966 roku. – Ja. A to ciekawe, bo ja właśnie urodziłem się w 1966 roku w Gdańsku (naprawdę). – Ona. To może jesteś moim synem? Wtedy oboje szczerze się roześmialiśmy. Okazało się, że owa Pani z pochodzenia jest Greczynką, która mieszkała z rodziną w Egipcie, skąd podczas zawieruchy dziejowej przez Polskę dotarła do Francji. Wreszcie ruszyliśmy na zwiedzanie pałacu. A można tam zobaczyć cuda nad cuda. My w Polsce nawet w części nie mamy takich eksponatów. Są tam bogato udekorowane renesansowe sale dworskie, wielkie apartamenty królewskie, galerie obrazów, komnaty Napoleona, wystawa chińska oraz muzeum poświęcone Napoleonowi i jego rodzinie. Wszędzie można podziwiać wspaniałe i bogate wyposażenie sal, komnat i pokoi, ze wspaniałymi meblami, podłogami, wystrojem ścian i sufitów. Napoleon bywał w Fontainebleau dość często i lubił tam przebywać. W muzeum poświęconemu Pierwszemu Cesarstwu (1804–1814) możemy zobaczyć wyjątkową kolekcję mebli, obrazów, rzeźb, broni, ceramiki, mundurów, strojów dworskich i innych przedmiotów, a także apartamenty Napoleona z salą tronową i pokoje przeznaczone dla tymczasowo więzionego przez Napoleona papieża Piusa VII. Między innymi można zobaczyć oryginalny, tak charakterystyczny dla wizerunku Napoleona, jego czarny dwurożny kapelusz i sławny szary płaszcz. Jest też słynny okrągły stolik, przy którym Napoleon, zmuszony przez swoich marszałków, 6 kwietnia 1814 roku podpisał, jak się później okazało, swoją pierwszą abdykację, na rzecz swojego małoletniego syna Napoleona II z Marią Ludwiką jako regentką. Jako ciekawostkę wspomnę, że Napoleonowi nie tak łatwo przyszło pogodzić się ze swym nowym losem. Natarczywie naciskany przez marszałków, by podpisać abdykację, w pewnym momencie

stracił cierpliwość i wyjął sztylet, który wkurzony z całej siły wbił w stół. Ślad po tym ciosie można oglądać do dzisiaj, co osobiście stwierdziłem. Tak na marginesie, to traktat z Fontainebleau zapewnił wszystkim wojskom polskim we Francji swobodny powrót do kraju z bronią w rękę, armatami i sztandarami, co się wydarzyło. 20 kwietnia 1814 roku przed pałacem, przed słynnymi schodami na Dziedzińcu Białego Konia (zwanego później Dziedzińcem Pożegnania), odbyło się pożegnanie Napoleona ze starą gwardią przed wyjazdem na zesłanie na wyspę Elbę. W wydarzeniu tym wzięło udział kilkadziesiąt osób z otoczenia cesarza, w tym trzech Polaków, ale nie było ani jednego marszałka. Po krótkim przemówieniu skierowanym przez cesarza do żołnierzy, nie mogąc dalej mówić ze wzruszenia, cesarz ucałował sztandar 1 pułku grenadierów gwardii. Obie te sceny są dobrze przedstawione w niezłym filmie fabularnym z 1970 roku pt. „Waterloo” w reżyserii Siergieja Bondarczuka. Na pewno warto zobaczyć ten film, również ze względu na świetną rolę amerykańskiego aktora Roda Steigera wcielającego się w postać Napoleona. Szkoda tylko, że Napoleon i inni bohaterowie mówią w tym filmie po angielsku.

MONTEREAU I POWRÓT DO POLSKI

Tak jak wcześniej pisałem, po powrocie do Montereau zaparkowaliśmy naszego busa w parku w pobliżu pola bitwy i z marszu, jak siły szybkiego reagowania, wkroczyliśmy do boju. Przebieg bitwy podobny był do poprzedniej z tym, że w porównaniu z nią, po opadach deszczu walczyliśmy w niezłym błotku. Ja osobiście miałem wszystko w błocie, buty, spodnie, frak mundurowy, a nawet szpadę. Po zakończeniu bitwy szybko pożegnaliśmy się z naszymi znajomymi i podziękowaliśmy organizatorom za zaproszenie i gościnę. Następnie pojechaliśmy do naszej hali sportowej, gdzie przebraliśmy się w cywilne łachy, zapakowaliśmy do busa nasze graty i ruszyliśmy w drogę powrotną do kraju. Około godzinie 22.00 dotarliśmy do małego hotelu w Kaiserslautern w Niemczech, gdzie przenocowaliśmy. Na drugi dzień wstaliśmy wcześnie rano i po śniadaniu ruszyliśmy w dalszą drogę. Po drodze mieliśmy małą awarię: na autostradzie w Niemczech podczas jazdy wystrzeliła nam tylna lewa opona. Kierujący busem Tomek zapanował nad samochodem i spokojnie zjechał na pobocze, na którym szybko zmieniliśmy koło, po czym ruszyliśmy dalej. Przez całą naszą wyprawę busem kierowali nasi dwaj koledzy, dwaj Tomkowie, za co im cześć i chwała. Już bez przygód dojechaliśmy do Polski, gdzie zatrzymaliśmy się w Legnicy, gdzie wysiadł jeden z naszych kolegów, a my przy okazji poszliśmy na obiad. Następnie dojechaliśmy do Świętej Katarzyny, gdzie rozdzieliliśmy się na dwa samochody. Ja z Adą i Andrzejem pojechaliśmy moim autem i wieczorem dojechaliśmy do Nowego Dworu Mazowieckiego, gdzie moi znajomi mieszkają. Po krótkim odpoczynku już sam ruszyłem do Gdańska, do którego dojechałem o 2.00 w nocy, a o 6.30 znowu wstawałem i pomimo zmęczenia i niewyspania, ale zadowolony, w całkiem dobrym nastroju, poszedłem do pracy.

Wszystkie fotki z archiwum Piotra Zawady

Andrzej Kasperek



TU ZASZŁA ZMIANA

W 1951 roku Maria Dąbrowska opublikowała opowiadanie „Tu zaszła zmiana”. Jest ono zapisem przeżyć pisarki z września 1939 roku, okupacji i powstania warszawskiego, a także wygnania ze stolicy i powrotu w 1945 roku; jest także świadectwem odbudowy Warszawy. Przypominam ten utwór, bo jego tytuł, nb. wzięty z poezji Adama Mickiewicza („Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia”) wszedł do polszczyzny. I wydał mi się bardzo dobrze pasujący do kilku słów, które chcę napisać.

1 Maj przez lata był świętem zawłaszczonym przez komunistyczny reżim. Chyba wszyscy (na pewno ci urodzeni w czasach słusznie minionych) pamiętają pierwszomajowe pochody, akademie etc. Święto Pracy – święto robotników stało się tylko fasadową imprezą, często przymusową dla pracowników, uczniów i studentów. Dziś jeszcze gdzieś, ktoś próbuje doń nawiązywać, ale chętnych zbyt wielu nie ma... A jednocześnie w polskiej historii ta data nabrała nowego znaczenia, bo jest symbolem akcesu naszego kraju do wspólnoty europejskiej – 1 maja 2004 roku Polska stała się członkiem Unii Europejskiej.

Dobrze pamiętam, ile było obaw, ile strachu. Do dziś niektórzy politycy chętnie posługują się pogardliwym określeniem „Eurokołchoz” i głoszą, że Polska jest landem w Eurolandzie. A osiem lat temu, gdy zaczęło się tzw. wstawanie Polski z kolan, Krystyna Pawłowicz nazywała flagę z gwiazdami „szmatą”, prezydent Duda wyrzucił ją z prezydenckiego pałacu a premier Szydło usunęła z konferencji prasowych rządu. Jakoś nie przeszkodziło jej to, aby kilka lat później kandydować do Parlamentu Europejskiego i z pełnym poświęceniem spędzić w nim całą kadencję. Ileż zdrowia i samozaparcia musi ją dziś kosztować ponowne kandydowanie!

Guy Verhofstadt, były belgijski premier, skomentował to w cierpkich słowach: „A więc nie życzyście sobie unijnych flag, ale ciągle chcecie unijnych pieniędzy?” No właśnie, piszę te słowa w dniu wyborów do Parlamentu UE. W lokalu wyborczym dostałem wielką płachtę, a na niej kilka komitetów wyborczych i w każdym po dziesięciu kandydatów. Pewnie część serio traktuje swe potencjale przyszłe obowiązki, ale dla niektórych to po prostu atrakcyjna synekura. Nic dziwnego – miesięczne podstawowe wynagrodzenie europosła wynosi prawie 8 tysięcy euro netto.

Ale takie są koszty demokracji. Te są jeszcze stosunkowo niewielkie, bo wolę, żeby niektóre osoby siedziały w Brukseli niż panoszyły się w kraju... Mnie bardziej interesuje, ile jako państwo i społeczeństwo zyskałoby przez te 20 lat. I niech nikt mi nie mówi, że unia nam coś zabiera, coś zawłaszcza, czymś obarcza. Zbyt dobrze pamiętam wstyd i bezsilność, jakie czułem w czasie wyjazdów zagranicznych, które organizowałem dla moich uczniów w latach 1998–2007. Staliśmy przed wejściem do jakiegoś muzeum czy zabytku i na tablicy przy kasie czytałem wypisane tam informacje i ceny biletów: uczniowie z unii mogli zwiedzać bezpłatnie a nasi musieli płacić po kilka / kilkanaście franków, lirów, drachm a później euro. Zapamiętałem osobne bramki na granicach dla „europejskich” autokarów i osobne dla nas – z krajów „gorszego sortu”, godziny czekania, rewizje osobiste... Wcale nie chodzi mi tylko o wymiar finansowy, o niewygodę – to też się liczyło, ale najgorsze było poczucie, że jesteśmy jakimiś gorszymi, ubogimi krewnymi. A przecież

od czasów Ottona III, który w roku 1000 w Gnieźnie włożył koronę na głowę słowiańskiego księcia Bolesława Chrobrego, Polska była (nie tylko geograficznie) w Europie.

Już słyszę głosy tych, którzy protestują, że przywołuję w tym miejscu niemieckiego cesarza. Jak to? Po co? Przecież „my sami, my pierwsi”. Pewien wiceminister wyjaśniał kilka lat temu, że Francuzi to „są ludzie, którzy uczyli się od nas jeść widelcem parę wieków temu”. W ten sposób chciał pokazać, że nie ma kompleksów wobec Zachodu. A pokazał tylko, że jest ignorantem. Często mam wrażenie, że kompleksy niektórych ludzi wobec „zdradzieckiego Zachodu” biorą się przede wszystkim z ich niedouczenia.

Choć przecież zdarza się, że brukselskim urzędnikom brakuje wyczucia czy zwykłej empatii. Pojawiło się nawet niezbyt miłe słowo: eurokrata. Prof. Jerzy Bralczyk wyjaśnia, że to: „biurokrata próbujący wcielić w życie europejskie przepisy, nieuwzględniające miejscowych realiów i zwyczajów, przepisy więc niezyciowe, a mający przy tym nieuzasadnione poczucie władzy”. A tego nikt nie lubi. Bruksela często dobre pomysły (jak Zielony Ład) wprowadza w sposób nieprzemysłany, z czego biorą się kłopoty. Zamiast wytłumaczyć cele i korzyści z tego programu zadekretowano go. Nie tędy droga. W tym roku na podstawie unijnej dyrektywy zostały wprowadzone fabrycznie przymontowane zakrętki do butelek. I znowu słuszny cel – ekologia i ochrona środowiska, ale rzecz cała wykonana z gracją ruskiego niedźwiedzia. Niektórzy przeciwnicy UE wybrali sobie plastikową zakrętkę jako symbol oporu i chcą ją nosić jak w czasach stanu wojennego noszono oporniki. O tempora, o mores...

Tak się składa, że w tym roku wiele ważnych dat znalazło się koło siebie: 1 maja – 20 lat od przyjęcie nas do UE, 4 czerwca – 35 rocznica pierwszych (częściowo) wolnych wyborów, 6 czerwca – 80 rocznica lądowania aliantów w Normandii, które zmieniło bieg europejskiej historii i jest symbolem obrony wartości przeciw przemocy. Prasa doniosła kilka dni temu, że znany reżyser Darren Aronofsky, dwukrotnie nominowany do Oscara, dostał polskie obywatelstwo. Do tej pory to raczej Polacy marzyli o paszporcie USA. Co się zmieniło? Może to powrót do polsko-żydowskich korzeni, a może także chęć bycia Europejczykiem. Nie znam jego motywacji, ale to nie aż tak ważne, ważniejsze, że wielu ludzi na świecie ceni paszport z orzełkiem.

Pomysł na ten artykuł narodził się w trakcie oglądania kalendarza wydanego przez Samorząd Województwa Pomorskiego: „POMORSKIE. TAK SIĘ ZMIENILIŚMY 2024”. Jest wiele kalendarzy atrakcyjniejszych wizualnie, z lepszymi zdjęciami. Ale ten jest dla mnie szczególnie ważny, bo pokazuje, jak ogromną drogę Polska przeszła od roku 1989, a szczególnie od reformy administracyjnej (1999 r.). Wiele rzeczy po Czerwcu niekoniecznie się udało, ale samorządy tak. Chyba tego nie doceniamy. We wstępie do wydawnictwa Mieczysław Struk – Marszałek Województwa Pomorskiego – napisał: „Kalendarz, który macie przed sobą, ukazuje, jak nasz region zmienił się na przestrzeni ostatnich dekad. Zrealizowane w tym okresie inwestycje odmieniły nasze otoczenie, sprawiając, że Pomorze stało się jeszcze piękniejsze i nowocześniejsze. Poprzez aktualne i archiwalne fotografie, wykonane przez wybitnych pomorskich fotografików Zbigniewa i Macieja Kosycarzy oraz fotografów z agencji fotograficznej Kosycarz Foto Press KFP, chcemy przypomnieć zmiany, jakie zachodziły na Pomorzu. To ważna część naszej historii”. Chciałoby się rozszerzyć tę myśl i powiedzieć, że przez te lata cała Polska wypiękniała i stała się lepszym miejscem do życia.



Kalendarz wydany przez Samorząd Województwa Pomorskiego:
„POMORSKIE. TAK SIĘ ZMIENILIŚMY 2024”

Zbigniew Kosycarz był legendą na Wybrzeżu – od 1945 roku przez pół wieku dokumentował wszystko, co się działo w Gdańsku i regionie. Był wszędzie i zawsze gotowy do pracy. Jego syn Maciej przejął talent fotograficzny po ojcu. Zawdzięczamy mu nie tylko edycję zdjęć z przebogatego archiwum ojca w formie albumów, był także kontynuatorem tradycji – szalał jako fotoreporter i założył wspomnianą agencję KFP. Miałem okazję go

poznać, umówiliśmy się nawet, że wybierzemy zdjęcia Żuław wykonane przez ojca do 2. tomu „Mojego płaskiego kraju”... Niestety, zmarł przedwcześnie. W kalendarzu jest także zdjęcie Konrada – syna Macieja. Trzecie pokolenie Kosycarzy fotografuje. Z ich archiwum wybrano 24 zdjęcia – stare i nowe. Ich oglądanie to okazja do wspomnień, refleksji a nawet wzruszeń.

Styczeń to zdjęcie Polskiej Filharmonii Bałtyckiej im. Fryderyka Chopina. Na czarnobiałej fotografii są dzieci jeżdżące na sankach po Targu Rybnym, a w tle widać Ołowiankę i kompleks miejskiej elektrowni z końca XIX wieku. To właśnie ten poprzemysłowy budynek (po zamknięciu elektrowni w 1996 roku) został poddany rewitalizacji i dziś Gdańsk szczyci się tym obiektem. W jego koncertowej sali głównej (na 1000 miejsc) odbywają się także ważne uroczystości, kilka razy uczestniczyłem tam we wręczaniu Pomorskiej Nagrody Artystycznej.

Luty – dwa zdjęcia pokazują gdańskie lotnisko. Oficjalne otwarcie portu lotniczego Gdańsk-Rębiechowo odbyło się 2 maja 1974 r. (Znowu rocznica!) Pamiętam jeszcze samoloty na lotnisku Zaspą. Ono jednak było zbyt małe i bez szans na rozwój. W czasach studenckich miałem nawet okazję polecieć turbośmigłowcem do Warszawy. Dziś latamy z nowoczesnego portu lotniczego, którego patronem w 2004 roku został Lech Wałęsa, do prawie stu miejsc na świecie. W zeszłym roku z jego usług skorzystało niemalże 6 milionów pasażerów. Jest trzecim polskim lotniskiem po warszawskim Okęciu i krakowskich Balicach.

Marzec – na starym zdjęciu widzimy typowy peerelowski klocek; tak wyglądał dworzec kolejowy w Kartuzach, zburzony w czasie wojny, odbudowano go w czasach obowiązywania socrealizmu. Dopiero w 2018 roku w jego miejsce powstał nowy budynek, nawiązujący do kształtu dawnego, jeszcze XIX-wiecznego dworca – jest on przeznaczony do obsługi pasażerów pociągów i autobusów, mieści się w nim także biblioteka oraz informacja turystyczna.

Kwiecień – zdjęcie z 1973 roku przedstawia ruiny wiaduktu z dawnej linii kolejowej Gdańsk Wrzeszcz–Stara Piła. W 1945 roku wysadziły go wycofujące się oddziały Wehrmachtu. Straszył przez kilkadziesiąt lat po wojnie, bo linii nie odbudowano. Warto wspomnieć, że inny wiadukt, znajdujący się na uboczu walk wojennych, nie został zniszczony i przetrwał do 2013. Paweł Huelle uwiecznił go w swej debiutanckiej powieści „Weiser Dawidek”, znalazł się nawet na okładce 1. wydania. Dziś w tym miejscu jest nowoczesny obiekt nazwany Wiaduktem Weisera. Warto dodać, że w maju br. na ścianie przystanku PKM na Niedźwiedniku odsłonięto mural upamiętniający zmarłego

pisarza. W 2015 roku w miejscu starych torów powstała Pomorska Kolej Metropolitalna. Chyba jedno z największych osiągnięć w infrastrukturze komunikacyjnej Pomorza. Połączyła Gdańsk i Gdynię z portem lotniczym, umożliwiła nowe połączenie z Kartuzami i Kościerzyną. Po latach widać, jak potrzebna była ta inwestycja. A mi się marzy, żeby kolej tego typu połączyła Gdańsk z Elblągiem. Oczywiście z przystankiem w Nowym Dworze Gdańskim. Nie tylko byłaby remedium na coraz większe (niestety) wykluczenie komunikacyjne mojego miasta, ale jestem pewny, że byłaby ogromnym impulsem rozwoju dla Żuław i Elbląga. Może się tego doczekam!



Maj – stare zdjęcie pokazuje budowę mostu na Wiśle w Kieźmarku w 1972 roku. To było ogromne wydarzenie, bo pozwoliło na całoroczne połączenie Żuław z Gdańskiem. Wcześniej w tym miejscu funkcjonował most pontonowy, który na zimę rozbierano i kursował tu prom, ale to nie było pewne połączenie i droga do stolicy województwa wiodła przez mosty czeskie. Obok mostu z 1973 roku zbudowano w latach 2016–2018 dwa nowe mosty na potrzeby drogi ekspresowej S7. Dzięki nim z mojego płaskiego kraju do Gdańska można przejechać w pół godziny.

Czerwiec – to kolejny dworzec. Stary paskudny klocek dworca w Sopocie, który nigdy nie był wizytówką tego miasta z ambicjami, został rozebrany i zupełnie zmieniony. Nowy dworzec to skrzyżowanie galerii handlowej z pasażem restauracji. Nie wszystkim się to podoba, ale taki jest dzisiejszy trend. Przynajmniej te obiekty żyją. Bo co z tego, że po latach czekania (ze sporym opóźnieniem) oddano do użytku przepiękny dworzec Gdańsk Główny, skoro jest on wciąż pusty i zupełnie nie wykorzystany.

Lipiec – to (dawniej) bojerki na zamrzniętej Zatoce Puckiej w 1969 roku i (współcześnie) szalejący w tym samym miejscu windsurferzy. Pamiętam zawody bojerowe na lodzie Zalewu Wiślanego w Krynicy Morskiej, ale ostatnio odbywają się one coraz rzadziej – to znak czasu, z powodu zmian klimatycznych Zalew Wiślany i Zatoka Gdańska zamarzają zimą tylko na moment albo wcale.

Sierpień – piękne miasteczko Puck, w którym odbyło się 10 lutego 1920 roku zaślubienie Bałtyku przez Polskę – gen. Józef Haller wrzucił wówczas do morza złoty pierścień. Dziś w porcie rybackim stoi pomnik generała a obok wybudowano (w 2023 roku) Marinę Puck – nową przystań jachtową, która posiada łącznie 180 miejsc cumowniczych. Łączy ona część sportową (port jachtowy) z częścią historyczną (port rybacki) oraz nowoczesną marinę.

Wrzesień – to kolejny most. W Opaleniu wybudowano na początku XX wieku most, który miał połączyć Berlin z Królewcem. Był on szczególnie ważny dla Kwidzyna, bo przybliżył go do reszty kraju. Po 1918 roku zmiana granic spowodowała, że stał się on nieprzydatny i po demontażu przeniesiono go do Torunia i Konina. W 1945 roku okazało się, że po kolejnej korekcie granic mostu bardzo w tym miejscu brakuje. Funkcjonowała tam tylko przeprawa promowa. Dopiero w 2013 roku dokonano otwarcia nowego mostu wantowego o długości 1867 metrów.

Październik – czarnobiały widok z wieży kościoła św. Katarzyny na ul. Rajską pochodzi z 1976 roku. Widać lewą pierzeję ulicy, u góry wieżowiec zwany Zieleniakiem (od koloru elewacji), kawałeczek Domu Technika, gdzie w latach 1974–1986 w sali widowiskowej odbywał się Festiwal Filmów Fabularnych, później przeniesiony do Gdyni. W 1977 roku przyjechałem do Gdańska na studia i choć minęły 3 dekady od wojny nasze miasta ciągle jeszcze nosiły jej ślady. Nikogo nie dziwiły wielkie puste place w ich centrach, kwartały ruin, błotniste ulice bez chodników. Dziś już tych pustych miejsc w Gdańsku, Elblągu, Szczecinie czy Wrocławiu nie ma...

Listopad – dworzec kolejowy w Tczewie i tu mógłbym powtórzyć to, co pisałem o pozostałych dworcach. Jedno mają także wspólne – są czyste, nie strach w nich skorzystać z toalety, a czekanie na pociąg nie jest w nich okropnym przymusem. Wreszcie!

Grudzień – budowa Obwodnicy Trójmiasta w Matarni, zdjęcie z 1977 roku. W tym roku oddano do użytku jej 1. fragment. Miała odciążać zapchane centrum miasta a szczególnie wypchnąć z Trójmiasta samochody ciężarowe i TIR-y. Matarnia (podobnie jak Rębiechowo) była kiedyś małą kaszubską wioską pod Gdańskiem. Dziś to wielkie centrum handlowe i dynamiczna dzielnica. Współczesne zdjęcie pokazuje rozbudowany węzeł komunikacyjny na autostradzie A1.

Jest znaczące, że więcej niż połowa pokazanych w kalendarzu zdjęć odnosi się do dróg, mostów, kolei i dworców. Nic w tym dziwnego, bo infrastruktura transportowa to krwiobiegi każdego nowoczesnego państwa. A zaniedbania tu były ogromne. Lata po roku 1989 mijały a w Polsce przez długi czas nikt nie budował autostrad i dróg ekspresowych, nikt nie modernizował linii kolejowych. To, co powinno być zrobione w pierwszej kolejności, zostawiono na później. Do dziś te opóźnienia się mszczą. Na szczęście w porę zaczęto nadrabiać owe zaległości.

Po 1989 roku byliśmy w o wiele gorszej sytuacji niż Niemcy Wschodnie, które otrzymały z landów zachodnich aż 250 miliardów euro, aby wyrównać poziom życia i gospodarki, żeby NRD nie różniło się tak bardzo od RFN. Suma astronomiczna, o której nie mogliśmy nawet marzyć. Pewnie nie byłoby tego kalendarza, bo zabrakłoby obiektów do wypełnienia go treścią, gdyby nie pomoc Unii Europejskiej. Wystarczy sięgnąć do statystyk. Z okazji rocznicy dowiedzieliśmy się, że do marca 2024 roku nasz kraj otrzymał z UE 261 miliardów euro, a wpłacił 85,8 miliarda euro – poinformowała minister funduszy i polityki regionalnej Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz. Z czego około 165 miliardów euro stanowiły środki przekazane na realizację projektów w ramach funduszy polityki spójności. Ma ona służyć zapewnieniu harmonijnego rozwoju państw, zmniejszanie dysproporcji między regionami i przeciwdziałanie zacofaniu regionów, które znajdują się w niekorzystnej sytuacji.

I to się sprawdza znakomicie, co widać, gdy podróżujemy po Polsce – świetne drogi, wygodne pociągi, czyste wioski, zadbane miasta i miasteczka, dobre restauracje... Tego by nie było, gdybyśmy przepalili naszą szansę. Każdy chyba pamięta sprzed lat smutne powroty z Zachodu, gdy konfrontowaliśmy obraz czystych i ukwieconych miasteczek z Niemiec czy Holandii z naszym brudem i zaniedbaniem. Dziś to ogromna satysfakcja, kiedy teraz wracamy z zagranicznych wояży i nie ogarnia nas smutek, że piękny sen się skończył, ale duma, że Polska jest coraz ładniejsza, coraz przyjemniejsza do życia.

Przed laty Adam Mickiewicz w „Księgach narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego” napisał: „Ale potem w bałwochwalczém pomieszaniu języków nazwano cywilizacją modne i wykwintne ubiory, smaczną kuchnię, wygodne karczmy, piękne teatry i szerokie drogi”. Czy to oznacza, że ten typ zmian, które teraz obserwujemy w naszym kraju, nie podobałby się mu? Chyba nie. Mickiewicz myślał raczej o innym rozumieniu słowa ‘cywilizacja’. Ale nie wdając

się w skomplikowane analizy – możemy być dumni, że „dożyliśmy tej pociechy”, iż możemy cieszyć się, że jesteśmy cząstką cywilizacji zachodniej a nie „ruskiego miru”.

Całkowicie zgadzam się ze zmarłym niedawno prof. Zbigniewem Mikolejką, który w wywiadzie powiedział: „napawam się tym [zachwytem] beczelnie, patrząc z dumą, a nierzadko nawet z niemal religijną ekstazą, jak ta okaleczona, zgrzebna, pogrążona w szarości, biedzie i beznadziei Polska prowincjonalna z czasów mojej młodości podniosła się niebywale! Jak odzyskała blask i urodę! Jak nabrała witalnej siły i idzie, najwyraźniej idzie, ku lepszym przeznaczeniom! To nie jest przy tym tylko kwestia estetyki. To coś głębszego chyba. Jakby nowa, jaśniejsza metafizyka polskości. I nowa gospodarność, nowa ekonomia, nowe myślenie i – wcale nierzadko – wizyjność”.

I tylko szkoda, że przez ostatnie lata tak nieroztropnie szafowano publicznym groszem i utopiono dwa miliardy zł na przekopanie Mierzei Wiślanej. Za te sumę wszystkie gminy nad zalewem miałyby nowe oczyszczalnie ścieków. I złości mnie, gdy jadąc do Gdańska po szybkiej S7 mijam stacje benzynowe firmy MOL, sto razy bardziej wolałem napis LOTOS. Tak to jest, gdy do władzy dochodzą „cisi, ciemni, mali ludzie” (też Mickiewicz!).

Warto jednak sobie przypominać, skąd wyszliśmy i jaką drogę pokonaliśmy. Ten kalendarz przypomina nam o tym. Niektórzy szybko zapomnieli, gdzie byliśmy 35 lat temu i że tak naprawdę Polska zaczęła się zmieniać 20 lat temu, dzięki miliardom pomocy z funduszy unijnych.

Na zakończenie warto przytoczyć kilka liczb: 1990 roku PKB na głowę wynosiło w Polsce (w dolarach): 6185 (średnia dla Europy Środkowo-Wschodniej wynosiła wówczas 7093). Najubożsi we wspólnocie Portugalczycy byli prawie dwa razy bogatsi od nas, większość pozostałych wyprzedzała nas o trzy długości. W 2004 roku, tuż przed wejściem do Unii Europejskiej PKB wynosiło w naszym kraju: 13353. Średnia dla Europy Środkowo-Wschodniej wówczas to 13483 (Portugalia – 21477). A oto dane za rok 2022: Polska – 43268 (324% poziomu z 2004 roku). Średnia dla Europy Środkowo-Wschodniej wyniosła w 2022 r. 42799. (Portugalia – 41451).

„W ramach Unii Polska przegoniła nie tylko Węgry i Chorwację, ale też Portugalie i Grecję oraz zbliżyła się do Hiszpanii. W naszym zasięgu są Włochy. Nie dlatego, że te kraje stoją w miejscu, lecz z tego powodu, że my biegniemy szybciej, wykorzystując do cna możliwości wspólnego rynku – towarów, usług, pracy”. (Ten cytat oraz dane statystyczne pochodzą z artykułu Zbigniewa Bartusia „Eurokolchoz i inne kłamstwa ludzi Kremla oraz ich prawicowo pożytecznych akolitów” zamieszczonego na <https://forsal.pl>

Prof. Timothy Garton Ash – historyk i publicysta, specjalista od historii europejskiej powiedział przy okazji publikacji swej książki pt. „Homelands. Historia osobista Europy”, że czuje się z powodu opuszczenia przez Wielką Brytanię UE okropnie: „Brexit był największą klęską polityczną mojego życia. Teraz jestem Europejczykiem z brytyjskim paszportem i bardzo mnie to smuci”.

Kończę tymi słowami, bo nigdy nie można zapominać mądrych słów Jana Kochanowskiego, z „Pieśni o spustoszeniu Podola”: „Nową przypowieść Polak sobie kupi, / Że i przed szkodą, i po szkodzie głupi”.

Głupi już byliśmy...

Radosław Biskup



POWOJENNA KRONIKA SZKOŁY W MIŁORADZU (1945–1949)

Kroniki szkolne to skarbnice informacji o przeszłości lokalnej. Ten typ tekstu, wykorzystywany głównie przez badaczy dziejów oświaty, staje się z biegiem lat ważnym przekazem dla miejscowych. Znajdują tutaj nie tylko suchy zapis wydarzeń z życia szkoły, lecz również opowieść o warunkach życia codziennego dawnych pokoleń. Kroniki mają szczególne znaczenie dokumentacyjne dla miejscowości na Żuławach, w których organizowanie polskiej szkoły w 1945 r. stanowiło jeden z elementów realizacji hasła nowych władz o „zasiedlaniu Ziemi Zachodnich i Północnych”. Dla potomków pierwszych osadników, urodzonych już między Wisłą a Nogatem, takie kroniki mogą mieć ogromne znaczenie tożsamościowe, o ile oczywiście są udostępniane.

Mieszkańcy Miłoradza są pod tym względem w komfortowej sytuacji. Wincenty Zgliczyński (1913–1993), pierwszy polski nauczyciel i powojenny kierownik tutejszej szkoły, nie tylko prowadził kronikę szkolną, ale również spisał wspomnienia, które doczekały się już publikacji na łamach „Prowincji”¹. Oba przekazy zarówno uzupełniają się, jak i przenikają: w kronice odnotowano głównie wydarzenia związane z życiem szkoły oraz nauczyciela, podczas gdy wspomnienia rzucają światło na miłoradzkie realia pozaszkolne w pierwszych, powojennych latach. Uprzystępniając wspomnienia Zgliczyńskiego starałem się w przypisach uchwycić tę intertekstualność, przytaczając fragmenty kroniki, jak również istotną dokumentację szkolną z Archiwum Państwowego w Malborku.

Przypomnieć w tym miejscu wypada życiorys pierwszego powojennego nauczyciela miłoradzkiego. Urodzony w 1913 r. Wincenty Zgliczyński pochodził z północnego Mazowsza, z miejscowości Żerńbok pod Ciechanowem. Po ukończeniu podstawowej edukacji w miejscowych szkołach, podjął naukę w liceum w Ciechanowie, gdzie zdał maturę w 1935 r. Następnie, po ukończeniu kursu podchorążych rezerwy w Pułtusku w 1936 r., przeniósł się do Warszawy. Tutaj, pozostając pod wpływem starszego brata Henryka – artysty malarza obracającego się w warszawskim środowisku artystycznym – uczęszczał na kursy teatralne organizowane przez aktorów skupionych wokół Juliusza Osterwy. W październiku 1938 r. rozpoczął studia polonistyczne na Uniwersytecie im. Józefa Piłsudskiego w Warszawie, które w sierpniu przerwała nadciągająca wojna. W. Zgliczyński został zmobilizowany i przydzielony do pracy w Dowództwie Okręgu Korpusu nr 1 w Warszawie. Pierwsze dni wojny spędził w Warszawie. 1 września rano miał przyjąć jako oficer dyżurny meldunek o ataku wojsk niemieckich pod Mławą. Po klęsce wrześniowej zrzucił mundur i powrócił w rodzinne strony w obawie przed wywózką na roboty lub aresztowaniem. Kilkanaście miesięcy okupacji spędził w Ciechanowie, pracując m.in. jako technik budowlany

¹ Radosław Biskup, *Miłoradzkie wspomnienia Wincentego Zgliczyńskiego (1913–1993): pedagoga, aktora, poety*, Prowincja (2021), nr 3 (45), s. 113–122 oraz Prowincja (2021), nr 4 (46), s. 82–94 [dostępny na stronie www.academia.edu].

i buchalter w zakładzie szklarskim. W 1942 r. założył rodzinę i wraz z małżonką Reginą doczekali się w tym samym roku pierwszego dziecka. Względny spokój zburzyło aresztowanie pod koniec czerwca 1944 r. przez gestapo, w ramach retorsji za zamordowanie przez partyzantów niemieckiego ogrodnika Gustawa Podlicha. Wincenty Zgliczyński wprawdzie uniknął rozstrzelania, ale znalazł się najpierw w więzieniu śledczym w Pomiechówku, a następnie przez obóz przejściowy w Działdowie trafił we wrześniu 1944 r. do obozu koncentracyjnego Stutthof, gdzie został oznaczony numerem 87646 jako więzień polityczny. Na przełomie stycznia i lutego 1945 r. udało mu się uciec z „marszu śmierci” i schronić w jednym z gospodarstw na Kaszubach. Po przejściu frontu wyruszył w rodzinne strony i pod koniec marca 1945 r. dotarł do domu, w którym czekała na niego żona i dwie małe córki. Po kilku dniach zatrudnił się jako nauczyciel w ciechanowskim liceum, a latem rodzina Zgliczyńskich postanowiła wyruszyć na Żuławy, by na początku września 1945 r. zamieszkać w Miłoradzu. Tutaj Wincenty Zgliczyński zainicjował działalność Publicznej Szkoły Powszechnej w Mielcu (od 1947 r. w Miłoradzu), w której pracował do końca roku szkolnego 1952/1953. W sierpniu 1953 r. rodzina Zgliczyńskich – małżonkowie oraz pięć córek – dotarli do Unikowa (powiat mławski), gdzie Wincenty został kierownikiem miejscowej szkoły. Po powrocie w rodzinne strony angażował się w działalność literacką, współredagując m.in. kwartalnik społeczno-kulturalny „Pięć rzek”, ukazujący się w latach 1957–1968. Po rezygnacji z pracy w szkole we wrześniu 1964 r. został kierownikiem Powiatowego Domu Kultury w Ciechanowie. W 1967 r. powrócił jednak do pracy oświatowej, a w 1973 r. przeszedł na emeryturę. Angażował się w działalność Towarzystwa Miłośników Ziemi Ciechanowskiej, którego był prezesem w latach 1983–1988. Wydał trzy tomiki wierszy: „Zew życia” (1982), „Znad Łydyni” (1986) oraz „Tropy nadziei, tropy miłości” (1989). Zmarł w 1993 r. i został pochowany na cmentarzu parafialnym w Żerńboku.

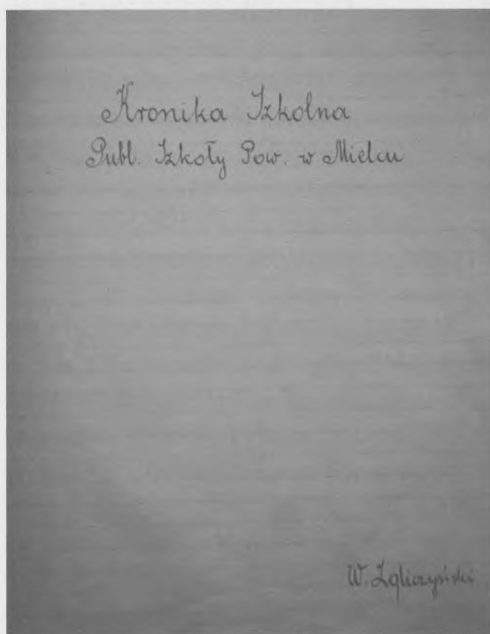
Kronika szkolna, z której pochodzi zamieszczony niżej fragment spisany ręką W. Zgliczyńskiego, przechowywana jest w sekretariacie Zespołu Szkół i Przedszkola w Miłoradzu. To brulion formatu A4, w którym znajdują się właściwie dwie kroniki: *Schul-Chronik der katholischen Volksschule zu Mielenz, Kreis Marienburg* („Kronika szkolna katolickiej Szkoły Ludowej w Miłoradzu, powiat Malbork”), prowadzoną przez tutejszych nauczycieli w latach 1887–1938, oraz *Kronikę Publicznej Szkoły Powszechnej w Mielcu*, obejmującą lata 1945–1964.

W 1887 r. Rudolf Redłowski, nauczyciel ówczesnej katolickiej szkoły w Mielenz, zaczął prowadzić kronikę szkolną, opisując wydarzenia z życia szkoły od 1866 r. Ostatni zapis w niemieckojęzycznej części kroniki pochodzi z jesieni 1938 r.

Szczęśliwym trafem brulion z tekstem niemieckiej kroniki nie uległ w czasie wojny zniszczeniu. W. Zgliczyński oddzielił niemiecką część złożoną w trójkąt kartą i zaczął prowadzić kronikę polskiej szkoły. Zapiski prowadził porządkując je latami kalendarzowymi (od stycznia do grudnia), a nie szkolnymi; być może zasugerował się zapiskami swych niemieckich poprzedników, prowadzących kronikę przedwojenną w podobny sposób. Można założyć, że z mniejszą lub większą regularnością odnotowywał wydarzenia do końca roku szkolnego 1952/1953. Potem, jak sam zapisał we wspomnieniach, „pożegnał żyjne Żuławy i powrócił do rodzinnej Ziemi Ciechanowskiej”. Niestety, w kronice polskiej szkoły brakuje kart z zapiskami obejmującymi okres od maja 1949 r. do roku szkolnego 1952/1953; ostatnie zachowane w kronice zapiski Zgliczyńskiego dotyczą obchodów święta 1 Maja w Gnojewie w 1949 r. Dlaczego zostały wyrwane z brulionu i kto to zrobił – nie wiadomo. Kolejny nauczyciel rozpoczął prowadzenie zapisków od września 1953 r. na nowej stronie.

Ale i te cztery lata historii powojennego Miłoradza, zapisane na kartach szkolnej kroniki, są niezwykle ciekawą lekturą. Uchwycony jest tutaj chociażby czas nazewniczej dowolności panującej na tzw. ziemiach odzyskanych: poniemiecki Mielenz był od 1945 do lata 1947 r. Mielcem, Milewem, Mielewem etc. Pojawiają się wątki związane z trudnymi warunkami życia w poniemieckiej, rozszabrowanej wsi. Wincenty Zgliczyński podaje m.in. informacje o liczbie uczniów, dostępnych materiałach dydaktycznych, szkoleniach i konferencjach nauczycielskich. Sporo tutaj informacji o rozmaitych wycieczkach szkolnych i uroczystościach, ale i wydarzeniach z prywatnego życia nauczyciela: choroby, kłopoty transportowe spowodowane złą pogodą, a nawet aresztowanie przez Urząd Bezpieczeństwa w Nowym Stawie – wszystko to zostało odnotowane na stronach kroniki. Powód był prozaiczny: absencja jedyne go nauczyciela w miłoradzkiej szkole oznaczała brak zajęć lekcyjnych.

Tekst kroniki, sporządzony na piętnastu nienumerowanych stronach, starałem się oddać jak najwierniej, zachowując oryginalną pisownię. Dla ułatwienia lektury rozwinięte zostały wszystkie skróty, a uzupełnienia umieszczono w nawiasie kwadratowym.



Strona tytułowa kroniki szkolnej

**Kronika Szkolna
Publicznej Szkoły Powszechnej
w Mielcu
[1945–1949]**

Wincenty Zgliczyński

[1]

1945

Otwarła się karta polskiej historii dla prastarej ziemi gdańskiej...

8 maja 1945 roku skapitulowały hitlerowskie Niemcy i Polska wróciła na szlaki piastowskie. I spełniły się wieszczcze słowa

Adama Mickiewicza: „Gdańsk, miasto niegdyś nasze, znowu będzie nasze!”².

Za sprzymierzonymi armiami, radzieką i polską, które w ostatnich dopiero dniach wojny dobiły gadzinę hitlerowską w Gdańsku, wkroczyły na oswobodzone Żuławy zastępy pionierów polskich. Nauczyciel szedł w awangardzie.

12 września 194 r. przybył do Mielca nauczyciel Wincenty Zgliczyński z rodziną. Po stwierdzeniu, że jest odpowiednia ilość dzieci w wieku szkolnym (22-je), że budynek szkolny jest nieuszkodzony, udał się nauczyciel do Gdańska, do Inspektoratu Szkolnego z prośbą

² Adam Mickiewicz, *Pan Tadeusz*, księga IV, w. 823.

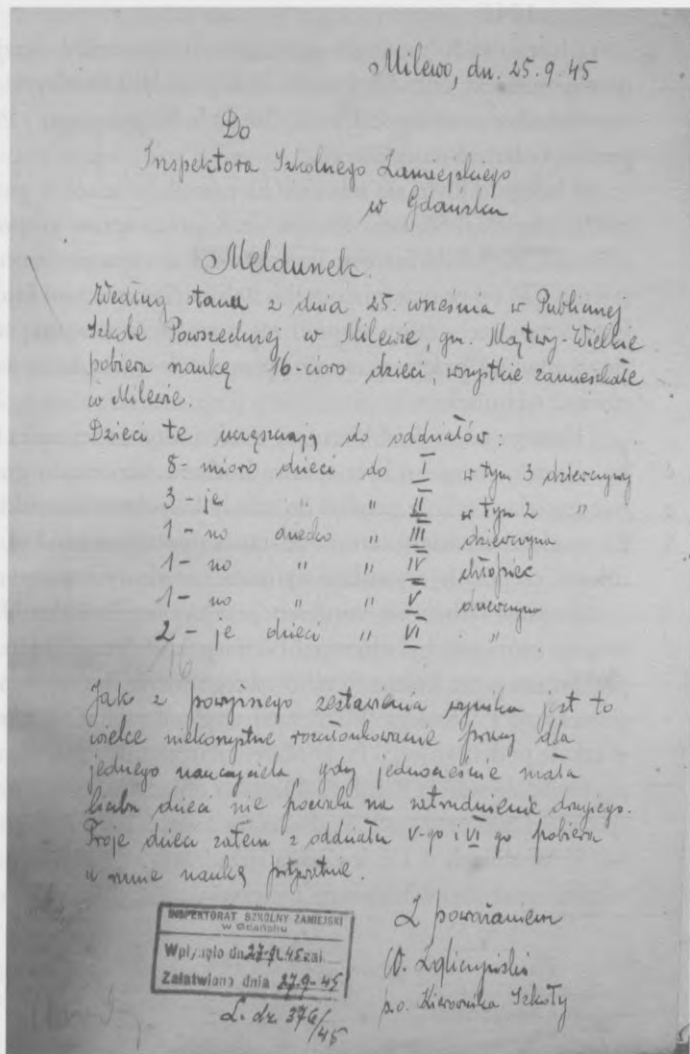
o nominację do Mielca. Obywatel Podinspektor Pozorski, z którym nauczyciel zetknął się już poprzednio w czasie jego organizacyjnych wędrówek po terenie, zamianował nauczyciela Zgliczyńskiego nauczycielem kierującym Publicznej Szkoły Powszechnej w Mielcu.

Na skutek masowej ucieczki niemieckiej ludności przed nadchodzącym frontem opustoszały miasta i wsie. Do bezpiecznych, opuszczonych domów wkraczał zwycięzki żołnierz i użytkował je lekkomyślnie i wielokrotnie niszczył. Za frontem przyszła istna zgraja niszczycieli, zwanych popularnie „szabrownikami”, którzy rabowali, co się dało, nieużyteczne im rzucali w pośpiechu pod nogi. Do wsi tutejszej zajeżdżały auta, ciężarowe wozy, a nawet kolejka wąskotorowa, by następnie obładowane meblami odjechać w przytomności miejscowego sołtysa do Malborka lub za Wisłę. Nic też dziwnego, że lokale i opuszczone mieszkania przedstawiały godny pożałowania widok.

[2] Lokal szkolny był jednakże najskrupulatniej „oszabrowany”. Na popyt skarżyły się jedynie leżące na ziemi biblioteki niemieckie. Sprzęt szkolny niszczał na słotach jesiennych w ogrodzie i pod ścianami zabudowań szkolnych. Przy wydatnej pomocy miejscowego sołtysa, obywatela Zenona Miłoszewskiego, skompletowano sprzęt szkolny i meble do prywatnych mieszkań nauczyciela.

W niedzielę, 23 września 1945 r., nastąpiło uroczyste otwarcie polskiej Publicznej Szkoły Powszechnej w Mielcu. Moment ten stał się manifestacją ludności polskiej całej tutejszej gminy, którą reprezentował obywatel Wójt. Przy dźwiękach Hymnu Narodowego wykwitła na maszcie szkolnym białoczerwona flaga polska. Podniosłe przemówienie wygłosił nauczyciel. Wieczorem odbyła się zabawa ludowa na cel szkoły. W poniedziałek, 24 IX, rozpoczęły się normalne zajęcia szkolne.

Meldunek Wincentego Zgliczyńskiego z 25 września 1945 r. o liczbie uczniów, Archiwum Państwowe w Malborku, Inspektorat Szkolny w Malborku. Działalność Publicznej Szkoły Powszechnej w Miłoradzu 1945–1950, karta 1.



12 listopada, w poniedziałek, odbyła się Konferencja Rejonowa w Nytychu³. Na konferencję przybyło 26 nauczycieli, którzy mieli możliwość zapoznać się z sobą poraz pierwszy.

W ostatnią niedzielę przed świętami Bożego Narodzenia została urządzona choinka szkolna, na której byli obecni rodzice i młodzież szkolna. Liczba dzieci szkolnych wynosiła 20-ro. Młodzież szkolna popisywała się, wypowiadając wiersze oraz śpiewając kolędy. W miłym nastroju rodzinnym upłynął wieczór, a na zakończenie dzieci otrzymały podarunki w postaci słodyczy i ciastek.

Od 11. do 18. grudnia 1945 r. lekcje się nie odbywały, ponieważ zabrakło opału. Po usilnych staraniach nauczyciel uzyskał prywatnie od leśniczego w Mątwach Małych 6 m [sześciennych] drzewa dębowego i w ten sposób kryzys opałowy został na pewien czas oddalony. Ferie świąteczne Bożego Narodzenia trwały od 24 [grudnia] 45 r. do 7 [stycznia] 1946 r. włącznie. Pod koniec stycznia znowu zabrakło opału w szkole i przez dwa dni lekcje się nie odbywały – 25 i 26 [stycznia] 46 r.

[3] 1946

12 lutego 1946 r. odbyła się w szkole uroczystość z okazji 200-ej rocznicy urodzin Tadeusza Kościuszki. Młodzież wysłuchała pogadanki nauczyciela na temat „Tadeusz Kościuszko w służbie o wolność i pomyślność ludu polskiego”. Przy tej okazji został zawieszony portret bohatera narodowego.

26 lutego odbyło się zebranie kierowników szkół w gminie, które zaszczycił swą obecnością obywatel Starosta Klenowicz. Oprócz spraw gospodarczych szkół omawianych na zebraniu, obywatel Starosta proponował zawiązanie Stronnictwa Ludowego na tutejszym terenie. Do tej pory istniało tylko Polskie Stronnictwo Ludowe, do którego należało wielu ludzi z tutejszej gminy, dopóki nie poznali, że znajdują się na błędnej drodze. Piszący te słowa również przeszedł owo nieporozumienie, za które w późniejszym czasie musiał wyrównać rachunek.

11 marca nauczyciel kierujący uczestniczył w zebraniu Gminnej Rady Narodowej jako jej członek; tematem była sprawa budżetu samorządu gminnego. W czasie nieobecności nauczyciela w szkole przybył do szkoły Inspektor Pozorski, który chciał wizytować szkołę. Ze względu na nagły termin zebrania nauczyciel nie był w możliwości uzyskać uprzednio urlopu, co później wywołało wymianę urzędowych pism, nim się sprawa wyjaśniła.

23 marca odbyła się konferencja rejonowa Związku Nauczycielstwa Polskiego w Lisewie, na którą przybył obywatel Podinspektor Pozorski Jan. Została przeprowadzona lekcja praktyczna przez kolegę Rembowskiego Józefa, której tematem była lekcja języka polskiego w klasie IV. Kolega Wiśniewski wygłosił referat na temat „Nauczanie języka polskiego w szkole podstawowej”. Po konferencji uczestnicy zostali zaproszeni przez miejscowego nauczyciela obywatela Rembowskiego na obiad. W miłym nastroju i towarzyskiej pogawędce spędzono czas przy stole. Pod wieczór koleżeństwo rozjechało się do swoich domostw.

[4] W dniach 5 i 6 kwietnia urządzono w tutejszej szkole Święto Wiosny. Młodzież szkolna pod kierownictwem nauczyciela zasadziła około 20 drzewek w pobliżu szkoły.

³ Dzisiaj: Nowy Staw.

Niestety, w kilka miesięcy później wszystkie zostały zniszczone przez miejscowych Niemców, pałających nienawiścią do polskiej szkoły.

10 kwietnia wyjechał nauczyciel po pierwsze po wojnie wydane przez P[rojekt] W[ydawnictw] S[zkolnych].

Po feriach świątecznych Wielkanocy, które trwały od 18 do 24 kwietnia włącznie, nauczyciel został jako nieposiadający wykształcenia z dziedziny pedagogicznej, powołany na kurs 3-dniowy do Oliwy w czasie od 25 do 27 kwietnia. Kurs ten miał charakter informacyjny. Właściwy kurs miesięczny odbył się w lipcu.

W dniach 1–3 maja obchodzono bardzo uroczyste w całej Polsce święto oświaty. Miejskowa szkoła wiała transparent z zieleni i kwiatów „1 maj”, który został użyty jako dekoracja przed szkołą. Została wygłoszona przez nauczyciela pogadanka o 1-ym i 3-im maju. W dniu 2 maja działalność szkolna popisywała się, wygłaszając wiersze i wspólnie śpiewając.

W dniu 9 maja przypadało Święto Zwycięstwa, które było uroczyste obchodzone przez miejscową ludność i młodzież szkolną z całej gminy, zgromadzoną w Mątowach Wielkich. Młodzież szkolna wiała piękny transparent, który tworzył napis „9 maja”. Ze względu na dużą odległość pomiędzy Milewem i Mątowami młodzież szkolna pojechała rowerami oraz reszta wozem. W kościele w Mątowach Wielkich odbyło się nabożeństwo, na którym było bardzo dużo młodzieży szkolnej i pozaszkolnej oraz miejscowego społeczeństwa. Po nabożeństwie odbył się wiec na placu wiejskim w Mątowach Wielkich. Młodzież śpiewała i deklamowała.

[5] 8 czerwca 1946 r. miała miejsce w tutejszej szkole rejonowa konferencja nauczycieli ogniska Lisewo. Lekcję pokazową gimnastyki w klasach I i II poprowadził miejscowy nauczyciel. Dzień był piękny, gorący i lekcja się udała. Zastosowanie prysznicy po gimnastyce bardzo podobało się koleżeństwu. Na konferencję nie przybył nikt z Inspektoratu. Referat pt. „Gimnastyka w klasach niższych szkoły podstawowej” przygotował kol. Legut z Pogorzalej Wsi. W nieobecności prelegenta referat odczytał sekretarz konferencji!

18 czerwca urządzona została wycieczka całej szkoły do pobliskiej królowej rzek polskich, Wisły. Młodzież zażyła swobody, ruchu, powietrza i słońca oraz kąpieli.

27 czerwca odbyła się konferencja nauczycieli z części prawobrzeżnej Żuław. Konferencję prowadził obywatel Inspektor Roman Truszczyński. Obywatel Inspektor dał przegląd całorocznej pracy w dziedzinie oświatowej i gospodarczej na Żuławach.

Ferie letnie rozpoczęły się z dniem 30 czerwca 1946 r. do dnia 3 września 1946 r. włącznie. Wyniki klasyfikacji uczniów były następujące przy końcu roku szkolnego: do klasy II promowanych 7, do klasy III [promowanych] 2, do klasy IV [promowanych] 3, ukończyły klasę VI – 2. Pozostało w kl I – 5, w kl. II – 1. Razem promowanych 14, niepromowanych – 6.

29 czerwca odbyło się uroczyste zakończenie roku szkolnego, na które złożyły się deklamacje młodzieży szkolnej i śpiewy. Rodzice wzięli bardzo liczny udział w powyższej uroczystości.

Nowy rok szkolny 1946/47 rozpoczął się dnia 3 września. O godz. 10.00 rano młodzież szkolna wysłuchała nabożeństwa w miejscowym kościele. O godz. 12.00 nastąpiło uroczyste rozpoczęcie roku szkolnego w budynku nr 1 Publicznej Szkoły Powszechnej w Miłoradzu. Na uroczystość przybyła młodzież szkolna wraz z rodzicami. Kierownik szkoły

wyłosił [6] inauguracyjne przemówienie. Młodzież szkolna odśpiewała kilka okolicznościowych i patriotycznych pieśni. W przerwach między jedną pieśnią i drugą publiczność wysłuchiwała deklamacji.

12 września odbyła się Konferencja Rejonowa w Nowym Stawie. Obywatel Inspektor Roman Pruszczyński stwierdził powiększenie się liczby nauczycieli i w kilkugodzinnej mowie dał przegląd dotychczasowych osiągnięć oświaty na terenie Żuław oraz rozwinął perspektywę stojącej przed nami pracy pedagogicznej.

16 września młodzież szkolna całej szkoły wraz z nauczycielem udała się na wycieczkę do Pogorzałej Wsi celem nagromadzenia kasztanów na zimę. Liczba dzieci wynosiła wówczas 20-cioro: siedmioro w klasie I, ośmioro w klasie II, dwoje w klasie III i troje w klasie IV.

27 września odbyła się wycieczka klas III i IV do Muzeum Wojska Polskiego w Malborku. Młodzież z zainteresowaniem oglądała średniowieczną budowlę zamku krzyżackiego, malowidła ścienne, kulę Jagiełły, młyn zamkowy, refektarze, sale przyjęć, żebra mamuta, stare działa, kamienne kule, most zwodzony, fosę itp. Podróż w obie strony odbyliśmy kolejką wąskotorową.

Dnia 9, 12, 13 i 14 października lekcje nie odbyły się ze względu na chorobę nauczyciela. Silne opuchnięcie nóg, połączone ze swędzącą wysypką, zostało spowodowane przeziębieniem podczas wyjazdów do Inspektoratu oraz sześciogodzinnym siedzeniem na koźle bryczki podczas przywożenia akuszerki do chorej żony.

18 października odbyła się Konferencja Rejonowa w Barentach⁴, na którą przybył nowomianowany Inspektor Szkolny obywatel Turek Antoni. Obywatel Inspektor dał nam wytyczne co do całokształtu pracy w nowym roku szkolnym.

[7] W dniu 2 listopada 1946 roku odbyła się wycieczka całej szkoły do Szymankowa celem uczczenia 22 bohaterów kolejarzy, poległych w 1939 r. w dniu wybuchu drugiej wojny światowej. Kolejarze ci zostali rozstrzelani przez Niemców, ponieważ skierowali pociąg pancerny niemiecki, zdążający całą parą rankiem 1 września na most w Tczewie, na bocznicę. Skierowanie rozpędzonego pociągu na bocznicę dało dużą stratę czasu. O to właśnie chodziło. Saperzy polscy zdążyli wysadzić w powietrze przęsła nadwodne mostu pod Tczewem. Zemsta hitlerowców była straszna. Cała obsługa polskiej stacji Szymankowo została rozstrzelana. Bohaterom tym złożyła hołd młodzież szkolna i społeczeństwo całej gminy Mątowy Wielkie. Nabożeństwo żałobne polowe u mogiły wiernych Polsce aż do śmierci kolejarzy odprawił nowoprzybyły na te tereny proboszcz parafii Mątowy Wielkie, ks. Józef Boduch⁵. Poczym nastąpiło kazanie oraz przemówienia przedstawicieli kolejnictwa i miejscowego społeczeństwa. Na zakończenie śpiewano pieśni patriotyczne. Kierownictwo szkoły w Szymankowie podejmowało przybyłe dzieci oraz starszych poczęstunkiem.

5 listopada odbyła się wycieczka całej szkoły do Malborka celem poddania wszystkich dzieci badaniu lekarskiemu oraz zrobienia zdjęcia młodzieży szkolnej. Zdjęcie to zostało przesłane do Ameryki.

14 grudnia odbył się zjazd Związku Nauczycielstwa Polskiego powiatu gdańskiego w Gdańsku. Zjazd odbył się we Wrzeszczu przy ulicy Barlickiego.

⁴ Dzisiaj: Borety.

⁵ O ks. Józefie Boduchu zob. Wojciech Zawadzki, *Pamiętnik ks. Pralata Józefa Boducha, proboszcza w Mątowach Wielkich i Milonadzu (1946–1971)*, Studia Elbląskie 1: 1999, s. 95–112 (dostępny na stronie internetowej „Studiów Elbląskich”).

18 grudnia klasy III i IV odbyły wycieczkę do lasu celem wycięcia drzewka choinkowego dla szkoły na święta Bożego Narodzenia. Przy okazji nauczyciel przeprowadził lekcję na temat „Rozróżnianie drzew w lesie”.

22 grudnia odbyła się choinka szkolna i wystawienie „Jasełki”.

[8] 1947

Ferie świąteczne Bożego Narodzenia trwały od 22 grudnia 1946 r. do 12 stycznia 1947 r. włącznie. Dnia 13 stycznia odbyła się konferencja kierowników szkół w Gdańsku Wrzeszczu przy ul. Barlickiego.

Lekcje się nie odbyły w dniach 16, 17 i 18 stycznia ze względu na zatrzymanie nauczyciela przez Urząd Bezpieczeństwa w Nowym Stawie (16 stycznia 1947) oraz ze względu na brak opału (17–18 stycznia 1947). Powód zatrzymania: nauczyciel był podejrzany o należenie do przeciwrządowej partii P[olskie] S[tronnictwo] L[udowe]. 19 stycznia nastąpiły wybory do Sejmu.

W dniach 27 i 28 stycznia nie odbyły się zajęcia szkolne, gdyż ze względu na –20o mróz dzieci nie przyszły do szkoły. 30 i 31 stycznia oraz 1, 2 i 3 lutego trwały ferie półroczne. Młodzież odbyła w dn. 30 stycznia próbę śpiewu i tańców, a w dniu 2 lutego w niedzielę nastąpiło radosne dla dzieci rozdanie świadectw i występy artystyczne młodzieży.

Ze względu na silny mróz dochodzący do 23o Celsjusza, wiatr i zawieję śnieżną lekcje nie odbyły się w następujących dniach: 10, 11, 12, 15 i 17 lutego.

W dniu 18 lutego odbyła się Konferencja Instruktorów Kontroli Społecznej w Gdańsku. Urlop został nauczycielowi udzielony pismem z dn. 11 lutego 1947 r.

28 lutego odbyła się w miejscowym kościele spowiedźariaty szkolnej w liczbie 11-ro.

4 i 5 marca zawieja śnieżna i utrudniona z tego względu komunikacja zatrzymały nauczyciela dwa dni poza domem i szkołą. Autobus ciężarowy, którym jechał nauczyciel do Gdańska, ugrzązł po drodze na górze przed miejscowością Skowarcz. Pociągi kursowały z opóźnieniem.

[9] 13 marca na 18-ro dzieci [z] klas III i IV, ośmiu tylko przyszło do szkoły. Tak niską frekwencję spowodował 25oC mróz. Wobec tego dzieci współpracowały z nauczycielem przy urządzaniu biblioteki szkolnej.

W dniach 24, 25, 26 i 27 marca lekcje się nie odbyły ze względu na egzamin nauczyciela z przedmiotów pedagogicznych. 25 marca nastąpiło zerwanie mostu w Tczewie. Wobec powyższego nauczyciel był zmuszony wracać do domu drogą okrężną na Toruń, 322 km. Z tego względu 27 marca 47 r. nie było lekcji.

Spowiedź wielkanocna młodzieży szkolnej odbyła się w dniu 29 marca w miejscowym kościele.

Ferie świąteczne Wielkiejnocy trwały od 3 kwietnia do 9 kwietnia włącznie. 10 i 11 kwietnia nauczyciel otrzymał urlop dla załatwienia spraw osobistych (przywiezienie krowy z centralnej Polski). 12 kwietnia nauczyciel jako członek Komisji Rewizyjnej Okręgowej Z[wiązków] N[auczycielstwa] P[olskiego] brał udział w konferencji tejże Komisji w Pruszczu.

22 kwietnia odbyła się konferencja rejonowa w Szymankowie. Lekcja przyrody w klasach III i IV. Próba rozwiązywania lekcji w klasach łączonych udała się w całej pełni.

Dzień 1 maja był obchodzony uroczystość. O godz. 11.00 odbyła się uroczysta akademia przy czynnym udziale młodzieży szkolnej. Na uroczystości było kilkoro rodziców. Nauczyciel wygłosił okolicznościowy referat.

W dniu 3 maja odbyło się szczepienie ochronne przeciw durowi brzuszemu.

Konferencja kierowników szkół w sprawie organizacji sieci szkolnej na rok szkolny 1947/48 odbyła się 23 maja 1947 r.

[10] 24 maja odbyła się wycieczka całej szkoły do lasu w Mątowach Małych oraz do Wisły celem utrwalenia pogadank o ochronie przyrody oraz w związku z nauką geografii (rzeka).

Na zakończenie roku szkolnego odbyła się w dn. 25 czerwca wycieczka szkolna młodzieży szkolnej nad morze, do Gdańska. Wycieczkę prowadził nauczyciel. W powrotnej drodze, podczas załadowania do pociągu młodzieży, w chwili gdy połowa była już z wagonie ruszył pociąg. Nauczyciel nie stracił zimnej krwi i załadował wszystkie dzieci zanim pociąg dobrze się rozpędził. W pracy tej pomagał nauczycielowi jakiś nieznamy kolejarz z peronu gdańskiego.

29 czerwca w niedzielę nastąpiło uroczyste zakończenie roku szkolnego. O godz. 9.00 zebrała się młodzież całej szkoły z rodzicami. Nastąpiło przemówienie kierownika szkoły obywatela Zgliczyńskiego Wincentego, piszącego te słowa, popisy młodzieży szkolnej, śpiewy i rozdanie świadectw. Pod koniec roku szkolnego 1946/47 było w klasie IV – sześćcioro dzieci, w klasie III – jedenastcioro; wszyscy wyżej wymienieni przeszli do klasy następnej. W klasie II było czternaścioro dzieci, z których jedno nie zdało, w klasie I – dziesięcioro, z czego nie zdało czworo.

Ferie letnie trwały od dnia 29 czerwca do dnia 2 września włącznie. W dniu 3 września nastąpiło otwarcie roku szkolnego 1947/48. Liczba dzieci w szkole wynosi 60. Inspektorat Szkolny w Malborku (pomyłka: winno być w Gdańsku) przydzielił do tutejszej szkoły nowego nauczyciela, obywatela Słomińskiego Leona jako drugi etat. Nauczyciel Słomiński jest nauczycielem niekwalifikowanym. Na uroczystość rozpoczęcia roku szkolnego złożyło się nabożeństwo w miejscowym kościele, następnie w budynku szkolnym odbyło się wciągnięcie flagi na maszt i odśpiewanie Hymnu Narodowego przez młodzież i rodziców, przemówienie kierownika szkoły zawierało przegląd dotychczasowych osiągnięć i perspektywy rozwojowe szkoły. Po czym nastąpiło zapisywanie nowych uczniów.

[11] 11 października ks. Boduch Józef, proboszcz parafii Mątowy Wielkie, przeprowadził rekolekcje z młodzieżą szkolną w związku z rozpoczęciem roku szkolnego.

8 listopada odbył się zjazd Związku Nauczycielstwa Polskiego w Gdańsku,

Kolega Słomiński Leon nie był obecny w dniach 11–14 listopada w służbie, ponieważ przypadł w tych dniach jego ślub. Nauczyciel został urlopowany przez Inspektorat Szkolny. Lekcje się nie odbyły.

13 grudnia odbyła się Konferencja Związku Nauczycielstwa Polskiego – Ognisko Lisewo i Nowy Staw w Nowym Stawie. Tematem konferencji było krytyczne ustosunkowanie się do programów szkolnych.

22 grudnia staraniem miejscowego proboszcza ks. Boducha Józefa odbyły się rekolekcje, spowiedź i Komunia Święta dla dzieci szkolnych.

Ferie świąteczne Bożego Narodzenia trwały od 23 grudnia 1947 r. do 7 stycznia 1948 r. włącznie.

Półroczne trwało przez trzy dni: 31 stycznia, 1 i 2 lutego.

21 lutego odbyła się konferencja Związku Nauczycielstwa Polskiego w Nowym Stawie.

[12]

1948

21 lutego odbyła się konferencja Związku Nauczycielstwa Polskiego w Nowym Stawie. Następna konferencja, również w Nowym Stawie, odbyła się w dniu 3 marca.

W dniu 13 marca odbyła się konferencja Komisji Oświatowych Powiatu Gdańskiego w Gdańsku. Kierownik szkoły wziął udział w tej konferencji.

Ferie świąteczne Wielkanocy trwały od 25 marca do 31 marca włącznie.

W dniu 12 kwietnia młodzież szkolna całej szkoły udała się pod kierunkiem obydwu nauczycieli na wycieczkę szkolną do Nogatu z projektem przepłynięcia się łódką przez Nogat i zwiedzenia przeciwległego 100 m wysokiego brzegu. Fala była duża. Pierwsza łódka została załadowana 14 chłopcami. Przy zbliżeniu się do przeciwległego [brzegu], gdzie przelewa się główny nurt Nogatu, wiosenny wiatr wzmógł się, powstała wysoka fala i nazbyt obciążona łódź była zalewana falą. Już trzykrotnie bryzgi fal wskoczyły do łódki. Rybak wiosłował sprawnie i wkrótce minęła łódka główny nurt. Odetchnąłem na przeciwległym brzegu i postanowiłem mocno w powrotnej drodze nie przeładowywać łódki, chociażby przypadło przepływać dziesięć razy tam i z powrotem.

14 kwietnia odbyła się konferencja Związku Nauczycielstwa Polskiego w Kałdowie.

16 maja odbyła się wycieczka młodzieży szkolnej do Lisewa na zawody sportowe. Dzień był deszczowy i po licznych przygodach dotarliśmy do Lisewa zziębnięci i przemokli. Ze względu [na] deszcz zawody odbyły się w dużej sali. Jednak ta namiastka nie była wiele warta. Zrobiliśmy fotografię. Zawiedzeni odjechaliśmy do domu.

27 maja odbyła się uroczystość z okazji Święta Matki [s. 13] (zamiast dnia 26 maja). Akademia była miłą niespodzianką dla zgromadzonych matek. Łzy rozrzewnienia płynęły po obliczu matek, gdy ich pociechy śpiewały okolicznościowe pieśni na ich cześć, deklamowały wiersze i podarowały wiązanki kwiatów.

W dniu 15 czerwca cała szkoła wyruszyła na wycieczkę krajoznawczą do Wisły – przybór wody na Wiśle, to znaczy „Świętojanki”.

24 czerwca odbyła się wycieczka młodzieży szkolnej do Gdyni i Sopotu. Zwiedzaliśmy port w Gdyni i molo w Sopocie. Kąpaliśmy się w morzu i opalaliśmy na słońcu. Wieczorem zmęczeni, lecz zadowoleni, powróciliśmy do domu.

26 czerwca w sobotę nastąpiło zakończenie roku szkolnego. Do Miłoradza zjechała młodzież szkolna z całej gminy. Daliśmy pokaz tańców kaszubskich. Następnie odbyły się rozgrywki w dwa ognie. Pogoda nie sprzyjała. Silny wiatr uniemożliwiał wszelkie inne konkurencje. Ze względu na dzień powszedni przybyło mało rodziców na zakończenie roku szkolnego.

Ferie letnie trwały od 27 czerwca do 31 sierpnia 1948 r. Początek roku szkolnego 1948/49 przypadł na środę, dnia 1 września.

W dniu 4 września odbyła się konferencja kierowników szkół powiatu gdańskiego w Gdańsku.

18 października młodzież szkolna udała się do Mątów Wielkich celem poddania się szczepieniu przeciwgruźliczym. Niestety, lekarz nie przybył. Dzieci szły 10 km pieszo na darmo. Dopiero w następnym poniedziałek, 25 października, odbyło się szczepienie.

9 listopada odbyła się wycieczka za Nogat przez służę w Szonowie. [14] 1 grudnia młodzież całej szkoły pracowała przy sypaniu żwiru na ścieżki we wsi i przy szkole. Praca ta była podjęta jako czyn na Zjednoczenie Polskich Partii Robotniczych w dniu 15 grudnia 1948 r.

Młodzież szkolna naprawiała walący się słup telefoniczny w ramach czynu dla środowiska.

Dnia 15 grudnia, jako w dniu zjednoczenia Partii Robotniczych, młodzież szkolna zgromadzona w szkole łącznie z miejscową ludnością wysłuchała całego przebiegu uroczystości.

[15] 1949

8 stycznia odbyła się w szkole uroczystość choinkowo-noworoczna, na której program złożyły się: śpiewanie kolęd, choinka, przemówienie kierownika szkoły o Zjednoczeniu Partii Robotniczych, recytacje młodzieży szkolnej, przemówienie nauczyciela Słomińskiego na temat „Uchwały Kongresu Zjednoczeniowego”, śpiewanie pieśni socjalistycznych.

30 stycznia 1949 roku szkoła miejscowa wystawiła z wielkim nakładem pracy „Jasełkę”. Sukces był dobry. Niestety widzów było mało.

2 i 5 lutego dzieci nie przyszły do szkoły z powodu burzy śnieżnej.

Od dnia 15 marca rejon tutejszy przeszedł z pod kompetencji Inspektoratu Szkolnego Zamiejskiego w Gdańsku pod Inspektorat Malborski.

W dniach 11, 12 i 13 kwietnia odbyły się rekolekcje dla młodzieży szkolnej.

Ferie świąteczne Wielkanocy trwały od 14 kwietnia do 20 kwietnia włącznie.

25 kwietnia odbyło się szczepienie (przeciwgruźlicze – pomyłka) przeciw durowi brzuszemu.

28 kwietnia młodzież szkolna obserwowała przez zaciemnione szkła zaćmienie częściowe Słońca. Obserwacja zjawiska trwała godzinę.

1 maja młodzież szkolna wzięła udział w ogólnym święcie klasy robotniczej naszej Gminy, zorganizowanym w Gnojewie. Młodzież z transparentami, chorągiewkami [...]

Andrzej Lubiński



PODRÓŻ MELCHIORA WAŃKOWICZA PO MALBOREI W 1935 ROKU

Sejm Polski przyjął uchwałę o ustanowieniu roku 2024 rokiem Melchiora Wańkowicza. We wrześniu przypada 50 rocznica śmierci znanego pisarza i publicysty. Sztumska Biblioteka Publiczna Sztumskie napisała wniosek do Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego pt. „Wańkowicz na ziemi sztumskiej – wczoraj i dziś” i został on pozytywnie zaopiniowany. Na program składa się gawęda historyczna, cykl spotkań ze współczesnymi reportażystami, warsztaty pisania reportaży dla młodzieży i dorosłych, konkurs na reportaż o Sztumie. Cały projekt realizowany będzie do końca listopada tego roku. Pozyskano fundusze w ramach programu „Partnerstwo dla książki”. Melchior Wańkowicz w wieku 43 lat był już odpowiednio przygotowanym aby podjąć się podróży do Prus Wschodnich. Przeczytał dostępną literaturę historyczną polską jak i niemiecką. Postarał się o swoistą przepustkę, otrzymała ją od redaktora naczelnego czasopisma „Der Angriff” Hansa Schwarz von Berga. Ów redaktor zamówił u Wańkowicza artykuł „Prusy Wschodnie oczami Polaka”. Aby nie być posądzonym o działania wywiadowcze, jako zabezpieczenie w podróży, staje się jego córka Marta urodzona w 1921 roku. Wiernie pokazuje obraz życia mniejszości polskiej zawierający opisy narastających konfliktów przeplatanych refleksjami politycznymi, historycznymi. Wydana w 1936 roku książka „Na tropach Smętka” doczekała się do wybuchu II wojny 9 wydań. Entuzjastyczne recenzje ukazały się w polskiej prasie. Wśród Niemców wzbudziła protesty. MSZ Niemiec domagało się, by Polacy wycofali ją z księgarń. W prasie niemieckiej pojawiły się ostre ataki na pisarza. Była ona zakazana w Niemczech. Staraniem Związku Niemieckiego Wschodu ukazało się tłumaczenie. Miało ono być dla niemieckich propagandystów wzorem, jak zwalczać metody walki narodowościowej przez Polaków. W Polsce oskarżano Wańkowicza, że przyczynił się do prześladowań ludności polskiej na Mazurach i Warmii. Melchior Wańkowicz po wojnie bronił się, że przed oddaniem do druku manuskryptu przesłał go urzędnikom i działaczom Związku Polaków w Niemczech. Po II wojnie znaleziono egzemplarz z pieczętką z niemieckim napisem „ściśle tajne”.

II

Podróż do Prus Wschodnich Melchior Wańkowicz z córką Martą, zwaną „Tirliporkiem”, „Sancho Pansa” lub „Kartoffelnase”, rozpoczął od zwiedzania Mazur. Pierwszymi odwiedzonymi miastami były Ełk i Szczytno. Kolejne etapy to pływanie kajakiem „Kuwaka” po jeziorach mazurskich, na których przepłynęli prawie 95 km. Przyglądali się codziennym



Widokówka: Ramzy

pracom ewangelickich Mazurów: jak odpoczywali, modlili się, czy prowadzili rozmowy po polsku lub niemiecku. Po Warmii przymieszczali się wypożyczonym samochodem. Wańkowicz zauważył, że to całkiem inny kraj i obyczaje. Wszędzie widać było skutki prowadzonej germanizacji. Po zwiedzaniu niemieckiej części Prus Wschodnich zdecydował się Wańkowicz z córką na podróż do jej zachodniej części, czyli na Powiśle. Pretekstem miało być odwiedzenie krewnych Donimirskich, ponieważ Maria córka Edwarda Donimirskiego z Łysomic, została żoną Karola Świackiego. Natomiast siostra ojca Melchiora Wańkowicza wyszła za mąż za kuzyna Świackiego pochodzącego z Bielicy. Jak zapisał z humorem podróżnik Melchior „wierzył w powszechne obcowanie kuzynów i nie wątpił, że wszędzie, gdzie należy znajdzie się jakiś kuzyn”. Edwardostwo Donimirscy z Łysomic mieli krewniaków w ziemi malborskiej i dlatego znalazł się pretekst, aby ich odwiedzić.

Wyjechali z Olsztyna pociągiem do Kwidzyna z dwukrotną przesiadką w Iławie i Prabutach. Autor zanotował w swoim tekście, że w Kwidzynie w czasie plebiscytu miały miejsce imponujące manifestacje ludności polskiej, które zostały brutalnie zaatakowane przez Niemców. Doszło do salw rewolwerowych bojówek niemieckich. Wojska włoskie były zdezorientowane i nie interweniowały. W konsulacie polskim otrzymali informację, jak mają dojechać do Sztumu a następnie do Małych Ramz. Po trzech godzinach pobytu w stolicy rejencji wsiedli do pociągu jadącego do Sztumu. Na dworcu czekała na nich bryczka z końmi. Należało jeszcze pokonać 10 kilometrów do celu podróży. Jeszcze w Olsztynie Marta kupiła sobie płaszcz, którym się bardzo szczyliła i nie chciała, aby szybko się zabrudził, dlatego pierwszy raz jechała w powozie obok ojca a nie na koźle obok stangreta woźnicy. Jadąc powozem przyglądał się pan Melchior urodzajnym polom, zagadywał stangreta o różne sprawy. Naraz zobaczył bramę wjazdową zbudowaną z desek, gdzie wymalowany były na czerwono napis: *Wilkomen im alten Ordensland – Witamy w starym zakonnym kraju*”. Gdy dojeżdżali, było już bardzo ciemno, a w oknach błyszczało od jasności, tak samo, jak w jego domu rodzinnym na Białorusi za jego młodości- zanotował w swojej relacji. W oszklonych

drzwiach, które wiodły z dużego hallu do pokoi gościnnych na pierwszym piętrze, zauważył wymalowany herb: Jeleń rodu Brochwicz. Po rozpakowaniu i ulokowaniu w pokoju gościnnym wszyscy zasiedli w salonie. Marta Wańkowiczówna ze względu na późną porę i na życzenie ojca musiała opuścić dorosłych i pójść spać. Dorosli przy węgryźnie rozpoczęli dysputy trwające do późnych godzin nocnych.

Żyjąca w Nowym Jorku najmłodsza córka Marii i Kazimierza Donimirskich tak mówiła o pobycie w Ramzach Małych Melchiora Wańkowicza, a miała wtedy pięć lat. – Pamiętam bardzo dobrze z perspektywy małej dziewczynki, ale dużo szczegółów nie mogę podać. W Ramzach przewijało się dużo gości. Takich zwykłych, ale również jakiś bardziej znamiennych. Pamiętam przygotowania pokoju Wańkowicza z córką, to był najlepszy pokój gościnny na piętrze. Wiem, że mama pilnowała, żeby wszystko tam było co potrzeba. Nie mogłam tego docenić osobiście, bo mnie jako dziecko tam nie wpuszczono. Wańkowicz był gościem ekscentrycznym, można to było zauważyć w jego zachowaniu, bo nie stosował się do reguł dziennego planu posiłków, tylko przewracał ten plan do góry nogami. Trudno było wyczuć, o której zje śniadanie, bo miał zwyczaj pisać w nocy i długo wtedy siedział, to rano dłużej spał. Zazwyczaj dziewczyna zanosila mu śniadanie do pokoju wtedy, kiedy sobie życzył. W czasie jego bytności w domu panował nastrój skupienia i spokoju. Popołudniami, ale bardziej wieczorami, siadywał z moim ojcem w saloniku, popijali węgryzna lub jakiś bardziej zacny trunek, jak sam mówił, i długo gawędzili. Oczywiście, ja w tym nie brałam udziału. Zjeździł okolice powozem ze swoją córką a czasem z moim tatą. Tak też pojechał na odpust do Starego Targu (autorka w tym miejscu się pomyliła się bo odpust był w Postolinie). Przywiózł mi lalkę szmaciankę, którą bardzo lubiłam się bawić i była dla mnie oczywiście oryginalna, bo była inna niż zwykłe lalki. Jak siedzieliśmy w większym gronie, to czasem opowiadał takim zwykłym, tubalnym głosem.

Przyszłym czytelnikom pisarz przedstawił pokrótce rodowód rodu Donimirskich, jacy mieli wywodzić się ponoć spod Chociebuża, a potem przenieśli się na Śląsk i dalej na Pomorze na służbę do Krzyżaków. W czasie wojny trzynastoletniej za zaległy żołd mieli otrzymać dobra Donimierz koło Kartuz liczące 18 tysięcy morgów od których przyjęli nazwisko. Na ziemię malborską przybyli w połowie XVIII wieku. Ród tak się rozrósł, że w ich rękach znalazły się następujące majątki: Górki Cygusy, Czernin, Bukowo, Ramzy, Zajezierze. Bliżej spokrewnieni będą poprzez małżeństwa z innymi rodami, z jakimi wchodzili w koneksje rodzinne. Donimirscy jako jedyni ziemianie nie opuścili Powiśla w połowie lat trzydziestych XX wieku. Właściciel Ramz Małych już od roku 1910 aktywnie włączył się w działania ruchu polskiego. Działał w Banku Ludowym w Sztumie, kółkach rolniczych, był prezesem Związku Polaków w Niemczech powstałym po I wojnie. Z czytelnikami dzieli się pewnym zdarzeniem, które dotyczyło Kazimierza Donimirskiego. Otóż jeszcze przed dojściem Hitlera do władzy bojówki hitlerowskie miały na niego napaść i pobić oraz sekretarza Związku Polaków Franciszka Literskiego. Zachował się zaszyfrowany rozkaz bojówki, jednak oni go zagubili a znalazł jakiś robotnik i przekazał panu Kazimierzowi. Do pobicia Donimirskiego wyznaczono 12, a na Literskiego 4 bojówkarzy. Jak zauważył pisarz, ranga ważności do pobicia Donimirskiego była wyceniona wyżej niż za Franciszka Literskiego. Melchior Wańkowicz opisał też dzieje szkoły w Mikołajkach, bo poznał osobiście kierownika Juliusza Hewnera. Po kilku miesiącach zrezygnował on z kierowania szkołą i wrócił

na Kujawy, gdy 28 października 1930 roku bojówka hitlerowska z Mikołajek, Kwidzyna, Susza, Prabut, po uraczeniu się trzema kolejkami wódki w gospodzie Stegemanna, udała się spod dworca kolejowego by zaatakować dom, gdzie mieszkał nauczyciel. Wybito wtedy szyby, zdemolowano lokal i pomoce szkolne oraz pobito rodzinę Osińskich i przypadkowych mieszkańców. Zamieszki trwały do 3 w nocy. Policja nie reagowała na brutalne zachowania, a jeden z żandarmów do skarżących się powiedział: niech udadzą się do Warszawy po polską policję.

Następnego dnia wszyscy jadą powozem do kościoła w Postolinie, gdzie miał miejsce odpust. Napotkani mieszkańcy witają dostojnych gości, a Donimirskiego po polsku „Pochwalony”. Nie odnalazł już Wańkowicz odpustów, jakie zapamiętał ze swojej młodości. Zauważa wszędzie niemiecką mowę przy straganach odpustowych. Zanotował też, jak to wikary Józef Przeperski podczas kolędy w styczniu 1935 roku wręczając głowie rodziny obrazek usłyszał „Dziękuję”. Postanowił więc wręczyć go młodszemu dziecku, mówiąc „to zapewne i syn rozumie po polsku”. Młody odpowiedział butnie, że nie rozumie po polsku. Wikarę Przeperskiego aresztowano, ponieważ opiekował się organizacjami młodzieżowymi i kobiecymi św. Kingi i używał języka polskiego na co dzień. Po sześciu tygodniach pobytu w więzieniu na skutek interwencji biskupa Kallera i konsula polskiego został zwolniony. Wańkowicz z uwagą odnotował, jak wygląda na Powiślu nabożeństwo w parafii postolińskiej i obiad w Ramzach. Te dwa obrządki należy odpowiednio celebrować. Rozpoczyna się od wyjścia z powozu, dalej rozpostarcie w ławie kolatorskiej, następnie po mszy pogaduszka na plebanii z proboszczem. Potem przy drzewie dębowym, jakie rośnie tuż obok przykościelnego cmentarza, trwa rozmowa z sąsiadami a pod klonem rozmowa ze statecznymi gospodarzami. Wychodząc spoza cmentarnego ogrodzenia rozmawia z miejscowym piekarzem Żydem Ziemakiem. Obiad to też odpowiednia ceremonia, gdy przyprawiona jest odpowiednią grzecznością i przemową skierowaną do gościa. Spodziewał się długich przemówień, ale nie mówi się ich na głodny brzuch. Kazimierz Donimirski rozpoczął przemowę pewną dygresją. Parę tygodni temu odwiedził dwór ramziński konsul Mieczysław Rogalski



Wańkowicz w Czermnie

z Kwidzyna. Służba dała znać, że do komina wpadł rój pszczół. Konsul odpowiedział, to nieomyślny znak, iż dom odwiedzi nieoczekiwany gość i istotnie tak się stało. Oto przyjechał. Na powitanie ze strony gospodarza odpowiedział Melchior: „Niech mi będzie w imieniu moim i córki,

pierwszy raz w życiu spotyka katolickiego kapłana, jaki zastanawia się, czy sznaps w gminie ma być sprzedawany. Z dumą pokazywał Wańkowiczom Dom Polski w Sztumie, gdzie mieściła się siedziba Banku Ludowego, którego był współzałożycielem. Kolejną zwiedzaną miejscowością była Sztumska Wieś znana z podpisanego rozejmu w roku 1635 ze Szwedami. Następnym etapem podróży będzie zwiedzanie zamku w Malborku. Na początku wita ich wysoka polichromowana stiukowa figura Matki Boskiej. Miała ona już w 1410 roku płoszyć wojowników Jagiełły. Według Niemców jest „keine weibliche Madonna”, według Polaków „po prostu potwór, rodzaj szyldu bojowego wystawionego ponad mury zamczy-ska”. Obecny zamek jest, jak zapisał pan Melchior, wypucowany doszczętnie ze wszystkich wspominków historycznych nie tylko polskich, a i krzyżackich. Z Malborka pojechali przez Sztum do osławionej „krwawiącej granicy” do Janowa. Polsce po plebiscycie przydzielono wąski pas brzegu po prawej stronie Wisły i przyłączono do Rzeczypospolitej pięć przysiółków tej wsi. W ten sposób Wisła stała się rzeką wewnętrzną polską. Wańkowicz posiadał obrazek, jaki zakupił w jednej księgarni, przedstawiający „żałobną dziewicę siedzącą nad brzegiem Wisły, która łka: „O mój Grudziądzu, mój Tczewie, mój Gdańsku, kiedyż złączymy się znów”. Obok znajduje się straszliwy wąsaty Polak, wbijający klin na którym napisano „Traktat Wersalski”. Od Janowa do Białej Góry jadą wzdłuż wału wiślanego i dopiero w Białej Górze można zobaczyć Wisłę. Tu stykała się granica trzech państw: Polski, Niemiec i Wolnego Miasta Gdańsk. Na wzgórzu w pobliżu wsi ustawiono Krzyż Zachodniopruski, do którego każdego roku latem przybywały manifestacje niemieckie roniąc łzy nad rozdzieloną niemiecką ziemią. Sędziwy gen. Mackensen rzucał pogrożki do Polaków mieszkających na drugim brzegu Wisły, a dzieci ze szkół niemieckich śpiewały mu pieśń „Grierige Pole” (Żałośni Polacy). Wpajano ludności Prus Wschodnich, i oni święcie wierzą, że Polska nosi się z zamiarem zbrojnej okupacji tych terenów. Uczniom szkół niemieckich nauczyciele mieli wbijać do głowy, że Korytarz Wiślany (Weichselkorridor) Polska otrzymała dzięki okłamaniu prezydenta Wilsona, Prusy Zachodnie nigdy nie były pod rządami Polski a pierwszy rozbiór naprawił dwuwiekową krzywdę, gdy Niemcy utraciły Pomorze. Odnotował Wańkowicz, iż widział mapy w szkołach na których terytorium Polski i Gdańska zaznaczone były napisem „Zur Zeit” – do czasu, a mapa była podpisana przez urzędującego radcę szkolnego w Kwidzynie. Jeden z polskich nauczycieli te prowokacyjne napisy zakleił, gdy ten radca wizytował szkołę zapytał go dlaczego to z zrobił, w odpowiedzi usłyszał: to jest sprzeczne z ustalonym i podpisanym przez Niemcy porządkiem rzeczy. Na pytanie, dlaczego nie zakleił również „Zur Zeit Danzig”, nauczyciel odpowiedział enigmatycznie, bo to istotnie jest „Zur Zeit”.

Dzięki wydanej książce „Na tropach Smętka” Polacy mogli się dowiedzieć, jak wyglądało życie ludności polskiej w Prusach Wschodnich. Melchior Wańkowicz jeszcze raz odwiedził Sztum, gdy w latach sześćdziesiątych XX wieku w sali sztumskiego szpitala ze wschodnim zaśpiewem mówił przy zawieszanej mapie środkowych Włoch o bitwie pod Monte Cas-sino. Gdy doszło do pytań ze strony publiczności, ludziom łamał się ze wzruszenia głos.

Janusz Ryszkowski



PO SZTUMSKICH KARCZMACH, HOTELACH I KAWIARNIACH KRÓTKI PRZEWODNIK¹ (CZĘŚĆ II)

HOTEL CENTRALNY

W 1910 roku na rogu ówczesnych ulic Dworcowej, potem Hindenburga i Koślińskiej (dziś Mickiewicza i Kochanowskiego) stanął hotel Centralny (Central Hotel). Oferował podróżnym osiem pokoi z 12 łózkami. Według przewodnika turystycznego z 1934 roku ceny za noclegi były nieco wyższe niż w hotelu Królewski Dwór. Inna reklama wabiła gości pierwszorzędnymi umeblowanymi pokojami z centralnym ogrzewaniem, pysznym jedzeniem i dobrymi trunkami w restauracji na parterze oraz obszernym podjazdem (dziś powiedzielibyśmy parkingiem) dla wozów i samochodów. Warto zwrócić uwagę, że w kalendarzu powiatu sztumskiego na rok 1929 konkurencja, czyli hotel Królewski Dwór, zapewniała swoim klientom bezpłatne garażowanie auta oraz dojazd autobusem na dworzec do każdego pociągu. A także łaźienkę!

Właścicielem hotelu Centralnego był Erich Lau, następnie - od 1928 do 1945 roku - Fritz Behrendt. Budynek ocalał z wojennej pożogi i przez długie lata pełnił swoją dawną rolę. W 1946 roku jego dzierżawcą był Jan Wrona. Do dyspozycji klientów było wówczas 8 pokoi jednoosobowych i dwa dwuosobowe, czyli jak dawniej 12 miejsc. Nocleg w „jedynce” kosztował 20 zł, „dwójce” 10 zł. Dla porównania: ówczesna cena gazety codziennej to 2 zł.



Hotel Centralny z restauracją w parterze – lata 30. dwudziestego wieku

¹ Część pierwsza ukazała się w „Prowincji” nr 1 (55) 2024.

Z pokoju hotelowego jako swojego mieszkania korzystał wówczas Wiesław Mincer, dziennikarz „Ziemi Malborskiej”, gazety, której redakcja znajdowała się dość krótko w powojennym Sztumie. Dużą popularnością cieszyła się także długa restauracja w budynku hotelowym - Sztumianka. Ale to już temat na zupełnie inną opowieść.

STRZELNICA

Bodaj najważniejszym miejscem, w którym skupiało się życie towarzyskie, kulturalne i także polityczne sztumian od lat 80. XIX wieku, była Strzelnica (Schützenhaus). Pisaliśmy o niej już w „Prowincji” (nr 3 z 2011 r.), więc teraz tylko rzeczy najważniejsze.

A zatem: Strzelnica znajdowała się w bliskim sąsiedztwie Jeziora Sztumskiego, na terenie dawnej fosy miejskiej. Prowadzącą do niej ulicę właśnie dlatego nazwano Strzelecką (Schützenstrasse).

Strzelnica zapewne powstała w latach siedemdziesiątych XIX wieku. W budynku tym spotykało się bractwo strzeleckie, stąd też i nazwa, ale obiekt służył ogółowi mieszkańców. W sali ze sceną organizowano koncerty i przedstawienia teatralne, a także bale oraz zebrania różnych organizacji.

Z 1883 roku pochodzi informacja, że Strzelnicę odkupił ją od niejakiego Stuhldreera oberżysta Leon Kowalski. Nie to jest tak ważne, co fakt, że na początku tegoż roku aktorzy-amatorzy pokazali „dwie sztuczki” - „Wiesław” Kazimierza Brodzińskiego i „Werbel domowy” Jana Kantego Gregorowicza. „Gazeta Toruńska” podaje, że były to pierwsze polskie przedstawienia teatralne w Sztumie!



Strzelnica – widok z początku XX wieku

Strzelnica na trwałe zapisała się w polskiej historii miasta jako miejsce „wielkiego koncertu kompozytorskiego” Feliksa Nowowiejskiego, autora „Roty”. Reaktywowane po latach Koło Śpiewackie, któremu ponownie przewodził doktor Feliks Morawski, za pośrednictwem „Gazety Polskiej dla powiatów nadwiślańskich” zapraszało „Polonię tutejszą bez różnicy stanu” 9 maja 1920 roku o godz. siódmej wieczorem. Był to bardzo gorący politycznie czas. Za dwa miesiące miały się odbyć na Warmii, Maurach i Powiślu plebiscyty mieszkańców, decydujące o przynależności państwowej tych ziem. Niestety, przegrane.

Trzeba jeszcze koniecznie dodać, że pamięć o koncercie plebiscytowym Nowowiejskiego przywrócił sztumianom w latach 90. minionego wieku Wacław Bielecki. I twórczo ją do dziś rozwija, będąc organizatorem corocznych Koncertów Plebiscytowych w kościele św. Anny w Sztumie.

A jakie były losy Strzelnicy po 1945 roku? Przez kilkanaście powojennych miesięcy działało tam kino, ale jesienią 1947 roku zostało zamknięte z powodu złego stanu technicznego budynku. Nie przeszkadzało to jednak, aby np. w lutym 1949 roku zorganizować tam koncert milicyjnego zespołu muzycznego Echo. Z sali korzystały dzieci z pobliskiej szkoły (dziś siedziba sądu). W następnych latach obiekt, a ściślej jego część, był wykorzystywany już tylko gospodarczo.

Nazwa ulicy Strzelecka utrzymała się także kilka lat po drugiej wojnie światowej, a potem przemianowano ją na Baczyńskiego. Nie chodziło o sławnego poetę Krzysztofa Kamila, ale Kazimierza, funkcjonariusza sztumskiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, który został zastrzelony podczas akcji pościgowej za szwadronem V Wileńskiej Brygady Armii Krajowej „Łupaszką” – majora Zygmunta Szendzielarza. 10 czerwca 1946 roku grupa operacyjna złożona z milicjantów i dwóch funkcjonariuszy UB, poruszająca się samochodem, została ostrzelana w Tulicach niedaleko Waplewa. Zginęło trzech milicjantów, reszta grupy poddała się i oddała broń. Dwaj zidentyfikowani jako funkcjonariusze UB zostali na miejscu rozstrzelani. Szwadron z rannym dowódcą ppor. Zdzisławem Badochą „Żelaznym” odjechał zabraną ciężarówką.

W 1953 roku, w 10 rocznicę powstania Polskiej Partii Robotniczej, na skwerku przy zbiegu ulic Mickiewicza i Baczyńskiego odsłonięto tablicę upamiętniającą milicjantów i funkcjonariuszy UB, którzy „zginęli w walce o utrwalańia władzy ludowej”. Na płycie znalazło się nazwisko porucznika Kazimierza Baczyńskiego.

W 1990 roku radni miejscy zdecydowali o zmianie patrona ulicy. Został nim Krzysztof Kamil Baczyński. Zresztą już w tamtym czasie niewielu sztumian kojarzyło, kim był Kazimierz Baczyński. Rozebrano też obelisk upamiętniający milicjantów i funkcjonariuszy UB zabitych w Tulicach.

Za to w 2010 roku stanęło w dawnym miejscu Strzelnicy popiersie Feliksa Nowowiejskiego, projektu Dawida Krukowskiego z Torunia. Zdaniem rodziny kompozytora to jego najwierniejsze odwzorowanie w Polsce. Popiersie w 90 rocznicę plebiscytu na Powiślu i pobytu kompozytora w Sztumie, odsłanili m.in. jego syn Jan i wnuczka Bogna.

POD DĘBEM



Budynek, w którym mieściła się w latach 20. dwudziestego wieku restauracja Niemiecki Dąb. Zdjęcie z przełomu lat 60. i 70. XX wieku wykonane przez Henryka Lipskiego

Na rozwidleniu dróg, prowadzących w kierunku Malborka i Białej Góry (dziś Reja i Sienkiewicza), jeszcze do lat 70. XX wieku stał parterowy budynek w wysokim poddaszem. Miejska legenda głosiła, że to dawna karczma, szczytąca się tym, że zatrzymał się w niej sam Napoleon Bonaparte, ale poważni historycy twierdzą, że jego szlaki nie prowadziły przez Sztum.

Zresztą można mieć wątpliwości, czy budynek pamiętał czasy napoleońskich podbojów. Za nim znajdowały się ślady po cmentarzu, prawdopodobnie z pierwszej połowy dziewiętnastego wieku. O tym przypominał sztumianom najpierw drewniany krzyż, a potem kapliczka postawiona prawdopodobnie gdzieś na początku XX wieku i stojąca do dziś.

Wątpliwości dotyczące istnienia w tym miejscu nekropolii ostatecznie zostały rozwiane w 2018 roku. Wtedy to podczas wykopów pod kolektor sanitarny przy ulicy Reja natrafiono na szczątki ludzkie. Prace wstrzymano, powiadomiono policję. Kości były stare, na miejscu pojawili się więc archeolodzy, którzy przebadali fragment działki, na której prowadzono inwestycję. Potwierdzili miejską legendę, czyli istnienie w tym miejscu grobu postpandemicznego. Zmarli byli pogrzebani najczęściej w drewnianych trumnach, na ok. półtorametrowej głębokości. Mogiłę przykryto warstwą gliny. Potem posadzono w tym miejscu drzewa.

Trudno więc sobie wyobrazić, aby urządzono cmentarz choleryczny dosłownie na zapleczu działającej karczmy, skoro ze względów sanitarnych wybierano miejsce grzebalne odległe od skupisk ludzkich. Raczej dom wybudowano znacznie później, gdy przeminęła pamięć tamtych smutnych wydarzeń.

Ale niech już pozostanie wieść gminna, że zatrzymał się w karczmie cesarz Francuzów. Na dodatek upoważniają do tego wspomnienia z okresu pierwszej wojny światowej nauczyciela, Otto Kammela. Jest w nich fragment o tym, że część mieszkańców cmentarz choleryczny nazywała Francuskim, a karczmę Kossenkrug przechrzczone na Korsenkrug, nawiązując do Korsyki, miejsca urodzenia Napoleona. Miejsce to jednak oficjalnie nosiło nazwę Niemiecki Dąb. Drzewa te posadzono – zapewne w którąś rocznicę – jako pamiątka zwycięstwa Niemiec nad Francją i pokoju zawartego w 1871 roku. Jak widać wszystko w tym miejscu miało swoje konotacje francuskie i wiązało się z przewyciężaniem niemieckiej traumy wywołanej wcześniejszą przegrana.

W latach dwudziestych dwudziestego wieku gospodę pod szyldem Niemiecki Dąb prowadził Johann Olschewski. Jego specjalnością był mocny trunek własnej receptury nazywany Sztumską Żabką Zieloną. Była to bardzo mocna nalewka spirytusowa z korzeniem tataraku o charakterystycznej barwie dojrzałej trawy. Ale najdziwniejsze było to, że w tym samym budynku działała jeszcze wcześniej (początek dwudziestego wieku) prywatna szkoła dla chłopców, przygotowująca do dalszej edukacji w gimnazjum w Malborku. Miała do dyspozycji jedno pomieszczenie, uczniów zaś było kilku. Jak wspomina Otto Kammel, wychowankowie tych małych szkółek w ciągu roku przerabiali materiał programowy trzech klas i potem zazwyczaj bardzo dobrze radzili sobie na etapie gimnazjalnym.

Na początku lat 30. Niemiecki Dąb prowadził Ernst Ziemann. „Kalendarz sztumski na rok 1931” zamieścił jego inserat zapraszający sztumian i gości. „Dobre napoje i jedzenie po rozsądnych cenach. Przytulne pokoje, dobra lokalizacja”.

W 1946 roku gospoda nazywała się już Barem Obywatelskim i należała do miejscowej Powszechnej Spółdzielni Spożywców Społem, a prowadził ją restaurator Czecholiński. Ale mówiono na to miejsce nie inaczej jak dawniej - Pod Dębem. Jedynym z barwnych bywalców lokalu był wówczas jeden z okolicznych leśniczych, wilniuk, przedwojenny ułan. Nie miał fachowych kwalifikacji, a swoje stanowisko zawdzięczał małżonce, pełniącej wysokie funkcje w powiecie. Napoleon Nowosielski, wówczas pracujący w ryjewskich lasach, tak to opisywał po latach: „W leśnictwie dał znaczną swobodę działania, obznajomionemu z jego funkcjonowanie, gajowemu. Osobiście firmował tylko pracę swojego personelu, prowadził natomiast nader intensywne życie towarzyskie, głównie na forum restauracji Pod Dębem. Już sama nazwa tego „renomowanego lokalu” predestynowała go na miejsce spotkań towarzyskich ludzi lasu. (...) Kiedy wypił nieco więcej co zdarzało się nagminnie, wspominając dawne czasy intonował „Pierwszą brygadę” i angażował do chóru kompanów od kieliszka. (...) Towarzyskie posiedzenia kończyły się często w areście, skąd S. dzięki interwencji żony był wnet zwalniany, jego komilitoni natomiast odsiadawali zazwyczaj kilka dni, byli sądzeni przez kolegium ds. wykroczeń (...)”.

Po likwidacji restauracji (jej miejsce zajmowały sklepy różnej branży - był monopolowy, żelazny, warzywniak) przed budynkiem stanął kiosk gastronomiczny, chętnie odwiedzany

nie tylko przez piwoszy. Dzieciaki po szkole ustawiały się po oranżadę za 1,80 zł, manderkę - 2,40 zł, cukierki na dekagramy... Kiosk nazywano także... Pod Dębem.

Określenie przetrwało do tej pory, jako nazwa zbudowanego w 2001 roku ronda. Piękne, dorodne drzewa, pamiętające pewnie Kossenkrug, są nadal jego częścią.

CUKIERNIE, KAWIARNIE, GOSPODY



W zachowanej do dziś kamienicy zachodniej pierzei Rynku lokowały się kawiarnie/cukiernie Neumanna, Kanzlera (Cafe Hohenzollern), Paula Erasmusa i Waltera Rahna

Przenieśmy się znowu w czasie o sto lat na dawny Rynek i sprawdźmy, gdzie można skosztować małą czarną z mlekiem i słodkie łakocie.

Zdaje się, że nie było niczego lepszego nad bezy z bitą śmietaną kupowanych u cukiernika Neumanna. Jeszcze przed pierwszą wojną światową biegał po nie przyszyły nauczyciel Otto Kammel i tamte smaki dzieciństwa towarzyszyły mu już przez całe życie, które w większości upłynęły mu już poza Sztumem.

Cukiernia Neumanna, w której oprócz różnych ciast, wyrobów marcepanowych i czekoladowych, a także kaw, likierów znajdowała się w zachowanej do dziś kamienicy (zresztą jedynej) w zachodniej pierzei Rynku. Właścicielem lokalu krótko potem był hotelista Erich Lau, następnie prowadził tam działalność Paul Erasmus i do stycznia 1945 roku Walter Rahn.

Erasmus przeniósł się do kamienicy tuż przy Rynku, ale już na ulicę Sądową (dziś Galla Anonima). I ta kamienica oparła się czasowi, widać los

chciał oszczędzić dawne kawiarnie. Po drugiej wojnie parter domu bardzo długo zajmował sklep spożywczy, by ostatecznie zwolnić miejsce dla pizzerii Roma.

Zachowała się pocztówka z tej przedwojennej cukierni-kawiarni przy Sądowej Erasmusa. Sześć okrągłych stolików z dwoma krzesłami, wystrój raczej skromny. Szara fotografia niewiele jest w stanie więcej opowiedzieć.

W drugiej połowie lat dwudziestych oprócz cukierni Neumanna sztumianie mieli do dyspozycji także lokal Café Hohenzollern Ernesta Kanzlera. Zajmowała ona parter narożnej

kamienicy wschodniej pierzei Rynku. Wcześniej w tym miejscu miał swój sklep kupiec M. J. Winkowski, który odkupił w 1899 roku tę kamienicę od Wojciechowskiego. Przed nim należała ona długo do kupca Józefa Korzeniewskiego. W latach 60. XIX wieku ogłaszał się w polskiej gazecie, że sprzedaje swój interes handlowy, prowadzony przez 30 lat w Sztumie przy Rynku. W parterze kamienicy znajdowała się salka, w której w czasach Wojciechowskiego i potem Winkowskiego zbierało się polskie Kółko Śpiewu. Może wykorzystywało ją też Cafe Hohenzollern?

Kawiarnia nie prosperowała w tym miejscu zbyt długo, a jej miejsce zajął sklep z tekstyliami Baumgardta.

Ale gdy już sprawy tej kawiarni można by zakończyć, wpadłem przypadkiem na niedatowaną pocztówkę, która Cafe Hohenzollern ukazuje jeszcze w innym miejscu - tam gdzie znajdowała cukiernia Neumanna, a potem Erasmusa i Rahna. Tak to jest, jak się zaczyna zgłębiać detale. Chaos powstaje i nic więcej.

W każdym razie książka adresowa z 1929 roku wskazuje na działające dwie kawiarnie (cukiernie) – Neumanna i Cafe Hohenzollern, a przewodnik turystyczny z 1934 roku Waltera Rahna i Paula Erasmusa.

Pozostajmy na chwilę przy tej ostatniej. I nie chodzi o wspomnienie dolatującego po latach zapachu parzonej kawy, ale pewien słodki specjał. Siegfried Erasmus, syn cukiernika, wspominał w rozrzuconym czasie dzieciństwa, gdy przed nadchodzącymi świętami Bożego Narodzenia firma ojca przygotowywała marcepany. W Niemczech królowały ich dwa rodzaje. A zatem były słynne (do dziś), wytwarzane w Lubece oraz królewieckie, popularne na terenach ówczesnych Prus Wschodnich, a więc i obecnego Powiśla. Erasmus specjalizował się właśnie w wyrobach królewieckich. Jego cukiernia wyposażona była w maszyny



Po lewej cukiernia Paula Erasmusa przy ulicy Sądowej, w sąsiedztwie Rynku

elektryczne, to jednak – jak wspomina syn – w tym przypadku trzymano się tradycji i np. masę marcepanową ugniatało ręcznie, bo jedynie ciepło rąk zapewniało, że olej migdałowy odpowiednio rozprowadzał się w mące. Marcepan był zapiekany w tradycyjnym piecu, choć Erasmus dysponował płytami elektrycznymi. Miał kształt serc i kwadratów z brzegami „podpalonymi” na brązowo. Nadzieniem był lukier, do którego dodawano wody różanej. Zdobiono je następnie fantazyjnie kandyzowanymi owocami i trzcina cukrową. Marcepanowe serca osiągały średnicę 25–30 centymetrów i wagę około kilograma. Zwykle pakowane były w ozdobne pudełeczka przewiązane wstążką.

Cukiernia oferowała oczywiście także tańsze smakołyki - marcepanowe kartofelki. Specjalne na nich nacięcia imitowały pękniętą skórę ziemniaka.

W okresie drugiej wojny światowej działała jeszcze trzecia kawiarnia - Kayser's Koffe, czyli Cesarska. Znajdowała się w kamienicy na rogu obecnych ulic Mickiewicza (wtedy Hindenburga) i Młyńskiej. To wcześniej dość ważne miejsce dla polskiej historii miasta. Od 1910 roku znajdowała się tam siedziba polskiego Banku Ludowego, a dom należał do Władysława Michalskiego, zresztą aktywnego działacza tej placówki kredytowej. W 1924 roku bank został przeniesiony do doktora Feliksa Morawskiego na Przedzamcze. Powód był prosty: po śmierci Michalskiego (1921) dom zmienił właściciela. Nie stać było spółki bankowej na płacenie wysokiego czynszu, a czasy były niełatwe. Morawski udostępnił więc na działalność pokój w swoim domu.

O kawiarni Kaiserowskiej, czy jak kto woli - Cesarskiej, nie da się dziś napisać niczego szczególnego. Może zatem skupmy się na sąsiedztwie, posuwając się w kierunku Rynku. W kamieniczce (Hindenburgstrasse 8) od 1936 roku znajdowała się Karczma Mieszkańska (Bürgelische Gasthaus) prowadzona przez Ernsta Wittenberga.



Ulica Dworcowa, odcinek odchodzący od Rynku (obecnego placu Wolności). W środku gospoda i sklep Johanna Schlegela

Dwa domy dalej (pod numerem 4) kolejną gospodę i sklep kolonialny prowadził pryncypalnie od ok. 1912 roku Johann Schlegel. Wszystko to może dziwić o tyle, że te interesy (a trzeba pamiętać o wcześniejszych już opisanych) nie najgorzej prosperowały w niewielkim przecieź mieście. W przypadku Schlegla tajemnica może tkwić w tym, że sklep i wyszynk nie były jedynymi źródłami przychodów. Posiadał on jeszcze, niejako na zapleczu sklepu, przy ulicy Młyńskiej, kamienicę czynszową. Na jeszcze jedną ciekawą rzecz zwróciła uwagę Kamila Thiel-Ornass, rekonstruując swój pomorski rodowód: „Wuj mojego ojca dobrze znał mentalność swoich ziomków. Wiedział bowiem, że zmarznięty, po całym dniu targowania na rynku, w zabłoconych butach, w wilgotnej kurtce gospodarz, aby się rozgrzać, wypić kieliszek lub dwa, coś zjeść, nie wejdzie do restauracji Blocka, ale przyjdzie do niego, do Schlegla. Block, zresztą blisko spokrewniony, do swojej restauracji na Rynku, niedaleko kościoła, zakupił, wzorując się na gdańskich lokalach, nowe, eleganckie meble, chromowane, błyszczące od jasnych światel urządzenia. Przeliczył się jednak, bo lepszego, typowo miejskiego towarzystwa w Sztumie nie było wiele.

Wuj Schlegel słusznie sądził, że gbur lub biedniejszy bauer (...) chce zażyć miejskiego komfortu, ale miejsce tego zbytku musiało być swojskie, nie mogło onieśmielać”.

KASYNO WOJSKOWE



W tym domu w czasach I wojny światowej znajdowało się kasyno wojskowe

Spacer po zajazdach, karczmach, kawiarniach, podczas którego dość swobodnie traktowaliśmy czas i przestrzeń Sztumu, dobiega końca. Może jeszcze tylko kilka ciekawostek z gastronomią w tle.

Po tym, jak do miasta został sprowadzony w nagłym trybie batalion piechoty (październik 1913), rozpoczęto budowę koszar i domów dla kadry oficerskiej i urzędników powiatu. Wtedy powstały trzy budynki z ulicami – obecna Słowackiego i Chełmińska.

Willa dla dowódcy 152 batalionu piechoty powstała przy ulicy Mickiewicza, w sąsiedztwie poczty. To do dziś jeden z najbardziej charakterystycznych budynków miasta. Dla kadry jednostki wojskowej potrzebne było także kasyno. Urządzono je niemalże naprzeciwko domu dowódcy batalionu, tyle że po drugiej stronie ulicy, w parterowym budynku. Wcześniej był to teren tartaku Zipperta i dom zapewne był jego własnością.

Po pierwszej wojnie światowej i rozformowaniu batalionu piechoty, w kasyno na powrót stało się mieszkaniem, a od 1939 roku rezydował tu wydział gospodarczy urzędu powiatowego. Willę po dowódcy batalionu piechoty zakupił notariusz Karl Blenkle. Po 1945 roku znalazło tu swoje miejsce przedszkole, w latach 90. minionego wieku siedziba Sztumskiego Centrum Kultury i biblioteki publicznej. Gdy w 2019 roku księżnica przeniosła się do przekazanego przez Zakład Karny budynku Kwadro przy ul. Nowowiejskiego, który został gruntownie przebudowany i dostosowany do nowych funkcji, samorząd zdecydował o sprzedaży willi. Nowy właściciel po kupnie przystąpił do gruntownej renowacji budynku. Podczas demontażu oryginalnej stolarki okiennej okazało się, że na jednej z ram znajduje się jeszcze czytelny fragment naklejki producenta. Można się z niej dowiedzieć, że w lipcu 1914 roku okno przeszło kontrolę techniczną w Elblągu. To pozwala chyba na dokładne ustalenie czasu budowy willi, który to wcześniej szacowano na przełom XIX i XX wieku.

Na początku lat dwudziestych, w czasach wielkiej inflacji i dewaluacji niemieckiej marki, jeden z gastronomików wpadł na pomysł, by bezwartościowymi już banknotami wytapetować jedno z pomieszczeń. Nazwano ten pokój Miliarden-Stubchen i szybko stał się lokalną atrakcją. Według jeden z relacji, znajdował się w hotelu Królewski Dwór. Ale sporo wskazuje na to, że kilka kamienic dalej - u Augusta Meissnera, zajmującego się sprzedażą likierów i win. Nie jest to może specjalnie ważne, jednak pokazuje, że mapa gastronomiczna przedwojennego Sztumu była wcale bogata, a zarazem trudno ją nakreślić pewną ręką.

Wykorzystałem m.in.: J. Borzyszkowski, M. Stażewski, *Sztum 1808–1945*, red. J. Ryszkowski, Pelplin-Sztum 2014; W. Szramowski, *Dzieje miasta Sztumu w latach 1416–1772*, Toruń 2011; *Sztum. Dzieje miasta do 1945. Stuhm. Geschichte der Stadt bis 1945*, *Wystawa Centrum Kultury Prus Wschodnich*, tekst katalogu W. Gogan, Pelplin 2003; *Der Kreis Stuhm*, 1975, *Adressbuch des Kreises Stuhm 1931–1933*, Stuhm 1931; „Stuhmer Heimatbriefe” 1994–2003; *Heimatkalender des Kreises Stuhm*, 1929–1933; B. Baranowski, *Polska karczma, restauracja, kawiarnia*, Wrocław 1979; K. Ogier, *Dziennik podróży do Polski*, 1635–1636, cz. 1, tł. E. Jędrkiewicz, wstępem historycznym i objaśnieniami opatrzył W. Czapliński, Gdańsk 1950; K. Thiel-Ornass, D. Thiel-Melerska, *Rody pomorskie Ornass i Thiel*, Pelplin 2016.

Ryszard Rząd



O POMNIKACH, W KTÓRE MOŻNA BYŁO WBIJAĆ GWOŹDZIE

Już w pierwszych miesiącach 1915 roku stało się jasne, że tocząca się wojna nie będzie konfliktem krótkotrwałym. Rosnąca liczba wdów i sierot stawiała nowe zadanie przed tymi, którzy nie walczyli na froncie. W dniu 15 lutego na zebraniu wiedeńskiego zarządu Funduszu Pomocy Wdowom i Sierotom („Zentralkomitee des Witwen – und Waisen-hilfsfonds”) kapitan marynarki hr. Theodor Hartig zaproponował akcję charytatywną na ich potrzeby. Polegać ona miała na wykupywaniu specjalnych gwoździ, które można będzie wbijać w tworzone w tym celu pomniki z drewna. Pierwowzorem był znany do dziś w Wiedniu „Stock-im-Eisen” („Pniak w żelazie”) – pień drzewa ustawiony na rogu Kärntner Straße i Stock-im-Eisen-Platz. Pierwsza wzmianka o nim pochodzi z roku 1533. Był wówczas jednym z wielu drzew (z reguły rosnących przy rozstajach dróg), w które wbijano gwoździe – wota za ocalenie z zarazy.

Realizacja idei kapitana Hartiga nastąpiła niemal natychmiast. Wykorzystano do tego celu dzieło austriackiego rzeźbiarza Josefa Müllnera (1879–1968) – gotowy już od 1914 roku drewniany posąg rycerza w zbroi, który ustawiono na Placu Schwarzenberga w Wiedniu. 6 marca 1915 roku pierwsze gwoździe wbili weń: austriacki arcyksiążę Leopold Salvator w imieniu cesarza Franciszka Józefa I, niemiecki ambasador Heinrich von Tschirschky-Bögendorff w imieniu cesarza Wilhelma II i turecki ambasador Hüseyin Hilmi Pascha w imieniu sułtana Mohammeda V. Według doniesień prasowych w pierwszym tygodniu codziennie wbijano w niego około 1600 gwoździ. Dziś „Żelazny Obrońca” („Wehrmann in Eisen”) ma ich w sobie około 500 tys.

Akcja ta dała początek ruchowi, który w następnych miesiącach objął nie tylko monarchię habsburską, ale także całą Rzeszę Niemiecką. Każdy, kto nie wziął udziału w kampanii zbierania datków, narażał się na ryzyko uznania przez współobywateli za zdrajcę. Jak wzywały masowo drukowane odezwy: „Każdy mężczyzna, kobieta i dziecko powinni wbić choć jeden gwoźdź”. Można było je kupować w miejskich i krajowych kasach oszczędnościowych i w siedzibach rejencji. Akcje zbiórkowe prowadził także podporządkowany Ministerstwu Wojny Czerwony Krzyż oraz organizacje kobiece i młodzieżowe. Nazwiska kupujących zapisywane było w specjalnych, oprawianych w skórę księgach honorowych. Gwoździe były czasami pozłacane lub posrebrzane, ale ich wartość materialna była zawsze znacznie niższa niż przekazywana za nie darowizna. Darczyńcy otrzymywali w zamian pamiątkowe przypinki, certyfikaty lub pokwitowania. Przy cenach gwoździ od 50 fenigów do 50 marek w złocie za sztukę (w szkołach od 2 do 5 fenigów) „gwoździowanie” okazało się wielkim sukcesem finansowym, przyczyniając się do poprawy życia licznych inwalidów, wdów i sierot.



„Stock-im-Eisen” w Wiedniu z 1533 r.



„Wehrmann in Eisen” w Wiedniu, 2018 r.

Już miesiąc po ustawieniu wspomnianego wyżej „Żelaznego Obrońcy”, 23 kwietnia 1915 roku, Marie Karoline von Battenberg (1852–1923), księżna Erbach-Schönberg, która była jedną z osób obecnych na uroczystości w Wiedniu, wbiła pierwszy w Niemczech gwóźdź w dwumetrowej wielkości Krzyż Żelazny (oczywiście wykonany z drewna) w Darmstadt. Z czasem znalazło się w nim 85 tys. czarnych i srebrnych gwoździ w cenie od jednej do dwudziestu marek za sztukę, co znacząco zasililo fundusz pomocy inwalidom i rodzinom poległych z Hesji. Jako druga w jej ślady poszła protektorka Czerwonego Krzyża w Badenii-Wirtembergdze, królowa Charlotte von Württemberg. 12 maja 1915 roku w Heilbronn wbiła gwóźdź z herbem królewskim w czoło „Eisenharta” – figury rycerza autorstwa rzeźbiarzy Josefa Michaela Locka i Roberta Gräßlego ustawionej pod arkadami miejscowego ratusza.

Niebawem „Kriegsnagelungen” zawitało do niemal każdego większego miasta w Niemczech. Jeszcze tego samego lata, w ważne dla kraju rocznice zwycięskich bitew pod Tannenbergiem (Stębarkiem) w Prusach Wschodnich (1914) i pod Lipskiem (1813) a także w urodziny cesarza Wilhelma II, postawiono około 260 tego typu obiektów. Do początków 1918 roku powstało ich w Niemczech 345. Zaznaczyć należy, że z inicjatywy Czerwonego Krzyża stawiano je także w skupiskach ludności niemieckiej poza granicami kraju (Buenos Aires, San Francisco, Baltimore). W sierpniu 1915 roku „Przybijanie Znaków Prawdy” („Nagelung von Wahrzeichen”) zostało uznane za część niemieckiego

Daru Narodowego na rzecz wojny. Środki ze sprzedaży gwoździ w trzech czwartych trafiły do Fundacji Narodowej, pozostała część była rozdysponowywana lokalnie, m.in. dla towarzystw dobroczynnych, co miało wzmacniać hojność. Najwięcej datków ofiarowali mieszkańcy Kolonii (ok. 1,5 mln marek). Zdaniem badaczy łącznie w Rzeszy Niemieckiej zebrano poprzez „Nagelung” około 10–12 mln marek.

Większość pomników miała formę posągu na cokole. Droższe gwoździe wbijano oczywiście w posągi, tańsze w ich podstawy. Najczęściej umieszczano na nich postacie z niemieckich legend, takie jak: Roland – w Aachen, Brandenburgu, Hanowerze, Magdeburgu, Mannheim, Nysie, Prenzlau i Bremie (tu wykonano replikę słynnej średniowiecznej rzeźby sprzed tamtejszego Ratusza), Zygryd w Wiesbaden, „Michel Mort” w Bad Kreuznach, „Koloński Żelazny Chłop” („Dä Kölsche Boor en Iser”) w Kolonii, Zygryd Smokobójca („Siegfried der Drachentöter”) w Königswinter, „Junggermane” w Münster, „Ratisbona” w Regensburgu, „Dzielnny Szwab” („Wackere Schwabe”) w Stuttgarcie, „Deutscher Michel” w Würzburgu.



Jedna ze szkolnych wycieczek przy kolońskim „Dä Kölsche Boor en Iser”, 1916 r.



„Eiserner Heinrich” w Brunzwicku, 1915 r.



„Ratisbona” w Regensburgu, 2019 r.



U-boat na angielskiej minie morskiej w Sylt, 1915 r.

Dużą grupę stanowiły też figury bohaterów historycznych, jak cesarze: Karol Wielki w Itzehoe, Fryderyk Barbarossa w Düsseldorfie, książęta: Henryk Lew w Brunzwiku, Henryk Żelazny w Szlezwiku i Oldenburgu, August von Goeben w Stade, Ruprecht Bawarski w Neuburgu nad Dunajem, generałowie: Martin Wilhelm von Woysch w Głubczycach i Alfred von Tirpitz w Wilhelmshaven oraz Wolf Isebrand w Meldorf, Hermann Billung w Lüneburgu i Hans Rauchbein w Schwäbisch Gmünd.

Wzorem wspomnianego wyżej Wiednia powtarzano też motyw „Żelaznego Obrońcy”. Pojawił się on m.in. w Aschaffenburgu, Eichstätt, Elberbergu, Frankfurcie nad Odrą, Hagen, Halberstadt, Kleve, Krośnie Odrzańskim, Królewcu, Lipsku, Offenbach nad Menem, Osnabrück, Poznaniu-Jeżycach, Zgorzelcu i Zwickau. Jego modyfikacjami były posągi „Bochumskiego kowala” w Bochum, „Żelaznego pacholka” („Isdern Keerl”) w Emden, „Kowala” w Essen, „Gwoździanego hrabiego” („Nagelgraf”) w Hamm, „Żelaznego Jana” w Heinsbergu, górnika w Wałbrzychu lub wizerunki żołnierzy w Bielefeld („Bielefeldzki piechur”), Bremervörde, Brzegu, Erfurcie, Landau i Melle.

Gwoździe nabijano też w figury świętych: Jerzego (Hamburg, Krefeld, Wrocław), Reinholda (Dortmund), Maurycego (Jüterbog), w archaniola Michała (Hamburg, Bad Homburg, Bad Pyrmont, Bad Tölz), w rzeźby zwierząt: orła we Frankfurcie nad Menem, lwów w Düsseldorfie, Ingolstadt i Kilonii, gryfa w Baden-Baden i Rostocku, kruka w Merseburgu, konia w Hanowerze.

Często wykorzystywano również tablice z herbami miast, godło Rzeszy, tarcze Czerwonego Krzyża, drzewa (Freiburg Bryzgowijski, „Dąb Arndta” w Bonn), drogowskazy

i różnorodne warianty wspomnianych motywów. Spośród najbardziej oryginalnych „gwoździanych pomników” wspomnieć należy drzwi ratusza w Opolu, drzwi kościołów w Gorzowie Wielkopolskim i Rawiczu, drewnianą armatę w Hanowerze, takież samolot w Gotha, łódzie podwodne w Sylt i Kilonii, a nawet torpeda w jednym z kilońskich kościołów i karabin maszynowy w Schneeren.

Najczęściej stosowano jednak wizerunek, który rozpoczął całą akcję – Krzyż Żelazny. Literatura przedmiotu odnotowuje 151 przypadków jego użycia na terenie Niemiec, w tym m.in. w Bydgoszczy, Fordonie, Gliwicach, Koszalinie, Paczkowie, Sycowie i Wielbarku koło Szczytna.

Z czasem podjęto próby nadania tego typu obiektom bardziej ujednoliconych form, odpowiadających oczywiście celom propagandowym, ale i w poczuciu artystycznego smaku. Zdarzały się bowiem realizacje przekraczające cienką linię oddzielającą sztukę od kiczu. Część opinii publicznej wahała się ponadto, czy stosownym jest wbijanie gwoździ w figury przedstawiające ludzi, w tym żyjących. Na ten ostatni aspekt zwrócił też uwagę berliński rzeźbiarz Gotthold Riegelmann (1864–1939) w pracy „Der Stock in Eisen”. Zalecał on raczej używanie formy Krzyża Żelaznego, elementów heraldycznych, miecza i „niemieckiego dębu”, w które należałoby wbijać 30–40 tys. gwoździ na metr kwadratowy.

Mimo wspomnianych wyżej wątpliwości co do nabijania gwoździami wizerunków osób żyjących, bohaterem wielu takich pomników stał się zwycięzca spod Tannenbergu, marszałek Paul von Hindenburg (1847–1934), zwany powszechnie Wyzwolicielem Wschodu. 4 września 1915 roku na Königsplatz w Berlinie kanclerz Rzeszy Theobald von Bethmann



Odstąpienie „Żelaznego Hindenburga” w Berlinie, 1915 r.



Pomnik Hindenburga w Grudziądzu, 1915 r.



„Tannenbergssäule” w Toruniu, 1915 r.

„Luftfahrerdank GmbH”, Fundacji Narodowej i magistratu miasta Berlina. Przybita doń tabliczka głosiła: „Żelazny Hindenburg w Berlinie. Przybijanie gwoździ codziennie. Nawet w zimnych porach roku. Jeśli pogoda dopisze, odbędzie się koncert wojskowy”. Mimo takiej zachęty i wbicia ok. 800 tys. gwoździ, do końca wojny nie zdołano pokryć nimi całej rzeźby. Akcja przyniosła co prawda ponad milion marek dochodu, jednak prowadząca ją „Luftfahrerdank” zbankrutowała, a darowizny przepadły.

Zauważyć należy, że ówczesna prasa polska przemilczała odsłonięcie tego pomnika.



THORN
Tannenbergssäule (Eisernes Kreuz)
genagelt am 29. August 1915,
dem 1. Jahrestage der Schlacht bei
Tannenberg

Dwa miesiące później „Gazeta Toruńska” pisała natomiast o oszustach, którzy wykorzystali patriotyczne uniesienie mieszkańców Berlina: „Obecnie odbywa się rozgałęziony i intratny handel gwoździami tzw. Hindenburga na przedmieściach zachodnich Berlina. Cały szereg kobiet i dziewczyn z opaską na lewym ramieniu sprzedaje osobom prywatnym żelazne tzw. gwoździe Hindenburga, które ofiarują po cenie 5 i 10 marek. Wobec tego komunikuje biuro „Eiserne Hindenburg” w gazetach niemieckich, że sprzedaje się tylko bony na gwoździe w składach berlińskich, a nigdy bezpośrednio ani też za pomocą pośredników nie sprzedawało i nie sprzedaje się gwoździ, bo te otrzymuje się dopiero na miejscu od żołnierzy. Wobec tego prosi biuro, by sprzedawczki fałszywych gwoździ Hindenburga oddawano w ręce policyi. Na czym to już ludzie nie robią „geszeftów”. Nawet na tak patryotycznym czynie, jak wbijanie żelaznych gwoździ w drewnianego Hindenburga”.

Obelisk ku czci Hindenburga w Starogardzie, 1915 r.

Euforia pomnikowa osiągnęła swój szczyt w drugiej połowie 1915 i na początku 1916 roku. Przedłużająca się wojna i rosnące jej ciężary także dla ludności cywilnej spowodowały, że akcja zaczęła powoli wygasać. Ostatnim tego typu pomnikiem był Krzyż Żelazny w Aerzen w Dolnej Saksonii odsłonięty w styczniu 1918 roku. Wraz z upadkiem monarchii Hohenzollernów zmieniły się warunki społeczne i „gwoździane pomniki” zaczęły masowo znikać z przestrzeni publicznej, czasami trafiając do szkół i muzeów. Nie oszczędzono nawet „Żelaznego Hindenburga”, którego pocięto na opał. Ocalono jedynie głowę marszałka, która trafiła do berlińskiego Muzeum Lotnictwa, gdzie została zniszczona w trakcie alianckiego bombardowania w czasie II wojny światowej.

Rejencja kwidzyńska mogła poszczycić się jedynie trzema „gwoździanymi pomnikami”. Wszystkie odsłonięto w sierpniu 1915 roku w pierwszą rocznicę zwycięstwa pod Tannenbergiem. Były to:

– pomnik Hindenburga w Grudziądzu

Posąg feldmarszałka w krzyżackim płaszczu, wspartego na tarczy z krzyżem zakonnym. Ustawiony przy staromiejskiej ul. Speichergasse, obok schodów wiodących na błonia nadwiślańskie. W 1920 roku, na mocy decyzji polskich władz miasta został zdemontowany i złożony w miejscowym muzeum. Wrócił na postument w czasie II wojny światowej, po której został ostatecznie zniszczony. Obecnie na jego miejscu znajduje się rzeźba polskiego ułana z dziewczyną w ramionach.

– „Tannenbergssäule” w Toruniu

Ośmioboczna kolumna z drewna sosnowego o wysokości ok. 4 m, usytuowana na Rynku Staromiejskim, wykonana według projektu inż. Hermanna Phlepsa z Gdańska. Posadowiona na niewysokim granitowym postumencie, wzmocniona żeliwnymi opaskami i zwieńczona Krzyżem Żelaznym, z jednej strony w kształcie z czasów I wojny światowej (z inicjałem „W” i datą 1914), z drugiej z lat „wojny wyzwolenczej” (z inicjałami „FW” i datą 1813). Posiadał miejsce na 3500 gwoździ żelaznych i 850 srebrnych. Po zapelnieniu ich wszystkich został na przełomie 1915/16 roku przeniesiony, prawdopodobnie na trawnik koło kościoła garnizonowego na Placu św. Katarzyny, gdzie upamiętniał żołnierzy poległych w I wojnie światowej.

– kolumna Hindenburga w Nowym Mieście Lubawskim

Prosta w formie, zwieńczona Krzyżem Żelaznym obwiedzionym srebrnymi gwoździami, ustawiona na szczycie wzniesienia w parku miejskim.

Najbliższy okolicom Malborka „gwoździany pomnik” znajdował się w Starogardzie Gdańskim na terenie ówczesnej rejencji gdańskiej. Był to drewniany obelisk ok. 3 metrowej wysokości ku czci Hindenburga i ofiar toczącej się wojny. Ozdobiony od frontu plakieta z podobizną marszałka, a po bokach cesarskimi monogramami i koronami wykonanymi z nabitych gwoździ. Odsłonięto go 29 sierpnia 1915 roku na Rynku Staromiejskim.

Dziś, w dobie pokoju, pamiątkowe gwoździe wbijane są jedynie na drzewce sztandarów różnych służb mundurowych. W Wojsku Polskim tradycja ta jest żywa już od roku 1767. Czcą się nimi głównie fundatorów tych znaków. We współczesnych Niemczech świętuje się też „Nagelbalken” – nabijanie gwoździ w drewnianą deskę przez gości weselnych, połączone oczywiście ze stosownymi datkami dla nowożeńców.

Wiesław Olszewski



DRZYMAŁA NIE BYŁ PIERWSZY – WSPOMNIENIE O RODZIE PEPLIŃSKICH

Czas po II wojnie światowej był okresem wielkich wędrówek ludów Europy, we wszystkich jej kierunkach, dla większości Polaków – na zachód. Niektórzy wybrali jednak drogę na przeciw wędrującego słońca. Tak wiosną 1948 roku w Nowym Dworze, wtedy jeszcze nie „Gdańskim”, znaleźli się młodzi małżonkowie Helena i Leon Kuchta. Dla niego był to kres długiej podróży z zachodu.

Urodził się w 1921 roku w Nowej Wsi Rzeczej, tuż za rogatkami Starogardu. Wcześniej osierociał, wychowywała go najstarsza siostra, dzieciństwo nie należało więc do najszczęśliwszych. W dorosłość wszedł, gdy Kociewie stanowiło część hitlerowskiej III Rzeszy. On i brat, jak wielu z tych ziem, trafił do armii Hitlera. Nie było to ich marzeniem, więc bez większych oporów jeden i drugi oddali się do alianckiej niewoli, a potem, jak tysiące im podobnych, znaleźli się w szeregach Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, a dokładnie w 1 Dywizji Pancerniej generała Maczka. Szlak bojowy zakończyli w Niemczech. Po wojnie trzeba było zdecydować co dalej. Brat został w Niemczech, ożenił się z Niemką i tam żył. Leon, zanim ruszył na wojnę, był już „po słowie” z Heleną Peplińską, dziewczyną z sąsiedniej wsi. Kochał, tęsknił, więc wrócił. W dniu 27 kwietnia 1948 roku w kościele parafialnym w Suminie odbył się ich ślub. Warunki na niebogatym zawsze, a teraz jeszcze zniszczonym przez wojnę, Kociewiu, nie zachęcały do pozostania. Razem więc już ruszyli dalej, na Żuławy. Wysiedli na ostatniej stacji i zostali. Z tą stacją i koleją związali się na całe życie, Leon był motorniczym wąskotorówki. Dostali niewielkie, ale własne mieszkanie. Na efekty radości i miłości nie trzeba było długo czekać, w grudniu na świat przyszła Danusia.

Z Danusią Adamską, bo o niej to mowa, poznaliśmy się dzięki zamilowaniu do turystyki, byliśmy w grupie inicjatywnej, która powołała Klub Turystyczny PTTK w Nowym Dworze Gdańskim w 2008 roku. Były potem rajdy, spływy kajakowe, wieczorami ogniska i rozmowy, często do późnej nocy. W ten sposób dowiedziałem się o jej dziadku Franciszku Peplińskim – Kaszubskim Drzymale.

Ród Peplińskich żył na Kaszubach, był to ród *gburów*, czyli bogatych gospodarzy. Ojciec Franciszka, Aleksander, odziedziczył po swych przodkach duże, dwustuhektarowe gospodarstwo w Skorzewie koło Kościerzyny. Oprócz pól i łąk był też las i jezioro Wieprznickie w okolicach wsi Fingerowa Huta. Zbudował też w Skorzewie cegielnię. Przez spłaty rodzinne i inne obciążenia gospodarstwo popadło jednak w znaczne zadłużenie, z którego trzeba było wybrnąć. Tu przekazy się różnią; według jednych jeden z dziesięciorga rodzeństwa, Franciszek, przejął w tym stanie majątek i większość długów spłacił, inna wersja to sprzedaż części ziemi i cegielni okolicznym Kaszubom jeszcze przez Aleksandra. Raczej prawdziwą jest druga wersja. Tak czy inaczej rodzina przeniosła się w 1899 roku na własną resztówkę

nad jeziorem w Fingerowej Hucie. Gospodarzem w dużym stopniu był już Franciszek Pepliński.

Urodził się 10 listopada 1878 r. w Skorzewie koło Kościerzyny jako jeden z dziewięciorga dzieci Aleksandra (1850–1911) i Łucji Marianny z domu Senger (1853–1930). Po ukończeniu czteroklasowej szkoły podstawowej pozostał przy rodzicach, pracował w gospodarstwie i rybaczył na rodzinnym jeziorze, do czego miał szczególną smykałkę. Już jako dwunastolatek zadziwiał starych rybaków swymi umiejętnościami i gorliwością. *A bandze z Franca jesz twardi rebok* – mawiali już wtedy okoliczni Kaszubi¹. Złowione ryby sprzedawali na targu w Kościerzynie i w Gdańsku. W tym czasie wynajmowali mieszkanie u sąsiada, Franciszka Plichty. W 1903 roku wystąpili do władz pruskich w powiecie o zezwolenie na wybudowanie domu, jednak



Franciszek Pepliński ok. 1905 roku,
fot. archiwum rodziny

z powodu wprowadzonej w 1904 roku, represyjnej wobec Polaków, nowelizacji ustawy osadniczej otrzymali odpowiedź odmowną, pod pretekstem, że nie da się utrzymać rodziny z tak małego gospodarstwa, chociaż w tym czasie posiadali jeszcze około 100 hektarów ziemi i lasu. *Pepliński, (...) mieszka tuż nad brzegiem jeziora jako właściciel 150 mórg ziemi, w których 100 mórg boru. Posiadał on jeszcze przed dwoma laty 400 mórg, i wtenczas starał się o konsent na budowanie osady [domu]. Lecz wydział powiatowy, niemal wyłącznie składający się z Niemców, uznał w swej niezrównanej nad Polakami pieczołowitości, że nasz Pepliński nie zdola się wyżywić na tej ziemi, i, aby go od niechybnej śmierci głodowej uchronić, odmówił mu pozwolenia na wybudowanie osady.* – Ironizował w artykule „Kultura Pruska na Kaszubach”² Aleksander Majkowski – kaszubski pisarz, dziennikarz, poeta i dramaturg, przywódca Towarzystwa Młodokaszubów, prezes Zrzeszenia Regionalnego Kaszubów, działacz społeczny, kulturalny, polityczny, doktor medycyny i lekarz.

Nieskutecznymi okazały się sześćoletnie starania w kościerskiej ladturze, trzeba było znaleźć inne rozwiązanie. Tu przekazy również są rozbieżne. *Dowiedziały się o jego tarapatkach siostry zakonne w Kościerzynie – pewnego razu gdy dostarczył im większą ilość złowionych przez siebie ryb, zaofiarowały upartemu Kaszubie duży wóz cygański, który stał niewykorzystany. Pepliński przyjął dar z wdzięcznością i nie namyślając się wiele zamieszkał z rodziną w wozie.* – Pisał w „Dzienniku Bałtyckim”, we wspomnieniowym artykule „Kaszubski Drzymała”, Rajmund Bolduan, kaszubski dziennikarz i pisarz.

Nieco inaczej przedstawia to Aleksander Majkowski we wspomnianym już tu tekście. Odwiedził Peplińskich w 1907 roku, dwa lata już mieszkali w swym dziwnym domu, tak to, co zobaczył, opisał: *Więc na czterech pocziwych kotach zbudował sobie najprzód dom. Od kół aż do komin, albo raczej gołębnika, jak zobaczymy, wszystko jest jego robota. Drzewo wziął z własnego boru, półtoracalowe deski także są z drzewa własnego, i tak stanęła chatupa 3 i pół*

¹ KASZĘBĚ Dwutygodnik Kaszubski, Rok II Nr 22(29) Gdańsk 16–30 XI 1958 r.

² Tygodnik Ilustrowany Nr 43, 1907 r. Warszawa.



Franciszek Pepliński w roku 1910.
 fot. archiwum rodziny.

metra długa, 3 metry 10 centymetrów szeroka i tyleż wysoka. Ażeby troskliwej władzy odjąć ostatni cień wątpienia, jakoby dom ten nie był rzeczywiście ruchomym, nie braknie i dyszla, za który oczywiście będzie mógł Pepliński konie założyć, kiedy wyjdzie takie prawo, że Polacy całkiem ze swej ziemi muszą wyruszyć³.

Dyszal potrzebnym był i na bieżąco: zaskoczona przemysłnością gburą władze zabroniły parkowania wozu dłużej niż osiem dni, był więc wóz przetaczany na inne miejsce. Tak jeździł nim Pepliński wokół własnej stodoły przez trzy lata, potęgując wściekłość i nienawiść pruskich urzędników oraz niemieckich sąsiadów. W czwartym roku walki wytoczyli Prusacy proces Frankowi, oskarżyli go o kłusownictwo, znali jego również myśliwskie talenty. Najpierw podrzucali mu usidlone zające czy sarny, za co płacił kary, potem postawili przed sądem. Mimo, że czterdzie-

stu świadków potwierdzało jego niewinność, skazany został w 1909 roku na rok i cztery miesiące aresztu. Ponownie oskarżono go o kłusownictwo w 1911 roku i skazano na trzy lata więzienia, które odsiedział w Gdańsku. W tym samym roku zmarł jego ojciec Aleksander, a rodzina zmuszona została do opuszczenia domu-wozu i zamieszkania u sąsiadów.

Po wybuchu wielkiej wojny Franciszek został 13 sierpnia 1914 roku powołany do armii pruskiej, trafił na front wschodni, do Brześcia Litewskiego. Wrócił 19 listopada 1918 roku, na szczęście cały i zdrowy⁴. Gospodarstwo jednak zastał zrujnowane, prawie nie było czego ratować, sprzedał ziemię wraz z jeziorem i przeprowadził się do Kalisk Kościerskich. Tu zakłada rodzinę, 25 listopada 1919 roku poślubił Martę Cybulską, wdowę po Augustynie Zaborowskim. W Kaliskach przychodzą na świat ich cztery córki. Następnie rodzina przeniosła się do miejscowości Kloc koło Dziemian. Tu w 1928 roku urodził się najmłodszy potomek, syn Józef. W 1929 roku, za walkę z zaborcą, otrzymał od państwa polskiego parcelę w Rokocinie koło Starogardu Gdańskiego. Składała się na nią 12 hektarów ziemi, 6 hektarów łąk i jezioro o powierzchni ok. 13 hektarów oraz mieszkanie na terenie dawnego majątku i stary dom do rozbiórki⁵. Gospodarując na ziemi i rybacząc, zaczął wreszcie wieść spokojny żywot. Do czasu jednak, jak się niedługo okazało.

Niemcy nie zapomnieli mu jego zmagania z germanizacją. Po wybuchu wojny w 1939 roku spotkały go kolejne szykany – odebrali mu gospodarstwo, przejął je Niemiec Sznajder⁶. Franciszek spędził czas okupacji tułając się po niemieckich folwarkach jako robotnik rolny albo rybak. Po wojnie powrócił na swoje gospodarstwo, czasy nie były jednak łatwe. W początkach 1958 roku Klub Młodej Inteligencji Kaszubskiej przy Zrzeszeniu Kaszubskim w Kartuzach podjął działania mające na celu uzyskanie wsparcia państwa dla bohaterskiego

³ Ibidem.

⁴ KASZĘBĚ Dwutygodnik Kaszubski, Rok II Nr 22(29) Gdańsk 16–30 XI 1958 R.

⁵ Wiesława Walder, Księga potomków Franciszka Andrzeja Peplińskiego, 25.06.2009 r. maszynopis w archiwum rodziny.

⁶ KURENDA, Miesięcznik Informacyjny Gminy Starogard Gdański, nr 5(18) maj 1999 r.

syna ziemi kościerskiej. Nie dożył jednak spodziewanej pomocy, zmarł w zapomnieniu i nędzy 20 października 1958 roku w wieku osiemdziesięciu lat, spoczął na cmentarzu parafialnym w Suminie.

Umierając, Franciszek Pepliński, Kaszubski Drzymała, przypomniał o sobie: pojawiły się nekrologi i notki biograficzne w prasie lokalnej, teksty wspomnieniowe w czasopismach regionalnych. Pogrzeb był wielką manifestacją patriotyczną.

Zdecydowanie więcej pisano o Peplińskim w okresie międzywojennym. Wojna propagandowa z Niemcami, a zwłaszcza z III Rzeszą, sprzyjała nagłaśnianiu pruskich bestialstw wobec Polaków. Celowała w tym zwłaszcza wydawana przez Wiktora Kulerskiego w latach 1894–1939 „Gazeta Grudziądzka”. Sylwetkę bohatera przedstawił szerzej społeczeństwu polskiemu Aleksander Majkowski, wspomnianym tu artykułem w warszawskim „Tygodniku Ilustrowanym”. *Sprawa ruchomego domu chłopca Drzymały stała się głośna po całej Europie, jako jeden z tylu dowodów kulturalnego przenikania ziem polskich przez prusactwo i prusaczyznę! Warto atoli podnieść, że pomysł Drzymały, został już dawniej, bo przed dwoma laty, w czyn wprowadzony na Kaszubach. Jan Pepliński [winno być Aleksander], tak brzmi nazwa przemysłnego Kaszuby, jest gburem (tak zwą u nas gospodarza) i rybakiem zarazem, a przeczimował już dwa razy w tej swojej chałupie, na czterech kołach spoczywającej –* pisał po wizycie u Peplińskich w 1907 roku.

Michał Drzymała faktycznie nie był pierwszym, który podjął tę nierówną walkę z wrogą administracją, jego jednak przypadek okazał się szczególnie głośny, stał się symbolem. Przyczynili się do tego i wielcy naszej literatury, los Drzymały znalazł swe odbicie w dziełach Marii Konopnickiej, Henryka Sienkiewicza i Bolesława Prusa, a spoza Polską m.in. u Lewa Tołstoja. „Drzymalitów” – jak określa się bojowników w podobny sposób walczących z bezwzględną germanizacją, było wielu: Józef Stopa z Pinczyna koło Zblewa⁷, *Śląski Drzymała* – Franciszek Chrószcz, Augustyn Pawelczyk spod Kartuz, Kowalski z Piwnic pod Toruniem, koło Świecia – Paweł Gackowski, Antoni Certa z miejscowości Zezuj w powiecie ostródzkim i inni⁸.

W kolejnych latach podjęto inicjatywy upamiętnienia bojownika o polskość Pomorza. We wrześniu 1967 roku szkoła podstawowa w Rokicinie przyjęła imię Franciszka Peplińskiego – *patrioty, człowieka*



Rodzina Peplińskich z dr. Aleksandrem Majkowskim siedzi przed wozem nad J. Wieprznickim.

⁷ Zapiski Kociewskie, Towarzystwo Miłośników Ziemi Kociewskiej, 1/95, Starogard Gdański, 1995 r.

⁸ <https://pl.wikipedia.org/wiki/Drzymalici>.

*bliskiego tej ziemi*⁹. Podobna uroczystość miała miejsce w szkole w Cząstkowie koło Kościerzyny. Jest też Franciszek Pepliński patronem głównych ulic w Skorzewie i Rokicinie. Z inicjatywy Stowarzyszenia Przyjaciół Skorzewa, w północno-zachodniej części Nadleśnictwa Kościerzyna, powstał rowerowy Szlak Kaszubskich Drzymalitów, w hołdzie Aleksandrowi i Franciszkowi Peplińskim oraz wielu, czasami szerzej nieznanym, kaszubskim drzymalitom.

Kolejne pokolenie Peplińskich do dziś gospodaruje w Rokicinie, inni potomkowie zamieszkują wiele miejscowości bliżej lub dalej od rodzinnego gniazda. Rodzina, jak przystało na Kaszubów, jest liczna. W 2009 roku Wiesława Wader, badaczka rodu, doliczyła się 132 żyjących członków rodziny, również w Nowym Dworze Gdańskim, gdzie mieszka wnuczka Franciszka – Danuta i część jej rodzeństwa. Danusia – emerytka, ciągle aktywna turystka, jak podkreśla; najstarsza członkini tutejszego klubu PTTK, cały czas uczestniczy w rajdach, spływach kajakowych, również zimowych, i także na niełatwych rzekach Kaszub, skąd wywodzi się jej ród.

⁹ KURENDA, Miesięcznik Informacyjny Gminy Starogard Gdański, nr 5(18) maj 1999 r.

Leszek Sarnowski



PORZĄDKOWANIE PAMIĘCI

Pamięć to jedna z najważniejszych funkcji naszego mózgu. Bez pamięci nie wiedzielibyśmy kim jesteśmy i skąd pochodzimy. Pamięć pozwala człowiekowi samodzielnie funkcjonować i jednocześnie jest strażnikiem naszej tożsamości. Pamięć ważna jest także w przestrzeni publicznej.

PAMIĘĆ OBECNOŚCI

To w ramach pielęgnowania pamięci uczniowie z Zespołu Szkół im. Cypriana Kamila Norwida w Dzierzgoniu porządkowali teren dawnego cmentarza żydowskiego w Dzierzgoniu, jedyne cmentarza w dawnym województwie elbląskim, który przetrwał w szczątkowej formie do dziś.

Znajduje się on przy ul. Słonecznej, przy drodze na Mikołajki Pomorskie i należy do najstarszych tego typu obiektów w naszym regionie. Założony został w XVIII w. i na początku służył jako miejsce pochówku również dla społeczności żydowskich z Malborka, Kwidzyna, Sztumu i Elbląga. Od początku XX w. społeczność żydowska stopniowo opuszczała miasto, szczególnie w czasie nasilenia represji hitlerowskich, a z upływem czasu cmentarz ulegał daleko posuniętej destrukcji. Mimo tego zachowało się na nim kilkadziesiąt nagrobków w formie charakterystycznych macew. Kilkanaście macew, których nie było w konserwatorskich rejestrach, udało się odkryć podczas porządkowania terenu, gdy wspólnie z dzierzgońską młodzieżą kilka lat temu po raz pierwszy od wielu lat porządkowaliśmy żydowski cmentarz przy merytorycznym wsparciu Krzysztofa Bielawskiego z Muzeum Polin. To ważna lekcja nie tylko historii, ale właśnie pamięci i człowieczeństwa.

Po wojnie spośród ludności żydowskiej na ziemi sztumskiej nie został nikt. Cmentarz dzierzgoński, poza archiwalnymi dokumentami, jest dziś jedynym materialnym świadectwem ich obecności. Znamy liczbę żydowskich ofiar ostatniej wojny. Sześć milionów zamordowanych Żydów przekracza wyobraźnię. Do tych wielkich liczb niestety się przyzwyczailiśmy i nie na każdym robią wrażenie, czego dowodem są choćby anachroniczne dziś przykłady antysemickich zachowań. Na cmentarzu mamy jednak konkretne nazwiska, tych, którzy przed laty tworzyli lokalną wspólnotę polsko-niemiecko-żydowską. Każde z nich to osobna historia rodzinna. Historia obecności. Są tu takie nazwiska jak Tamre Therese Berendt z domu Moses, Dorothea Rosenthal, Markus Ksaver Hamerstein, Hirsch Jontofsohn, Josephine Kaminski z domu Jantafsohn, Emmy Hammerstein

z domu Simonetty, Julius Cohn, Samuela Vaserstein, Ernestine Bluhm z domu Pattlizer, Barbara Jitzing, Samuel Laserstein, Sara Sandman czy Leo Warszawski.

Cmentarz w Dzierzgoniu to jedyne ślady żydowskiej obecności na ziemi sztumskiej. Trudno tu przytoczyć smutną elegię Antoniego Słonimskiego o tym, że na ma już żydowskich miasteczek, bo na naszym terenie nigdy ich nie było. Mieszkali tu Żydzi zasymilowani, obywatele państwa niemieckiego, wszak innego w tym czasie tu nie było. Byli częścią lokalnej społeczności, żywiąc nadzieję, że są bezpieczni i nic złego ich tu spotkać nie może, ich, niemieckich patriotów. Żyli i modlili się obok innych, w swoich domach i świątyniach. W Sztumie synagoga, kościół ewangelicki i katolicki znajdowały się w promieniu stu metrów od siebie. Mijali się w drodze na wieczorne nabożeństwa. Spotykali się na sztumskich i dzierzgońskich ulicach, targowiskach, w swoich sklepach czy w kawiarniach, o których pisze Janusz Ryszkowski. Dziś za Słonimskim można jednak dodać, że

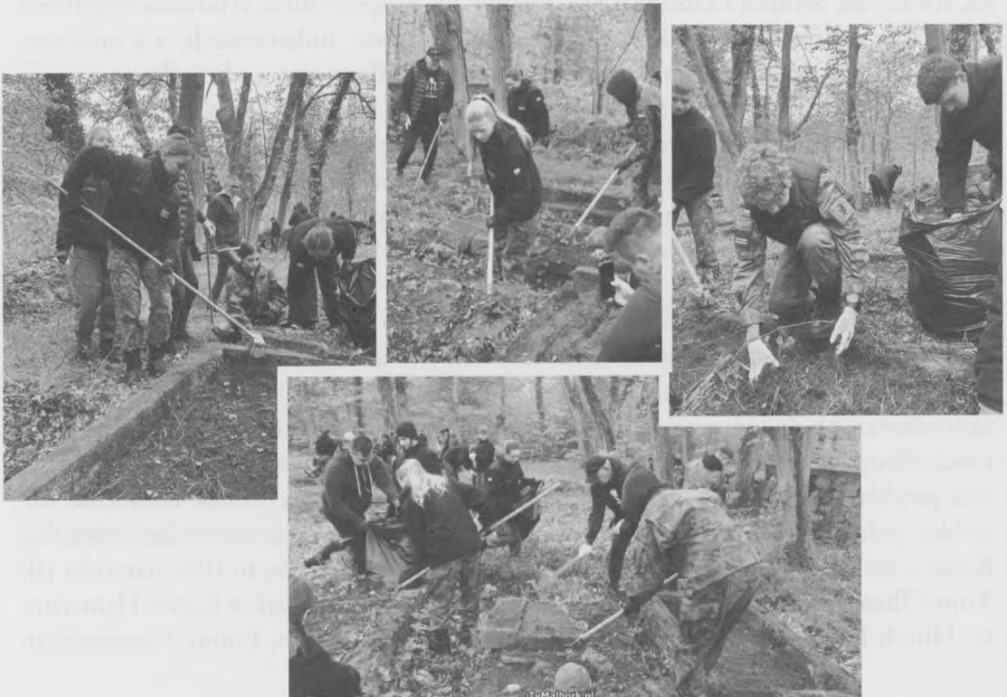
»...

Próżno byś szukał w oknach zapalonych świeczek
I śpiewu nasłuchiwał z drewnianej bóżnicy.

...

Błyszczą tu księżyc jeden, chłodny, blady, obcy,
Już za miastem na szosie, gdy noc się rozpała,
Krewni moi żydowscy, poetyczni chłopcy,
Nie odnajdą dwu złotych księżyców Chagalla”.

Dlatego ważna jest pamięć i pielęgnowanie żydowskiej obecności zamkniętej w ostatnich kamiennych macewach. To tak niewiele.



PAMIĘĆ ZAGŁADY

W rocznicę wyzwolenia obozu koncentracyjnego Auschwitz 27 stycznia 1945 obchodzimy również Międzynarodowy Dzień Pamięci o Ofiarach Holokaustu. Także w powiecie sztumskim jest o kim PAMIĘTAĆ. Żydzi mieszkali na naszym terenie od XVIII wieku i stanowili od 10 do 2% mieszkańców. W 1939 roku nie zostało ich wielu – zaledwie kilka osób w gminie Dzierżoń i Sztum. Część zdążyła wyjechać do USA, Kanady, Brazylii, a nawet Australii. Ich potomkowie żyją do dziś. Ci, którzy trafili do Niemiec, nie uniknęli zagłady.

Luis Salomon miał przed wojną sklep odzieżowy w Sztumie. W obozie koncentracyjnym w Teresinie zginęli Jego dwaj synowie – Siegfried i Aleksander. Dziadkowie Daniela Kestera z USA, którzy mieszkali w Sztumie i okolicy – Edith i Hans Littmann – zginęli w Auschwitz. Z całej rodziny Eisenstaedt (ze Sztumu, Skarszewa, Tczewa, Pucka) w Auschwitz zamordowano ok. 60 osób. Nanny Krombach (z domu Hirschberg), żona kupca Juliusa Krombacha ze Sztumu, szykowała się już do wyjazdu do Palestyny (wcześniej wyjechała tam część jej rodziny), ale nie zdążyła. Została deportowana najpierw do obozu koncentracyjnego w Terezynie, a potem do Treblinki, gdzie została zamordowana.

Sophie Rosenberg z Ryjewa (ówczesny powiat sztumski), jej córka Ernestine oraz syn Gustaw zostali zamordowani w obozie Stutthof. Margot Seeliger z Mikołajek Pomorskich została zamordowana w Auschwitz. Podobny los spotkał Adolfa i Huldę Seeliger i ich dwoje dzieci, Artura i Ernę. Johanna Herzog, z domu Seeliger, także z Mikołajek Pomorskich, została zamordowana w obozie koncentracyjnym Salaspils na Łotwie. Salaspils (dawny Kircholm) to niewielkie miasto niedaleko Rygi na Łotwie. W 1941 roku powstał tam największy w krajach bałtyckich, nazistowski obóz koncentracyjny. Do jego budowy skierowano początkowo około tysiąca Żydów, a także sowieckich więźniów wojennych. W okresie między rokiem 1941 a 1945 w obozie mieszkali, pracowali i umierali głównie Żydzi z krajów nadbałtyckich oraz więźniowie polityczni. Przez obóz przewinęło się w sumie 23 tys. osób. Oficjalna liczba żydowskich ofiar szacowana jest na ok. 3 tysiące.



Pomnik w dawnym obozie koncentracyjnym Salaspils w Łotwie, fot. internet

Tutaj trafił i został zamordowany Albert Rosenberg, brat Heleny Zimmak z Postolina pod Sztumem. Helena Zimmak i jej mąż Otto wyjechali z ziemi sztumskiej do Niemiec, kiedy zaczęły się represje hitlerowskie w połowie lat 30-tych. Niestety, dosięgły ich nazistowskie prześladowania. Trafili również do obozu na Łotwie i tam zostali zamordowani. Taki sam los spotkał żonę ich syna Elbę Zimmak i ich ciotkę Berthę Wartelski.

Mieszkali tu od kilku stuleci. Mieli swoje domy, świątynie, sklepy, hotele, warsztaty, groby bliskich. Chcieli tu żyć i umierać, jak każdy. To nienawiść zburzyła ich codzienny świat.



W pierwszym rządzie od lewej Johanna, Sophie, Ernestine Rosenberg, u góry od lewej Gustav Rosenberg, Helen i Otto Zimmak, fot. L. Zimmak



Else i Leonhard Zimmak, fot. L. Zimmak



Nanny i Julius Krombach, fot. archiwum rodzinne



Otto i Helena Zimmak, fot. L. Zimmak

To nienawiść, wspierana przez państwowo-partyjną machinę, kazała młodym Niemcom spalić sztumską synagogę, niszczyć żydowskie sklepy i wyrzucać na bruk swoich dotychczasowych sąsiadów. To w końcu nienawiść ludzi, z Bogiem na żołnierskich pasach, gromadziła mojżeszowych potomków w gettach, ładowała do bydłowych wagonów, za kolczaste druty obozowej beznadziei, głodowej śmierci czy krematoryjnych pieców.

Jacek Kaczmarski, wpatrując się w grafikę Brunona Schulza, wiele lat po wojnie, tak śpiewał o spalonej synagodze i dramacie żydowskiej beznadziei, bo pomocy znikąd i nawet Niebo milczy:

„Płonie synagoga! Trzask i krzyk gardłowy!
 Belki w żar się sypią, iskry w górę lecą!
 Tam, w środku Żyd został! Jeszcze widać ręce!
 Już czarne! O, Jehowo, za co? O, Jehowo?!”

PRZECIW ANTYPAMIĘCI I NIENAWIŚCI

Współczesność pokazuje, że doświadczenie Zagłady nie przynosi żadnej nauki ani refleksji. W miejsce debaty przestrzeń publiczną zapełnia agresja, nienawiść, antysemityzm, rasizm i ksenofobia. A wydawało się, że tyle już napisano ważnych publikacji na temat antysemityzmu, stereotypów i źródeł faszyzmu, że jest nadzieja. Nic bardziej mylnego.

W ubiegłym roku w budynku polskiego sejmu doszło do skandalicznej sytuacji. Poseł Konfederacji Grzegorz Braun zniszczył gaśnicą żydowskie świece, które w sejmowym holu tradycyjnie od wielu lat są zapalane z okazji święta Chanuki (Święto Świateł). Niemal w tym samym czasie pojawiła się równie skandaliczna wypowiedź aktora Jana Pietrzaka, że dla imigrantów możemy przeznaczyć dawne obozy koncentracyjne. Pojawiły się oczywiście słowa oburzenia niektórych elit politycznych i na tym, wydawało się, koniec. Tymczasem wspomniany poseł wybierany jest do europarlamentu, a gaśnice z jego autografem licytowane są w wirtualnej przestrzeni. Stwierdzenie, że jest mi wstyd za moich rodaków, to mało. Tacy ludzie powinni być wykluczani z życia politycznego, a za rasistowskie zachowania napiętnowani i ukarani.

Te czyny i słowa stały się pretekstem do rozpoczęcia dyskusji w szkołach ponadpodstawowych powiatu sztumskiego na temat nienawiści, rasizmu i antysemityzmu, których najczęstszą przyczyną, poza ideologicznym zaciętrzewieniem, są stereotypy i brak wiedzy. Dlatego warto zagłębić się w historię, by zweryfikować swoją wiedzę. Antysemityzm nie jest takim samym poglądem jak inne. Nie ma żadnej wartości poznawczej, moralnej czy intelektualnej. Jest po prostu uprzedzeniem o podłożu religijnym, ukształtowanym w średniowieczu i trwającym do dziś, mimo hekatombi Holokaustu.



Lekcja o antysemityzmie w Zespole Szkół Zawodowych w Barlewiczkach, fot. archiwum



Lekcja o antysemityzmie w Zespole Szkół w Dzierzgoniu, fot. archiwum tustum.pl

Dziś nadal warto rozmawiać o relacjach judaizmu i chrześcijaństwa (jak to czyni choćby arcybiskup Grzegorz Ryś w książce „Chrześcijanie wobec Żydów”), o przyczynach antysemityzmu, o mowie nienawiści w każdej formie i miejscu, o potrzebie reagowania na brak szacunku dla drugiego człowieka, dla innych wyznań i mniejszości. Warto też pamiętać i bez końca powtarzać XI Przykazanie, które sformułował Marian Turcki (więzień obozu zagłady, który przeżył): „NIE BĄDŹ OBOJĘTNY”

Wierzę w młodych ludzi, z którymi udało mi się rozmawiać, że będą odporni na zło antysemityzmu, rasizmu i ksenofobii, bo są otwarci, tolerancyjni i żądni wiedzy. Kiedy na koniec moich lekcji o antysemityzmie poprosiłem ich o napisanie kilku słów o tym, co można by zrobić, aby tolerancja nie była tylko pustym słowem, to napisali: zmienić poglądy i patrzeć na osobę, która jest pochodzenia żydowskiego jak na osobę równą sobie, szanowanie drugiego człowieka niezależnie od wyznania, rozmawiać więcej na te tematy, edukacja społeczeństwa, tolerancja. Niby proste.

...

Kwestia antysemityzmu została tu ujęta w formie przyczynkarskiej i nie ujmuje całości tematu. Piszemy tu przede wszystkim o historii lokalnej w kontekście ogólnopolskim. Osobną kwestią, ważną współcześnie, jest dziś polityka państwa Izrael i relacje izraelsko-palestyńskie, tak głośnie szczególnie w kontekście toczącej się wojny, a także protestów w wielu krajach europejskich na rzecz samostanowienia Palestyny. Mam nadzieję, że wrócimy do tematu, by wyjaśnić i te skomplikowane meandry międzynarodowej polityki, tym bardziej, że one dziś rzutują na przejawy współczesnego antysemityzmu.

Piotr Podlewski



MOJE WĘDRÓWKI PO DOLNYM POWIŚLU I OKOLICY

BUKOWO I FOLWARK NA WYSPIE

Są miejsca, które lata temu przestały tętnić życiem. Zostały wymazane z map i pamięci ludzi przybyłych tu po 1945 roku.

Można napisać, że zapadły się pod ziemię, jednak zawsze zostaje ślad naszego funkcjonowania i taki ślad dziś chciałem odszukać.

Nowa Wieś Szlachecka (Adl. Neudorf) była folwarkiem funkcjonującym jako element majątku w Bukowie (Buchwalde).

Bukowo (pow. sztumski) zawsze mnie interesowało ze względu na swoje położenie. To tutaj przebiega granica pomiędzy pagórkami Dolnego Powiśla i rozległymi, płaskimi Żuławami.

Przy samym majątku płynęła niegdyś rzeka wpadające przed wiekami do wód Zalewu Wiślanego, zatoki Bałtyku sięgającej jeszcze we wczesnym średniowieczu do dzisiejszego Bukowa. Nad samym brzegiem Zatoki były liczne wysepki, co doskonale pokazuje Lidar. Dziś to polne pagórki, a po wodzie od stuleci nie ma już tutaj śladu. Zalew Wiślany został stąd wyparty przez nanosy rzeki Nogat i meliorację.

Po rzece pozostał wąwóz z trzech stron otaczający wzniesienie, na którym w średniowieczu wznosiła się siedziba rycerska. Idealne miejsce do zarządzania okolicą oraz do obrony.

Polecam przejść się wiosną dnem wąwozu. Kilometry spacer zaczyna się od stawów, leżących



Lidar: 1 – dawna wyspa przybrzeżna. Miejsce lokalizacji późniejszego folwarku Nowa Wieś Szlachecka; 2 – teren zalany dawniej wodami Zalewu Wiślanego (dziś Żuławy); 3 – ujście rzeki płynącej przed wiekami wąwozem



Autor artykułu nad dawnym, południowym brzegiem Zalewu Wiślanego

u stóp wzniesienia, pamiętających jeszcze dawnych właścicieli.

Na północ od Bukowa, na pagórku w Nowej Wsi Szlacheckiej, założono folwark.

Pagórek to pradawna wysepka, która stulecia temu oddalona była kilkanaście metrów od linii brzegowej Zalewu Wiślanego.

Dziś stojąc na jej szczycie, patrząc w kierunku Żuław i mając za plecami wzniesienia Dolnego Powiśla, mogłem wyobrazić sobie obrazek podobny do tego, jaki oglądamy dziś stojąc na brzegu

w Tolkmicku, Suchaczu, Fromborku lub Kadynach. Tak tu kiedyś było.

Ciekawe czy pracownicy folwarku zdawali sobie z tego sprawę?

Po folwarku pozostało tylko porośnięte gruzowisko i walające się cegły. Wokół stały jeszcze 3–4 gospodarstwa. Nic po nich nie pozostało. Żeby dostać się do tego miejsca, trzeba troszkę pomaszerować, ale warto to zrobić ze względu na krajobraz i piękną przestrzeń wokół.

Po majątku w Bukowie też prawie nic nie pozostało. Resztki fundamentu budynku gospodarczego z piwniczką i to wszystko.

Analizując mapę międzywojenną, można stwierdzić, że dwór z ogrodem stał w południowej części założenia. Miał liczne dobudówki, zapewne ganki i oranżerię. Od północy, zachodu i wschodu wznosiły się budynki inwentarsko-gospodarcze połączone murem.

Na zachód od Bukowa była też cegielnia, po której nie został żaden ślad. Rozebrano ją na cegły.

Przez jedną z bram w 1889 roku wjechał do majątku mistrz Ernesto Michał Andriolli, rysownik, ilustrator oraz malarz.

Pisał:

„Już niedaleko: chaty, wzgórze, dwie kępy drzew, zwrot w prawo – brama: wjeżdżamy w podwórze i w progu niedużego murowanego dworu widzimy panią domu”.

Włóściami zarządzał wtedy Jan Donimirski, członek Towarzystwa Naukowego w Toruniu, utrzymujący kontakty m.in. z Henrykiem Sienkiewiczem i Oskarem Kolbergiem.

Jak wyglądały dawne dzieje Bukowa (Buchwaldu)?

W 1303 roku dostali te ziemie od Krzyżaków, wedle wystawionego w Dzierzgoniu przywileju, potomkowie Prusa o imieniu Kropolto. Dziedziczyli je po mieczu i po kądzieli. Bukowo nazywano wtedy Rudithen, a kolejną wieś, dzisiejsze Telkvice – Azmiten.

Jacy rycerze urzędowali tu w średniowieczu?

Na pewno był nim Michał z Buchwaldu, któremu w 1454 roku Krzyżacy zabrali włości i przekazali Fritzowi Lockau, wynagradzając mu szkody, które poniósł. Zaczynała się wtedy wojna 13-letnia z Polską, więc czas był gorący. Fritz po wojnie musiał się spakować i opuścić Bukowo, gdyż ziemie te przeszły po II pokoju toruńskim pod panowanie Jagiellonów. Było więc kogo wynagradzać za zasługi.

W czasach szabli i kontusza, czyli w XVI i XVII wieku, włości należały do rodzin: Gablencz, Balińskich, w XVIII wieku do Wężyków i Szydłowieckich, potem Krzysztofa Unruha, generała-majora wojsk saskich, który w 1744 roku odsprzedał je zięciom wiceekonomu malborskiego Jana Kazimierza Mullera. Jednym z zięciów był Jan Grąbczewski, ławnik ziemski tczewski. W 1772 roku jego dzieci złożyły przysięgę hołdowniczą z posiadanych dóbr królowi pruskiemu tuż po I rozbiorze.

W 1804 roku dobra buchwaldzkie znalazły się w rękach Donimirskich, którzy pozostali tu do połowy XX wieku.

W 1928 roku majątek Bukowo i przynależny do niego folwark Nowa Wieś Szlachecka miał 578 ha powierzchni pól uprawnych, łąk i lasów. Hodowano tutaj konie, krowy oraz świnie.

Ten świat już nie istnieje, podobnie jak majątek Buchwalde. Nam pozostały historie, wyobrażenia oraz... wąwóz.

TELKWICE, CZYLI CIĄG DAJSZY OPOWIEŚCI Z REJONU BUKOWA (POW. SZTUMSKI)

Do Bukowa wybrałem się odnaleźć pozostałości po folwarku Nowa Wieś Szlachecka oraz opisać miejsce ujścia nieistniejącej już rzeki do Zalewu Wiślanego, którego południowa linia brzegowa dochodziła przed wiekami do miejsca w którym założono później folwark.

Nie sposób jednak ominąć w tej historii miejscowości Telkwice, powiązanej z majątkiem w Bukowie.

Ruszyłem więc z Bukowa drogą prowadzącą wprost pod neogotycki dwór, który ocalał, jednak czasy świetności ma już dawno za sobą. Dziś dawne włości otacza płot, więc ciężko o dobre zdjęcia.

Zatrzymałem się więc przed bramą i wszedłem na podwórze porozmawiać z gospodarzami.

Obecnie na terenie majątku funkcjonuje prywatne gospodarstwo rolne. Sam dwór jest opuszczony.

Młody nastolatek czyszczący właśnie którąś z maszyn, wskazał mi jeden z budynków, w którym znalazłem gospodarza miejsca. Odbyliśmy krótką rozmowę. Gospodarz podpytywał o historię dawnych włości, opowiedział



Dwór w Telkwicach, stan dzisiejszy, fot. archiwum

o wąwozie za dworem, który łączy się z tym w Bukowie, jednak nie chciał, żebym fotografował budynki dworu, co też uszanowałem. W opisie umieściłem więc zdjęcia archiwalne. Kulturalnie pożegnaliśmy się przy bramie i pojechałem.



Dwór w Telkwicach w czasach międzywojennych, fot. ze zbiorów własnych Agnieszki Kulak

Korciło mnie co prawda, żeby zejść do wąwozu, jednak musiałbym przejść bezpośrednio przez pole. Sprawdzałem różne opcje jeżdżąc wokół wsi, ale nie znalazłem dobrego dojazdu i nie chciałem też robić z siebie intruza. Może spróbuję innym razem, po żniwach.

Nie wiadomo, kto zbudował dwór w Telkwicach, ani kto go przebudował w duchu neogotyckim. Neogotyck to styl w architekturze naśladowujący sztukę i architekturę gotycką.

Patrząc jednak na datowanie i styl, prawdopodobnie przebudowę zrobili Donimirscy w 2 poł. XIX wieku.

Spod obniżonego od strony zachodniej dachu wyłaniają się resztki detali architektonicznych, więc co nieco można odtworzyć.

W elewacji frontowej dworu umieszczono ganek, a za nim widać pozostałości po ośmiobocznych ozdobnych wieżyczkach zwieńczonych zapewne dawniej krenelażem na wzór średniowiecznych zamków. Dwór przykryty jest dwuspadowym dachem. Prawdziwym rarytatem jest pozostałość wieży dostawianej od południa, mającej dziś jedno piętro. Pierwotnie musiała być wyższa i na wzór innych dworów z tego okresu także posiadała krenelaż. Taka fanaberia i zamiłowanie do średniowiecznych zamków. Pomiędzy budynkiem a wieżą jest ruina pomieszczenia z zachowanymi pilastrami oddzielającymi blendy, czyli płytkie wnęki w murze w kształcie arkady. Wygląda mi to na resztki oranżerii lub ogrodu zimowego. Musiało być tu kiedyś bardzo pięknie.

Zabytek wymaga pilnego remontu.

Po zabudowaniach folwarku i stawach nie ma już śladu. Pozostały tylko resztki drzew z parku dworskiego.

Wróćmy do czasów średniowiecza.

W 1303 r. Krzyżacy nadali te ziemie Prusowi o imieniu Tulikoyte. Wówczas Telkwice nosiły nazwę Azmiten. Jego brat Bute zarządzał późniejszym Bukowem i odtąd obie wsie mają wspólną historię i właścicieli, których opisałem powyżej omawiając Bukowo, które stało się centrum włości.

Siedziba w Telkwiach usytuowana jest na niewielkim wzniesieniu, nad wąwozem, który otacza je z trzech stron. Było to w tamtym okresie, jako siedziba rycerska, miejsce obronne. Możliwe, że umocniono je drewnianą palisadą.

W Telkwiach w 1878 r. urodziła się Maria Chełkowska, działaczka społeczna i polityczna, dama Złotego Krzyża Zasługi.

Urodził się tutaj również w 1927 r. August Jan Chełkowski, fizyk, rektor Uniwersytetu Śląskiego i marszałek Senatu Rzeczypospolitej Polskiej II kadencji w latach 1991–1993, a także senator w latach 1989–1999.

Warto dodać, że zarządzający w XIX wieku Bukowem i Telkwicami Teodor Donimirski gościł w swoich włościach m.in. Józefa Ignacego Kraszewskiego oraz Jana Matejkę.

Wyjeżdżając z Telkwic musiałem sprawdzić jeszcze jedno miejsce. Za wąwozem wznosi się wzgórze porośnięte drzewami, niczym wyspa na polu. Na mapach z lat 1906–1938 oznaczony jest w samym jego centrum niewielki cmentarz. Żeby się tam dostać, musiałem przejść kulturalnie przez pole kierując się od strony Trankwic. Po prawej stronie minąłem obmurowany wylot źródła. Jest on także zaznaczony na przedwojennych mapach.

Co ciekawe, żeby dostać się na miejsce cmentarza, trzeba obejść duże zagłębienie, prawdopodobnie dawne wyrobisko zaznaczone na mapie już w 1906 r. Możliwe, że zagajnik jest częścią tzw. Lasu Kobiet wymienionego w dokumentach z 1648 r. Po cmentarzu nie ma już śladu.

Był to zapewne cmentarz rodowy. Prowadziła dawniej do niego droga z majątku Trankwice. Na wzgórzu wytyczono również alejki. Dziś nie ma po nich śladu. Miejsce jest niesamowite. Zagajnik ma kształt ... serca. Czy jest to dzieło natury, czy też celowy zamysł? Może z cmentarzykiem umieszczonym w samym jego centrum wiąże się miłośna lub dramatyczna historia?

STARE DOLNO: KRZYŻACKI PORT I HISTORIA DWORU

Stare Dolno to miejscowość założona nad jeziorem Drużno, którego południowe brzegi przed wiekami znajdowały się w miejscu, w którym znajduje się wieś. Jezioro sukcesywnie zarasta, a teren jego dawnego rozlewiska stanowią dziś żuławskie pola.

Stare Dolno jako Alt-Dollstädt pojawia się w dokumentach po raz pierwszy w 1299 roku jako Tullestete.

To tutaj wschodni brzeg rzeki Sorge (Dzierzgonka) stykał się bezpośrednio z wyżynnym terenem. Miejsce to zostało w średniowieczu wybrane na założenie portu, a droga wodna miała w tamtych czasach bardzo dużą wartość gospodarczą, szczególnie, kiedy ziemie Prusów nie miały jeszcze solidnej lądowej infrastruktury drogowej. W dokumentach lokacyjnych wsi sporządzanych przez Zakon Krzyżacki miejscowościom znajdującym się w pobliżu szlaku żeglownego nadawano przywilej transportowania swoich produktów drogą wodną do dużych miast, w przypadku Starego Dolnego – do Elbląga, i sprzedawania ich tam na targach.

Zakon Krzyżacki mógł przejąć w posiadanie interesujący nas potencjalny punkt przeładunkowy w związku z bitwą pod Sirgune (nad rzeką Dzierzgoń 1233). Szybko stworzył tam ufortyfikowany port z dworem obronnym.

Wraz z rozkwitem gospodarczym państwa zakonnego, którego dobrobyt osiągnął apogeum około 1410 roku, znaczenie Alt-Dollstädt rosło, a miejsce to stało się ważnym regionalnym centrum handlowym. Zakon inwestował, a obszerny port oferował możliwość zacumowania kilku statków. Posiadał także magazyn, skład soli i młyn. Port był miejscem postoju dla trzech statków należących do komturii w Dzierzgoniu, tzw. „Kassuten” (nasady). Były to statki towarowe ze sterem, odpowiednie do żeglugi śródlądowej.

Nasady z wysokimi burtami i zamkniętym pokładem były wykorzystywane do walk rzecznych (chronieni w nich byli wiosłarze i zbrojni podczas niespodziewanego przybrzeżnego ostrzału) i w transporcie po wąskich rzekach.

Posiadały, oprócz wysokich burt, zamkniętego pokładu, zadartego dziobu, także płaskie dno, napęd wiosłowy i żaglowy. Na pokładzie krzyżackiej nasady znajdował się jeden sternik i wiosłarze, których mogło być nawet osiemnastu.

Według inwentarzy Zakonu wiemy, że najwięcej nasad, bo aż 19, stacjonowało w 1410 r. koło zamku w Dzierzgoniu.

Kolejne jednostki stacjonujące w Alt-Dollstädt to lichtany, które służyły do rozładunku towarów z większych statków, stojących najczęściej na redzie portu.

W tzw. małym porcie Stare Dolno (Dulstette) nad jeziorem Družno stacjonował jeden lichtan (1 lewchteschiff) w 1434 r.

Był tam także prom rzeczny.

Przyjrzyjmy się teraz komunikacji wodnej w interesującym nas rejonie. Ważną rolę odgrywał tam odcinek (w obie strony) z Królewca przez Zalew Wiślany w kierunku Elbląga, dalej przez jezioro Družno, mijając port Stare Dolno, by następnie rzeką Dzierzgoń trafić do Dzierzgonia. W samym Dzierzgoniu oprócz nasad stacjonowały też korabiki, statki wiślane oraz inne średnie i małe jednostki śródlądowe.

Stare Dolno przez kolejne wieki zachowało strukturę układu przestrzennego wsi wypracowaną przez Zakon Krzyżacki. Centralną jej częścią był obronny dwór z folwarkiem nadzorujący działanie portu.

Wiadomo, że w 1411 r. dwór został dodatkowo ufortyfikowany lub dokonywano tutaj napraw umocnień po Wielkiej Wojnie (1409–1411). W tym celu przyjechał tutaj specjalnie z Malborka znany architekt i budowniczy Zakonu Mikołaj Fellensteyn. Miejsce to miało wówczas duże znaczenie gospodarcze, strategiczne i komunikacyjne.

W 1466 r., na mocy pokoju toruńskiego, komturstwo elbląskie zostało podzielone między Zakon i Polskę. Podczas tego podziału Alt-Dollstädt pozostało na terenie państwa zakonnego. Wytoczona wówczas granica między oba państwami stanowiła przez lata granicę między Prusami Wschodnimi i Zachodnimi.

Ostatnia wojna Polski z Zakonem Krzyżackim (1519–1521) miała druzgocący wpływ na wieś Stare Dolno. Przez prawie pół wieku figuruje jako miejsce opuszczone. Dopiero w sprawozdaniu z wizytacji z 1579 r. wymienionych jest dziesięcioro mieszkańców.

XVII wiek to czas wojen ze Szwecją. W czasie wojny o ujście Wisły o port w Starym Dolnem toczyły się ciężkie walki między wojskami cesarskimi (sojusznicy austriaccy) i szwedzkimi. Miejsce zostało ograbione i spalone przez Szwedów.

W 1811 roku majątek zakupił od państwa pruskiego generał Gerhard Johann David von Scharnhorst. (ur. 12 listopada 1755, zm. 28 czerwca 1813), pruski generał czasów wojen napoleońskich, reformator armii pruskiej (pieniądze z zakupu domeny i czterech okręgów łowieckich wyniosły łącznie 23500 Reichstaler).

Von Scharnhorst, chociaż wyszkolony w tradycji wojskowej Fryderyka Wielkiego, zdawał sobie sprawę z konieczności powołania w miejsce zawodowych sił najemnych prawdziwej armii obywatelskiej. Dzięki jego staraniom wprowadzono w Prusach obowiązkową służbę wojskową, bez względu na stan społeczny. Zniesiono przywileje szlachty dające jej wyłączność w pełnieniu funkcji oficerskich. Od tej pory ważne stały się talent oraz indywidualne umiejętności awansujących oficerów.

Dzięki reformom ulepszone także system dowodzenia, a także zniesiono kary cielesne, ograniczając „pruski dryl”.

Generał Scharnhorst, po licznych bataliach doby wojen napoleońskich, osiadł w majątku Stare Dolno. Miał tutaj cieszyć się emeryturą.

Pisał:

„Piękne Żuławy przede mną, uprzejmi i gościnni mieszkańcy, stada owiec i bydła, wszystko to dla mnie było niecodzienne i miłe”

Odżyła w nim dusza syna chłopca, teraz on był bowiem gospodarzem, „szedł przez własne dobra, przez własne obory, stajnie i stodoły”, pisał:

„Teraz, gdy wychodzę na pola, okolica ofiarowuje mi piękne widoki, przede wszystkim na Elbląg, na Wzniesienia Elbląskie, co jest tak piękne, jak można to tylko sobie wyobrazić” (...).

„Stare Dolno podoba mi się z dnia na dzień coraz bardziej, jest tak pięknie położone, jak tylko sobie można wymarzyć” (...), „z prawdziwą pasją poznaję wciąż to nowe i przyjemne strony życia”.

Generał nie nacieszył się życiem gospodarza zbyt długo. Upomniała się bowiem o niego armia. Został ranny w nogę w bitwie z wojskami Napoleona pod Lützen 2 maja 1813. Zmarł w Pradze 28 czerwca 1813. Pochowano go na Cmentarzu Inwalidów w Berlinie, gdzie po dziś dzień możemy oglądać jego pomnik nagrobny ze śpiącym lwem (dzieło Karla Friedricha Schinkla).

Po śmierci von Scharnhorsta majątek przeszedł na jego dzieci, które sprzedały go aptekarzowi Theodorowi Lechlinowi.

Lechlinowie nie próżnowali. Zbudowali tutaj młyn wodny, stworzyli także stawy karpio-we. Ostatni Lechlin był starszym kawalerem. Zastrzelił się w majątku swojego przyjaciela Richarda Borna koło Kwietniewa.

Budynek młyna, który przetrwał do dziś, zbudowano około 1850 roku. Otynkowany budynek z cegły opiera się o skarpy. Ma wymiary dziewięć na szesnaście metrów oraz posiada dwa piętra. Na drugim piętrze znajdowały się komórki lokatorskie, a na piętrze

mieszkanie młynarza. Komunikację zapewniały zdobione piękną snycerką schody na klatkę schodowej.

Przylegająca do wzgórza część budynku młyna jest podpiwniczona i zawierała trzy pomieszczenia. Jedno z nich służyło dawniej jako mieszkanie dla francuskich jeńców wojennych zatrudnionych w majątku.

W latach międzywojennych piwnice pełniły też funkcję aresztu, w których miejscowy żandarm Meier tymczasowo przetrzymywał przestępców.

Młyn był zasilany energią wodną. Młyński potok i strumyk wypływający z lasu Hohendorf docierały do wiejskiego stawu przy ulicy we wsi, z którego specjalny odpływ prowadził do zbiornika przed młynem. Zebrana w nim woda służyła do napędzania turbiny, za pomocą której uruchomiono śrutownicę. Woda spływała następnie rowem do rzeki.

W XX wieku młyn zelektryfikowano.

Dziś, według relacji mieszkańców, obiekt czeka rozbiórka.

Dwór z parkiem w Starym Dolnie usytuowany był w centrum wsi. Rozbudowany został pod koniec XIX wieku przez berlińskiego przemysłowca o nazwisku Litten, który kupił majątek w 1890 roku za pieniądze zarobione ze sprzedaży piasku wykorzystywanego do naprawy wałów przeciwpowodziowych (wielka powódź z 1888 r.)

W kolejnych latach dwór był przebudowywany. Ostatnimi niemieckimi właścicielami była rodzina Schwichtenberg.

Architektura dworu stylizowana jest na wille włoskie południowych rejonów Italii. Według opowieści dawnych mieszkańców, dwór ma w sobie jeszcze mury średniowieczne, co warto dokładnie sprawdzić. Sklepione, ceglane piwnice oraz sklepienia parteru mogą



Stare Dolno. Dwór w czasach świetności, fot. archiwum

pochodzić z późniejszego okresu, gdyż takie rozwiązania stosowane były jeszcze w XIX wieku. Otynkowane pomieszczenia uniemożliwiają szczegółową analizę architektoniczną konstrukcji ścian i sklepień.

Majątek po zakupieniu go przez berlińskiego fabrykanta Litten otrzymał centralne ogrzewanie do ogrzewania antresoli, a zamówiony z Włoch tynkarz przez rok projektował sufit w pomieszczeniach właściciela i jadalni. Front budynku podniesiono o jedno piętro i ozdobiono obszerną werandą z balkonem.

Wieża, widoczna z daleka, góroje nad wierzchołkami drzew rozległego parku dworskiego. Posiadała dawniej maszt flagowy. Można z niej podziwiać krajobraz Żuław, rozlewisko jeziora Drużno i zabudowania odległego Elbląga.

Dwór w czasach świetności był otynkowany i pomalowany na biało. Miał 27 izb.

Po śmierci dwojga dzieci i kłopotach z bankami Litten sprzedał majątek rodzinie Otto Schwichtenberga w 1903 roku. Dzieci zmarłe na szkarlatynę pochowano na cmentarzu, którego resztki można znaleźć kierując się w stronę lasu.

Otto Schwichtenberg był człowiekiem, który lubił wyzwania, podobnie jak jego syn Helmut Schwichtenberg, uwielbiający innowacje techniczne w rolnictwie. Stare Dolno dysponowało w tym czasie dobrze wyposażonym, nowoczesnym parkiem maszynowym.

Helmut wstąpił do 10 pułku Dragonów w Olsztynie i podczas I wojny światowej awansował na porucznika. Został ciężko ranny pod Odessą pod koniec wojny.

Gdy 1 września 1939 r. rozpoczęła się II wojna, został powołany do wojska III Rzeszy. Zginął we Francji 22 czerwca 1944 r.

Jego najstarszy syn, Hans-Gerd, kolejny dziedzic, został ciężko ranny w sierpniu 1943 r. na froncie wschodnim pod Smoleńskiem strzałem w brzuch. Wrócił na front w październiku 1944 r. 13 stycznia 1945 r. został ponownie ranny po strzale w brzuch. Wykrwawił się na śmierć w Belgii.

21 stycznia 1945 r., o godzinie 23.00, mieszkańcy wsi zaczęli uciekać przed zbliżającą się Armią Czerwoną. Pani Schwichtenberg została w Alt-Dollstädt ze swoim 16-letnim synem Güntherem w niewzruszonej pewności, że niemiecka armia odwróci jeszcze losy wojny...

Na koniec warto dodać informację o koniach, które były wizytówką Starego Dolnego. Łączna liczba koni wynosiła około osiemdziesięciu zwierząt. Jedenaście z tych klaczy należało do trakeńskiego związku hodowlanego. Sześć z nich to klacze premium. Były to klacze, które ponadprzeciętnie uosabiają typ swojej rasy. Państwo uhonorowało takich premiami. Był też licencjonowany ogier. Potomstwo tego ogiera w dużej mierze spełniało wymogi armii, więc nadawało się na konie żołnierskie.

Od połowy XIX wieku między Elblągiem a Starym Dolnem zaczął pływać parowiec do przewozu osób i towarów. Jednak wraz z uruchomieniem odcinka kolejowego Elbląg-Mysłice, 1 września 1893 r., parowiec stracił na znaczeniu.

Stare Dolno często odwiedzali mieszkańcy Elbląga. Szczególnie wiosną i latem docierały tutaj statkami motorowymi wycieczki. Piękna okolica, zdrowa woda, Żuławy od północy i wzniesienia morenowe od południa czyniły to miejsce niebywale atrakcyjnym. Stała tu także gospoda, w której można było się posilić.

Do 1903 r. regularnie odbywały się we wsi cotygodniowe targi m.in. produktów rolniczych, bydła, koni i prosiąt, które z czasem przeniesiono do Dzierzgonia. Wraz z utratą



Dwór w Starym Dobnie. Stan obecny, fot. archiwum

znaczenia portu i zaprzestaniem działalności rynkowej zaginał kawałek historii kulturalnej tego regionu. Resztę dopełniły czasy Polski Ludowej.

Sam dwór wymaga już remontu. Po folwarku, stajniach, budynkach gospodarczych pozostał tylko pusty plac. W samej wsi stoi tylko kilka domów oraz ruina młyna. Jednak obecni mieszkańcy dworu są otwarci na odwiedzających, chętnie dzielą się wspomnieniami, opowiadając o zaginionej świetności wsi.

Wykorzystana literatura:

M. Radoch. *Jednostki wodne śródlądowe w starych księgach inwentarzowych Zakonu Krzyżackiego*, KMW 2021;313(3):365–403.

H. Zlomke, *Das Gutshaus von Adlig Dollstädt. Alt Dollstädt. Auszug aus Das Kirchspiel Königsblumenau. Chronik, Geschichte und Berichte.*

Marek Suchar



DWA WIECZERNIKI

Spacerując wąskimi uliczkami chrześcijańskiego kwartału Starego Miasta w Jerozolimie, trafić można do syryjskiego klasztoru Świętego Marka. W przewodnikach po Jerozolimie rzadko się o nim wspomina, więc większość turystów w ogóle nie wie o jego istnieniu, podobnie zresztą jak i o samym Syryjskim Kościele Ortodoksyjnym, do którego klasztor ten należy. Tymczasem zarówno ów klasztor, a właściwie przede wszystkim wchodzący w jego skład kościół św. Marka, jak i sam Kościół Syryjski, zwany też Kościołem Syriackim, Jakobickim albo Asyryjskim, w najwyższym stopniu zasługują na uwagę. Wyznawcy tego kościoła są przedstawicielami „chrześcijaństwa wschodniego”, bliskiego apostołskiemu początkom, które niezwykły już antropolog Andrzej Flis tak pięknie kiedyś określił „zapomnianymi braćmi zachodniego chrześcijaństwa”¹. Jak wiadomo, bardzo szybko w chrześcijaństwie pojawiły się różne nurty. Pierwszym było chrześcijaństwo wschodnie (nie mylić z prawosławiem, które, paradoksalnie, wedle tej klasyfikacji należy akurat do chrześcijaństwa zachodniego!) – najstarsze i najbliższe judeochrześcijańskim korzeniom, geograficznie związane początkowo z Palestyną, Syrią oraz Afryką Północną (głównie Aleksandrią), skąd trafiło do Etiopii, Armenii, Persji i do Indii. Drugim nurtem było chrześcijaństwo greckie, nazwane później prawosławiem, związane ze stolicą cesarstwa – Konstantynopolem, skąd z kolei rozprzestrzeniło się ono po kilkuset latach na Bałkany i wschód Europy (m.in. do Rosji). Trzeci nurt to chrześcijaństwo łacińskie, uznające prymat biskupa Rzymu, dziś określane rzymskim katolicyzmem. Drogi tych trzech nurtów stopniowo zaczęły się rozchodzić i w V wieku naszej ery doszło do podziału, między wspólnym jeszcze wtedy nurtem łacińsko-greckim a chrześcijaństwem wschodnim, które nie zaakceptowało dogmatycznych ustaleń Soboru Chalcedońskiego (451 n.e). Chodziło o pewne szczegóły doktrynalne, których istotę dziś czasem trudno wręcz wyjaśnić współczesnym chrześcijanom. Oprócz sporów teologicznych przyczyną konfliktu i rozłamu mogła być również walka o dominację pomiędzy poszczególnymi patriarchatami w imperium rzymskim, krótko po tym, jak chrześcijaństwo stało się w nim religią panującą. Kościoły wschodnie miały wtedy przytłaczającą przewagę liczebną, ale kościoły zachodnie („Łacinnicy” i „Grecy”) objęły strategiczne patriarchaty obu ówczesnych stolic cesarstwa, czyli Rzymu i Konstantynopola.

Czasy największej świetności Kościoły Wschodnie mają dawno za sobą, jako że większość ich wyznawców została pod koniec pierwszego tysiąclecia, przeważnie siłą, nawrócona na islam. Obecnie na całym świecie żyje ich łącznie około 90 milionów, w tym około siedem milionów to wierni Syryjskiego Kościoła Ortodoksyjnego. Dla porównania, liczbę wszystkich

¹ Andrzej Flis – Beata Kowalska, *Zapomniani bracia. Ginący świat chrześcijan Bliskiego Wschodu*, Kraków 2003, Wydawnictwo WAM.

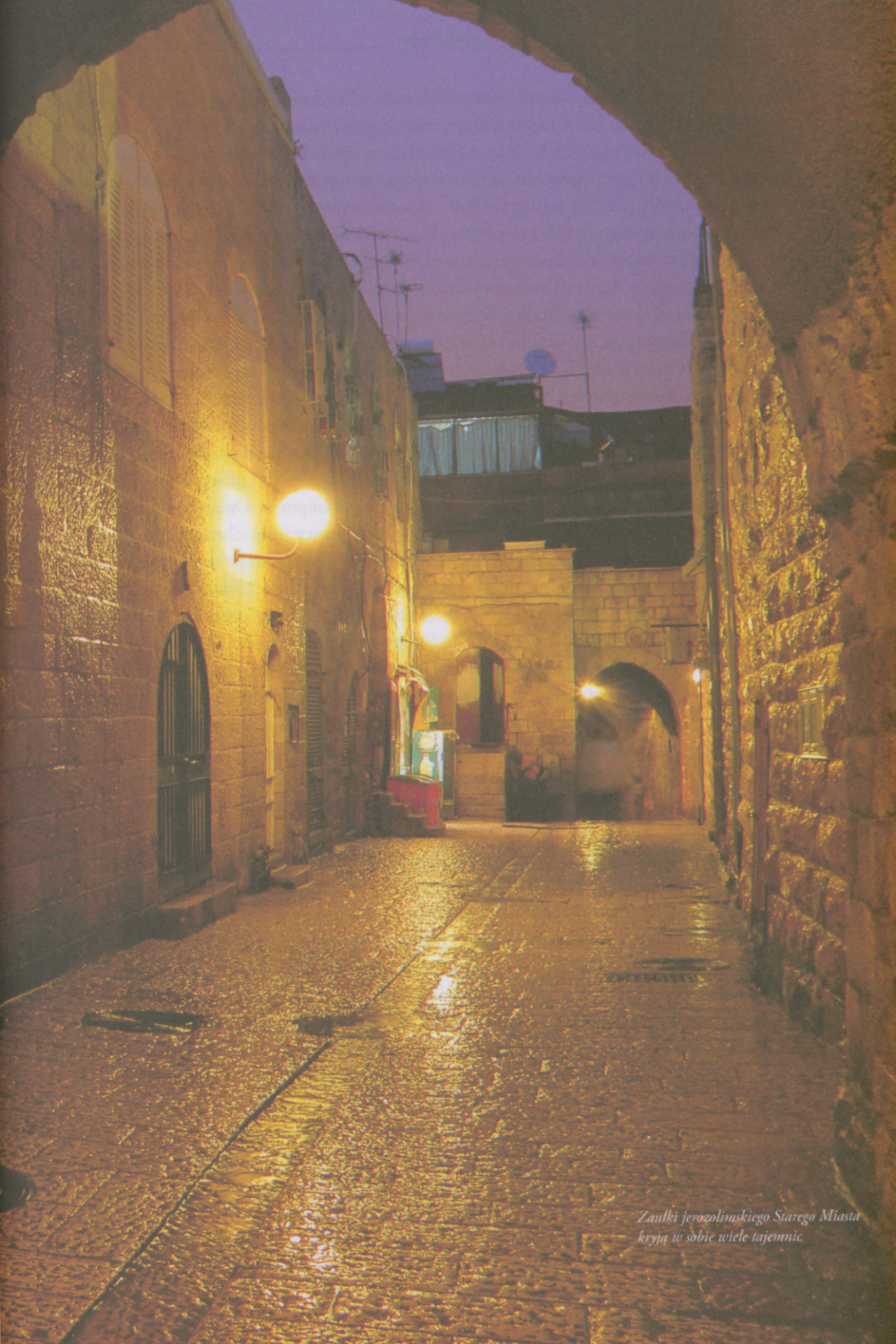
chrześcijan na świecie ocenia się dziś na prawie trzy miliardy, z czego mniej więcej połowa to katolicy.

Dlaczego chrześcijaństwo wschodnie, o którym w Polsce mało albo wręcz nic nie wiemy, miałoby zasługiwać na naszą uwagę? Otóż dlatego, że jak to wcześniej stwierdziliśmy, jest ono „bliskie apostołskim początkom” chrześcijaństwa. Przez wieki prawie nie dokonywano w nim zmian ani reform, więc liturgię sprawuje się w nim według antycznych, pochodzących z pierwszych wieków chrześcijaństwa rytów i posługuje się w niej równie antycznymi językami. W kościele syryjskim językiem liturgii jest na przykład aramejski, czyli język, którym na co dzień rozmawiał z apostołami Jezus². Przyglądając się z bliska ich obrzędowości, jakby żywcem przeniesionej w nasze czasy wprost z pierwszych wieków chrześcijaństwa, można mieć wrażenie, jakby się cofnęło w czasie i uczestniczyło w życiu Kościoła takim, jakim było ono u swoich początków. Spotkanie z kościołami wschodnimi jest więc w pewnym sensie podróżą w czasie do źródeł dzisiejszego chrześcijaństwa.

Niewielki kościółek św. Marka, należący do ortodoksyjnej wspólnoty Syryjczyków, jest z kolei bardzo interesujący przez to, że jest kojarzony z ważnymi wydarzeniami biblijnymi. Na jednej z jego wewnętrznych ścian, na wysokości około metra nad podłogą, znajduje się chroniona szklaną szybą, wyryta w kamieniu inskrypcja w języku aramejskim pochodząca z VI wieku naszej ery. Obok niej, w ramce, umieszczone jest jej angielskie tłumaczenie, głoszące: „To jest dom Marii, matki Jana, zwanego Markiem. Poświęcony jako kościół pod wezwaniem Dziewicy Marii, matki Boga, po wstąpieniu naszego Pana Jezusa Chrystusa do nieba. Odnowiony po zburzeniu Jerozolimy przez Tytusa w roku AD 73”. Starożytna inskrypcja odnaleziona została na ścianie kościoła dopiero w roku 1940, ale datowana jest na VI–VII wiek naszej ery, a sam kościół być może sięga swoimi początkami jeszcze głębiej w przeszłość. Są dowody, że istniał i był nawiedzany przez pielgrzymów już w pierwszych wiekach chrześcijaństwa,

² W tekście staram się dotykać kwestii czysto religijnych tylko o tyle, o ile wiążą się one bezpośrednio z tematem lokalizacji chrześcijańskich pamiątek w Jerozolimie. Za oczywisty przyjmuję tutaj pogląd, podzielany dziś przez większość poważnych naukowców, o niewątpliwej historyczności osoby Jezusa, natomiast nie ustosunkowuję się w żadnym stopniu do kwestii religijnych związanych z jego osobą.





*Zaułki jerozolimskiego Starego Miasta
kryją w sobie wiele tajemnic.*

jak zaświadcza o tym między innymi słynny Pielgrzym z Bordeaux, którego relacja z podróży do Ziemi Świętej w roku 333 n.e. jest jedną z najstarszych dochoowanych do naszych czasów. Wierni kościoła syryjskiego przekonują, że znajdująca się dziś w podziemiach kościoła św. Marka kamienna sala, jest pomieszczeniem, które najpierw posłużyło Jezusowi i apostołom za miejsce Ostatniej Wieczery, a następnie było wspomnianym w dziejach Apostolskich miejscem, gdzie gromadzili się pierwsi jerozolimscy chrześcijanie. Jest to niewielkie pomieszczenie o nieregularnym kształcie, nisko sklepienie, na którego jednej ze ścian urządzone jest ołtarz. Jakkolwiek w ewangelii określone było konsekwentnie jako „sala na górze”, to tutaj znajduje się w podziemiach kościoła. Według Syryjczyków jest to jednak właśnie dodatkowym dowodem jego autentyczności. Wiadomo bowiem, że wciąż dwóch tysięcy lat poziom gruntu w wielokrotnie burzonym i odbudowywanym mieście podniósł się o co najmniej kilkanaście metrów. Dawna „sala na piętrze” musiała więc dziś znaleźć się pod ziemią.

Na ile wiarygodna może być dla nas informacja o tym, że w podziemiach syryjskiego klasztoru rzeczywiście znajdują się pozostałości „domu Marii, matki św. Marka”, czyli budynku pochodzącego sprzed dwóch tysięcy lat? A jeśli nawet tak, to czy to możliwe, żeby były one pamiątką po miejscu „Ostatniej Wieczery”, albo opisanym w Dziejach Apostolskich budynku, w którym zbierali się i modlili się pierwsi jerozolimscy judeochrześcijanie, i w którym apostoł Piotr schronił się po swojej ucieczce z więzienia, do którego trafił głosząc nauki w Świątyni Jerozolimskiej? Nasuwa się też nieodparcie inne pytanie. Dlaczego jeśli istnieją choćby tylko poszlaki wskazujące na taką możliwość, chrześcijańscy pielgrzymi nawiedzają dziś jako Wieczernik nie to miejsce, ale gotycką salę na piętrze budynku znajdującego się na chrześcijańskim Syjonie? I dlaczego temat jest tak konsekwentnie przemilczany, można by powiedzieć wręcz ukrywany, przed pielgrzymami i turystami? Wystarczy tylko wspomnieć, że o możliwej lokalizacji Wieczernika w kościele św. Marka nie wspomina właściwie żaden z przewodników po Jerozolimie, których pokazną kolekcją dysponuję. Jakie mogą być przyczyny tej swoistej „zmony milczenia” wokół „syryjskiego wieczernika”?

Zacząć trzeba od tego, że tłumnie nawiedzane przez pielgrzymów, znajdujące się na tak zwanym chrześcijańskim Syjonie, pomieszczenie, określane w przewodnikach turystycznych jako „Wieczernik”, oczywiście nie jest „tym Wieczernikiem”. To tylko zbudowana w średniowieczu, według tradycji franciszkańskiej w miejscu, w którym kiedyś znajdował się Wieczernik, sala mająca go upamiętniać czy też symbolizować. Symbolikę tę ma podkreślać umiejscowienie pomieszczenia na piętrze gotyckiego budynku, jako że w ewangelii konsekwentnie określa się ją jako „salę na górze”. Argumenty przemawiające za autentycznością miejsca, w którym znajduje się dzisiejszy „Wieczernik”, zarówno historyczne, jak i archeologiczne, mają jednak charakter spekulatywny i nie dla wszystkich są przekonujące. Tradycja lokowania Wieczernika na Syjonie jest historycznie dość świeża, jak na jerozolimskie stosunki. Nic nam nie wiadomo, żeby miejsce to było otaczane kultem przez pierwsze pokolenia chrześcijan, wśród których pamięć dokładnej lokalizacji zdarzeń ewangelijnych mogła być jeszcze dość świeża. Syjoński „Wieczernik” włączony został przez franciszkanów do ich listy obejmującej najważniejsze chrześcijańskie pamiątki w Jerozolimie dopiero dwanaście wieków po wydarzeniach opisanych w ewangelii. Zresztą nie był to jedyny przypadek takiego arbitralnego rozstrzygnięcia. Przybywszy do Ziemi Świętej i otrzymawszy status strażników (kustoszy) miejsc świętych, Franciszkanie stopniowo budowali na użytek pielgrzymów pewien całociowy

koncept jerozolimskich miejsc świętych, a nawet kolejności ich oglądania, którą określa się specjalnym łacińskim terminem *sanctus circuitus*. Franciszkanie w naturalny sposób włączali do programu pielgrzymek te miejsca, nad którymi sami sprawowali kontrolę. Wyjaśniając nieobecność syryjskiej wersji dotyczącej lokalizacji wiecznika w przewodnikach turystycznych, nie lekceważyłbym też roli olbrzymiej liczebnej dysproporcji między gospodarzami tych dwóch hipotetycznych wieczników, o których tu mowa. Wyznawców Syryjskiego Kościoła Ortodoksyjnego jest dziś na świecie ponad dwieście razy mniej niż rzymskich katolików.

Dla zweryfikowania lokalizacji opisanych w Ewangeliach zdarzeń logiczne wydaje się sięgnięcie do jedyne go źródła historycznego, jakim w tym przypadku dysponujemy, a mianowicie do samych Ewangelii i przeanalizowanie ich z jednoczesnym odwołaniem się do wiedzy o realiach życia w żydowskiej Palestynie za czasów Jezusa³. Z Ewangelii dowiadujemy się więc, że w przeddzień święta Paschy, wybierając się rankiem z apostołami z Betanii położonej na grzbiecie Góry Oliwnej do Świątyni Jerozolimskiej, Jezus wysłał przodem dwóch spośród swoich uczniów, polecając im przygotować miejsce na uroczysty, wspólny wieczorny posiłek. Scena ta opisana jest szczegółowo i niemal identycznie w trzech tak zwanych ewangeliach synoptycznych, czyli u Marka, Mateusza i Łukasza. Przedstawiają oni plastyczny obraz ostatnich kilku dni z życia Jezusa, z tym, że skupiają się przy tym przede wszystkim na teologicznych aspektach opisywanych zdarzeń. Dlatego wiele szczegółów ich przebiegu, nieistotnych z teologicznego punktu widzenia, po prostu pomijają, pozostawiając je ewentualnie pobożnej wyobraźni i domyślności czytelników. Zdumiewać musi więc to, że w opisie przygotowań do Ostatniej Wieczerzy wspomniani trzej ewangeliciści podają liczne szczegóły, co więcej, szczegóły na pierwszy rzut oka banalne i nieistotne, zupełnie nieadekwatne do rangi głównych opisywanych przez nich wydarzeń o nieporównywalnym stopniu dramatyzmu – aresztowania Jezusa, tortur i jego niewyobrażalnie okrutnej śmierci w wyniku ukrzyżowania. W zestawieniu z doniosłością i wagą tych wydarzeń, drobne i banalne szczegóły dotyczące kolacji, nawet jeśli miała to być kolacja uroczysta czy pożegnalna, mogą wydawać się po prostu „nie na miejscu”. Jeśli jednak uznamy, że każde, nawet pojedyncze, słowo przekazane przez ewangelistów miało dla nich znaczenie, to musimy sobie zadać pytanie, co takiego chcieli nam przekazać w tym konkretnym fragmencie? Jak mamy zrozumieć opowieść o tym, że uczniowie mieli się rozglądać za mężczyzną niosącym dzban z wodą, a ten miał ich doprowadzić do nieznanego im właściciela domu, któremu z kolei mieli przekazać wiadomość, że Nauczyciel (którego z kolei najwidoczniej nie musieli mu bliżej przedstawiać) chce zjeść z grupą uczniów wieczorny posiłek w jego domu? Zwróćmy przy tym uwagę, że prośba o udzielenie kilkunastoosobowej grupie gościny w sytuacji, kiedy z powodu zbliżającego się święta Paschy miasto dosłownie pękało w szwach⁴, nie była małą prośbą. I jeszcze ta wiadomość, że kolacja ma się odbyć koniecznie w sali na piętrze. Dlaczego wciąż jest mowa o tym, na którym piętrze miała się odbyć kolacja?

³ Odwołuję się tu do tekstów Nowego Testamentu staram się postępować zgodnie z podejściem w nauce, które tekstem wczesnochrześcijańskim, takim jak Ewangelie i Dzieje Apostolskie przyznaje status źródeł historycznych na zasadach ogólnie przyjętych, takich jak wszystkim innym źródłom z epoki, bez wchodzenia w ich aspekty religijne (np. kwestie nadprzyrodzonego charakteru).

⁴ Święto Paschy było jednym ze „święt pielgrzymkowych”, w czasie których wyznawcy judaizmu pielgrzymowali do Świątyni Jerozolimskiej. Do miasta wg historyków mogło wtedy przybywać od kilkudziesięciu do kilkuset tysięcy pielgrzymów.

Lokalizacja Wieczernika nie została w żadnym miejscu w Ewangeliach konkretnie wskazana. Zresztą nawet gdyby podane w nich były jakieś szczegółowe wskazówki topograficzne, to i tak zapewne dziś okazałyby się nieprzydatne. Pamiętajmy, że stosunkowo niewiele lat po opisywanych tu zdarzeniach Jerozolima została doszczętnie zniszczona przez Rzymian, a i później była wielokrotnie na przemian burzona, odbudowywana i przebudowywana. Może zatem wskazówek odnośnie lokalizacji Wieczernika trzeba poszukać według innego klucza? Zastanówmy się. Ze zgodnej relacji ewangelistów Mateusza, Łukasza i Marka wynika, że Jezus polecił uczniom szukać mężczyzny niosącego do domu wodę zaczerpniętą ze źródła. Gdzie najłatwiej spotkać taką osobę? Oczywiście w pobliżu miejsca czerpania wody. Po drodze z Betanii na Wzgórze Świątynne znajdowało się tylko jedno takie miejsce: to sadzawka Siloe, do której wydrążonymi w skale kanałami spływała woda z jedyne w tej okolicy źródła Gichon. Zaopatrywali się w niej mieszkańcy najbliższej leżących dzielnic, nazywanych Dolnym i Górnym Miastem. Wynikać z tego może tylko jeden wniosek: budynek, w którym odbyć się miała Ostatnia Wieczerza, znajdował się w Górnym albo Dolnym Mieście. Sadzawka Siloe istnieje w Jerozolimie do dzisiaj. Nietrudno było ją znaleźć wówczas, a i obecnie także łatwo do niej trafić, bo niezależnie od upływu czasu wciąż znajduje się w tym samym miejscu. To właśnie z tego powodu źródła, rzeki, szczyty skalne i jaskinie, jako najbardziej naturalne, trwałe i czytelne punkty orientacyjne w Ziemi Świętej tak często wspomina się w Biblii. Dzięki odkryciom archeologów wiemy też dziś, że Dolne Miasto, zamieszkane przez uboższą część ludności, znajdowało się w przybliżeniu w miejscu dzisiejszej arabskiej dzielnicy Silwan, natomiast zamożniejsze Górne Miasto, gdzie ulokowane były rezydencje wyższych urzędników i kapłanów, obejmowało dzisiejszy teren Kwartału Ormiańskiego, Żydowskiego i południowej części Chrześcijańskiego (gdzie znajduje się kościół św. Marka), a także miejsce nazywane Syjonem Chrześcijańskim (gdzie znajduje się dziś sala „Wieczernika”. Jak widać na razie nie pozwala nam to wykluczyć żadnej z dwóch rozważanych tu lokalizacji.

Co jeszcze mówią nam Ewangeliści? Mówią, że Jezus polecił uczniom szukać mężczyzny niosącego wodę po to, żeby zaprowadził ich on do swojego domu. Po co te komplikacje? Czemu Jezus po prostu nie podał uczniom imienia właściciela domu, do którego ich posyłał, albo nie kazał im o niego rozpytywać wśród sąsiadów? Konieczne jest w tym miejscu wyjaśnienie odnoszące się do realiów życia w ówczesnej Palestynie. Otóż przynoszenie wody ze studni było wówczas zajęciem kobiecym. Widok mężczyzny niosącego dzban wody na ramieniu musiał być w mieście rzadkością, podobnie jak na przykład widok mężczyzny robiącego przy sadzawce pranie. Te prace były uważane za wyłącznie lub typowo kobiece. Obowiązek zaopatrywania domu w wodę mógł przypaść mężczyźnie właściwie tylko wtedy, gdy w domu zabrakło kobiety, lub kiedy była niezdolna do dźwigania ciężarów z powodu choroby. Jedną z tych okoliczności musiała dotyczyć domu, do którego Jezus posyłał swoich uczniów, ale zauważmy, że znajomość takich szczegółów dotyczących jakiejś rodziny wymaga bardzo bliskiej z nią znajomości. Jezus musiał więc dobrze znać dom, do którego wysyłał uczniów. Za to sami apostołowie ludzi tych z pewnością nie znali. W innym wypadku wystarczyłoby po prostu podać im imię właściciela domu, który mieli odnaleźć. Co więcej, z jakiegoś powodu Jezus również nie chciał, by uczniowie rozpytywali o tę osobę wśród jej sąsiadów. Zwróćmy też uwagę, że Jezus chce, żeby posłańcy przekazali gospodarzowi, że wysłał ich „Nauczyciel”. Słowo ma wystarczyć za wyjaśnienie, o kogo chodzi. Posłani przez Jezusa uczniowie dobrze



Gotycka sala nazywana Wiecznikiem o każdej porze pełna jest zwiedzających



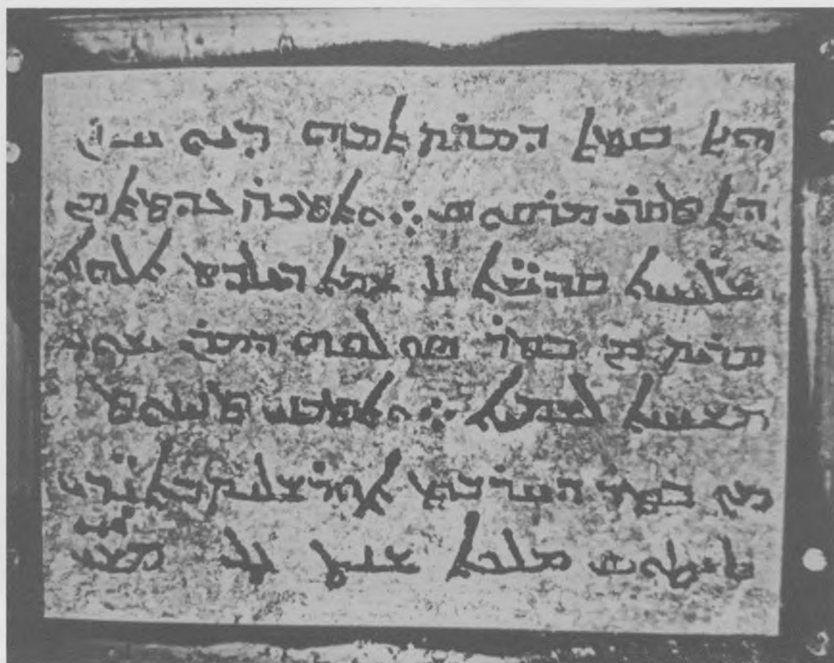
Sala w podziemiach kościoła św. Marka, wg syryjskiej tradycji miejsce spotkań pierwszych jerozolimskich chrześcijan



Brama wejściowa na teren klasztoru św. Marka



Prezbiterium w kościele św. Marka



Aramejska inskrypcja z VI w ne, informująca, że znajdujemy się w domu Marii, matki Jana zwanego Markiem

wiedzieli, kto jest ich Nauczycielem. Okazuje się, że musiał to również dobrze wiedzieć ich rozmówca. Prawdopodobnie i dla niego Jezus był – jego – Nauczycielem. Wszystko to razem może wskazywać, że Jezus wysłał uczniów do jednego ze swych potajemnych wyznawców, kogoś, kto ze swym poparciem dla Jezusa dotąd się ukrywał.

Jezus mówi też uczniom, aby poprosili właściciela domu o użyczenie „sali na górze”. Pytaliśmy już wcześniej, dlaczego to takie ważne, że sala ma być „na górze”, a nie „na dole”? Dlaczego ten fakt jest w ogóle warty wspomnienia? Otóż po pierwsze, trzeba powiedzieć, że użyte w greckim tekście Ewangelii określenie *anagaion* oznacza przede wszystkim po prostu jadalnię. Takie jadalnie w zhellenizowanych (przejmujących grecko-rzymskie zwyczaje) żydowskich zamożniejszych domach mieściły się na piętrze. Ówczesnie w Jerozolimie jadano dwa posiłki w ciągu dnia. O ile poranny posiłek jadało się na parterze, czyli w gospodarczej części domu, często osobno i w pośpiechu, przed przystąpieniem do wykonywania codziennych obowiązków, to do wieczery zasiadało się wspólnie, w jadalni znajdującej się na piętrze domu, z dala od zwierząt domowych i służby wykonującej rozmaite prace gospodarskie. Nawet w zwykły dzień wieczorny posiłek miał bardziej uroczysty charakter niż ten poranny. Wspomniane w Ewangeliach pomieszczenie nazywane *anagaion* to zatem właśnie taka jadalnia przeznaczona specjalnie do spożywania kolacji. Tego typu jadalnie istniały oczywiście tylko w domach, które miały więcej niż jedną kondygnację, a więc nie były to jakieś proste chaty lub małe kamienne domki, ale bardziej okazałe domostwa, należące do osób zamożniejszych. Mamy więc kolejną wskazówkę. Dom, który mieli odnaleźć uczniowie, należał do osoby zamożnej, być może jakiegoś wysoko postawionego mieszkańca Jerozolimy. Dodatkowo możemy raczej mieć pewność, że właścicielką tego budynku nie mogła być znana dobrze apostołom Maria, matka Jana zwanego Markiem.

Podsumujmy więc nasze ustalenia. Po pierwsze, mamy przesłanki by sądzić, że Wiecznik mieścił się na terenie Górnego Miasta. Po drugie, raczej na pewno nie znajdował się w budynku należącym do Marii, matki Jana zwanego Markiem. Nie możemy za to wykluczyć, że mógł mieścić się w miejscu, w którym dzisiaj upamiętnia go tłumnie odwiedzana przez pielgrzymów i turystów gotycka sala zwana wedle tradycji „Wiecznikiem”. Pozostaje pytanie, czy choć sala w syryjskich podziemiach raczej na pewno nie była Wiecznikiem, to czy w takim razie mogła być chociaż, zgodnie ze słowami znajdującej się w nim antycznej aramejskiej inskrypcji, miejscem spotkań pierwszych chrześcijan, w którym schronił się apostoł Piotr po ucieczce z jerozolimskiego więzienia?

Otóż warto wiedzieć, że w greckiej wersji Nowego Testamentu w ogóle nie pojawia się nazwa „wiecznik”. W kilku miejscach pojawiają się określenia „sala na piętrze”, lub „sala na górze”, a więc dwa różne terminy o podobnym znaczeniu. Jednego z nich (*anagaion*) ewangelści używają, gdy piszą o sali, w której miała miejsce Ostatnia Wieczera, innego (*hiperoon*), gdy piszą o sali, w której apostołowie gromadzili się po śmierci i zmartwychwstaniu Jezusa. Choć nigdzie nie jest wyraźnie powiedziane, że chodziło o różne miejsca (budynki), to użycie w odniesieniu do każdego z nich różnych określeń może coś takiego sugerować. Mimo to tradycja uważała zawsze Wiecznik zarówno za miejsce Ostatniej Wieczery, schronienia apostołów zaraz po ukrzyżowaniu Jezusa i zesłania na nich Ducha Świętego, wskazując je również jako miejsce gromadzenia się pierwszych chrześcijan. Co do Wiecznika, to ustaliliśmy już, że znajdował się on w domu należącym do potajemnego wyznawcy nauk Jezusa,

prawdopodobnie członka jerozolimskiej elity. Czy jest prawdopodobne, że ktoś, kto najprawdopodobniej na zasadzie wyjątku i w konspiracji, przyjął kilkunastu niespodziewanych gości na kolację (wiadomo, że po tej kolacji nie zostali oni u niego, tylko poszli nocować do Groty Getsemani w Ogrodzie Oliwnym), nagle zaczął później w swojej prywatnej rezydencji udzielać gościny szybko rosnącemu liczebnie gronu pierwszych chrześcijan?

O wiele bardziej prawdopodobne byłoby, gdyby na swą siedzibę apostołowie, a później także pierwsi chrześcijanie, wybrali dom kogoś blisko z nimi zaprzyjaźnionego, na przykład matki jednego z uczniów Jezusa, która już wcześniej udzielała im gościny w Grocie Getsemani znajdującej się w należącym do niej ogrodzie u stóp Góry Oliwnej. Jezus i apostołowie nierzadko nocowali w tym miejscu, jeśli ich pobyt w Jerozolimie się przedłużył i było już za późno, żeby wracać na nocleg do ich stałej kwatery w Betanii. Tak właśnie było i w noc aresztowania Jezusa. Tym bardziej, że Maria, o której tu mówimy, najprawdopodobniej również sam należała do grupy kobiet-wyznawczyń Jezusa, a później do grona pierwszych chrześcijan. Była przecież matką przyszłego ewangelisty Marka, o którym wiemy, że apostoł Piotr uważał go za swego przybranego syna i ucznia. Oboje musieli więc być bardzo blisko z apostołami związani. Bardzo prawdopodobne jest, że to u nich w domu, jako u najbliższych sobie ludzi, Piotr szukał schronienia po swej ucieczce z więzienia.

Wszystko to wydaje się być całkiem mocnym argumentem potwierdzającym prawdziwość aramejskiej inskrypcji z syryjskiego kościoła św. Marka i przemawiającym za lokalizacją w nim miejsca spotkań jerozolimskiej gminy judeochrześcijańskiej (pierwszego jerozolimskiego kościoła?).

Próbując ustalić lokalizację ważnych dla chrześcijan „świętych miejsc” znajdujących się w Jerozolimie, przeprowadziliśmy tu dość skomplikowany i długi wywód. Udało nam się nawet przy okazji dojść do interesujących ustaleń dotyczących w pewnym sensie życia pierwszej jerozolimskiej gminy chrześcijańskiej. Wszystko to sprawy niewątpliwie ciekawe i z wielu punktów widzenia ważne, ale kiedy się nimi zajmuję, pojawia się we mnie czasami wątpliwość, czy istotnie dla przybywających do Jerozolimy pielgrzymów i turystów są to sprawy najważniejsze?

Może istota duchowych przeżyć pielgrzymujących do Świętego Miasta nie zależy od drobiazgowych topograficznych ustaleń archeologów? Może znacznie lepiej oddają ją słowa pięknego błogosławieństwa skierowanego przez syryjskiego biskupa Sewerusa Malke Mourada do pielgrzymów i turystów odwiedzających Jerozolimę:

„Oby wszystkie wasze modlitwy zostały tu wysłuchane i oby każdy dostąpił tu duchowej pociechy i spełnienia, jakiego poszukuje.”

Krzysztof Czyżewski



NOTATKI SŁÓW I OBRAZÓW (22)

LUDZIE-KWIATY SRI LANKI

17 lutego 2024 roku

Nie szczędziliście nam z Małgosią dobrego słowa. Pomyślałem, że podziękujemy kwiatami, od których tutaj, na cejlońskim wybrzeżu Oceanu Indyjskiego, aż się niebo i ziemia uginają. Przynajmniej tym z Was, którzy coś do nas napisali. Co rusz to więc wychodziłem do ogrodu naszego małego aśramu, a potem głębiej do dżungli, i zbierałem do aparatu fotograficznego napełnione światłem kwiaty. Czasem trafiał się liść, który za chwilę gasł i już więcej go nie było; czasem krążące w otulinie kwiatów motyle, kameleon, zimorodek, paw... Nazbierałem sto, potem dwieście, potem trzysta. I chyba żaden się nie powtarzał. Lecz głosów od Was przybywało. Zacząłem się martwić, że więcej nie znajdę. Opowiedziałem przyjaciółom o swojej trosce. Przez sąsiednią wioskę położoną na skraju dżungli poszła wieść o człowieku, któremu na Sri Lance może zabraknąć kwiatów, by podziękować innym za otrzymane dobro. Zaczęli mnie zapraszać do swoich domów i ogrodów, naprowadzać na kwiaty, których mogłem jeszcze nie widzieć, wspinać się na drzewa by dosięgnąć te niedostrzegalne, wychodzić mi na spotkanie z kwiatami, przynosić w darze bukiety i koszyki



kwiatów. Udało się nazbierać tyle, by odpowiedzieć każdemu z Was. Niepostrzeżenie odrywaliśmy się od problemów pogranicza syngalesko-tamilskiego, od chorób i wieści o wojnach, i zaczęliśmy uważnie rozglądać się wokół, połączeni z innymi poszukiwaniem kwiatów i obdarzaniem się nimi, wspólną medytacją odwzajemnionego daru.

ODSZEDŁ JERZY JARZĘBSKI

26 lutego 2024 rok

Odszedł Jerzy Jarzębski. Ukruszyło się kolejne ogniwo krakowskiej krytycznoliterackiej tradycji, w której się wychowałem: Wyka-Błoński-Jarzębski. Od dobrych kilku lat moje spotkania z Jerzym kończyły się delikatnym napomknieniem z jego strony, że może to już po raz ostatni. Nie dramatyzował, jego twarz dalej pozostawała świetlista, jak przy pierwszym spotkaniu. Jakby chciał uśmierzyć cios spadającą na bliskich wieści o tym, że jego już tu nie ma. Choć ceniał w życiu i literaturze „odwagę niepewności”, w kwestii swojego rychłego odejścia nie miał wątpliwości. Na studiach polonistycznych przeczytałem „Grę w Gombrowicza”. I już nie przestałem go czytać. Od „Wszechświata Lema” po przypisy do Schulza, czyli „Prowincję Centrum”.



Nie tyle interesowały mnie krytyczne analizy polskiej prozy współczesnej, zawsze błyskotliwe, ile filozofia egzystencji, którą potrafił ze swoich lektur wyprowadzić. Daleki od moralizowania, nie bał się schodzić ku temu, co „głęboko moralne”, a to oznaczało –za mistrzem Schulzem –wkraczanie w całkowicie nieprzewidziane, wchodzenie „bez żadnej asekuracji w absolutne ryzyko”. Dopiero wtedy nabierały wiarygodności rozważania wokół „ja”, które powinno być poddawane w wątpliwość, wciąż na nowo wysadzane z siodła. Jego Gombrowicz, wbrew powszechnym mniemaniom, nie wynosi „ja” ponad wszystko, lecz wystawia je na próbę niepewności i samozaprzeczenia.

Uważnie czytając, potrafił doskonale antycypować zmiany w świecie. Trudno odmówić mu racji, gdy pisał, że czeka nas „kultura gotowych ‘ja’, osobowości prefabrykowanych i narzucanych jednostkom przez politykę, ideologię, system reklamy. ‘Bądź sobą, pij peps!’ -to nieświadomie chyba ironiczne hasło jest doskonałym wyrazem procesu, w którym „ja” zawłaszczane jest przez wytwórców postaw i towarów”.

Był „krytykiem miłującym”. Tak kiedyś, przy okazji Brunona Schulza, określił Jerzego Ficowskiego. W jego rozumieniu, chodzi tu o coś więcej, niż miłość do dzieła mistrza. „Krytyk miłujący” gotów jest poświęcić to, co dla niego jako twórcy jest najdroższe. W przypadku Jerzego Ficowskiego była to poezja. A w przypadku Jerzego Jarzębskiego? Świat, ten ludzki świat, zwany czasem jak na ironię „wielkim”, pełen sławy i splendoru, odsunął na bok, życie poświęcając wciąż nowym przypisom do Schulza, Gombrowicza i Lema. Uważny ich czytelnik odkryje wszechświat.

MONIKA HERCEG I EUROPEJSKI POETA WOLNOŚCI

19 marca 2024 roku



To był dzień poezji, pracowity. Zapowiadała się burzliwa dyskusja wspólnie z Anną Czekanowicz, Andą Rottenberg, Beatą Stasińską, Olgą Tokarczuk, Zbigniewem Mikołajką i Stanisławem Rośkiem. Jedna z tych dyskusji o poezji i świecie, na które czeka się długo i z utęsknieniem, raz na dwa lata. Sześć znakomitych tomów poezji zwiększało tylko apetyt na rozmowę, ale też niepokój czy uda się na czas wybrać zwyciężki. Na koniec zaskakująca bliskość myśli, zestrzelenie argumentów i niemal jednogłośnie wybró – Europejską Poetką Wolności zostaje Monika Herceg z Zagrzebia, autorka tomu „Lovostaj” (Okres ochronny) w przekładzie Aleksandry Wojtaszek. Tom jest misternie skomponowany i trudno dać o nim wyobrażenie jednym wierszem. Może jednak choć trochę...

MONIKA HERCEG

Krótką przerwą na smutek

Zobacz, wśród akuratnej śmierci
odwracającej się na moment
by pokazać podziwu godną figurę w bikini
siedzi Szymborska
posypana drobnym cukrem samotności
i bada moje płuca
ze strachu przed
rakotwórczą poezją

ZABICI POECI

21 marca 2024 roku

Myślę o zabijanych w ten czas marny poetkach i poetach. Nie dlatego, żeby byli bardziej godni uwagi od innych ofiar. Nie są. Ich jest tylko słowo, zapisywane w języku wspólnoty, wyrażające coś więcej niż oni sami, przenoszone w tłumaczeniu ku innym, współodczuwane, grające na nosie śmierci.

Ich ostatni wiersz jest listem rzuconym w nurt rzeki z mostu na drugą stronę. Zwykle wie więcej od nich. Skrywa poświęcenie drugiego brzegu.

Zamieszczony w maju 2023 roku na Facebooku wiersz Wiktorii Ameliny o kobiecie, której morze obiecuje przywrócić Azow. Powróciła z emigracji do Ukrainy by walczyć. Działa w organizacji dokumentującej zbrodnie wojenne. Za miesiąc z okładem rosyjski Iskander dosięgnie ją w pizzerii w Krematorsku podczas rozmowy z pisarzem z Kolumbii i innymi przyjaciółmi przybyłymi ze świata by wspierać ją w walce.

Wrzucony na Twittera w październiku ubiegłego roku wiersz Hiby Abu Nada o Gazie, „czarnej światłem zamęczonych”. Po kilku dniach w jej domu zabił ją pocisk izraelski. Miała za sobą trzydzieści dwa lata i zaledwie jedną, za to nagradzaną, powieść „Tlen nie jest dla zmarłych”.

2 stycznia 2024 roku Lew Rubinstein zamieścił na Facebooku krótki, jak to miał w zwyczaju, „wierszyk”. Okaże się jego ostatnim. 8 stycznia poszedł na pocztę. Na przejściu dla pieszych uderzył go samochód. Ulica była prawie pusta. Przyjaciele nie dają wiary, że to był przypadek. Od lat manifestował przeciw Putinowi i wojnie. Pisał: „Życie jest krótkie, przyjacielu. Bądź cierpliwy. Nie ośmieszaj się, nie psuj swojego nekrologu. Nikt nie wymaga od ciebie bohaterskich czynów. Ale zawsze jest wybór”. Urodził się w 1947 roku.

Dzień wcześniej na wojnie z Rosją zginął Maksym Krywcow, poeta i żołnierz. Miał trzydzieści trzy lata. Swój ostatni wiersz pisał w przyfrontowej ziemiance, z kotem Darwinem na ramieniu. Pisał spragniony wiosny, „żeby wreszcie zakwitnąć fiołkami”. Po śmierci słowa z tego wiersza dały nazwę nowej odmianie ukraińskich fiołków.

WIKTORIA AMELINA

kobieta zagubiona nad obcym morzem
włosy potargane, adidas y zdeptane
szepcze imię spierzchniętymi wargami

tutejsi myślą: kobieta straciła mężczyznę

ale ja słyszałam imię, które wypowiada
to nie imię mężczyzny, to nie imię dziecka
ona stoi nad morzem i woła morze



ale morze też myśli: kobieta straciła mężczyznę

morze nie reaguje na imię nieznajome i dziwne
tylko wyrzuca muszle i kamienie ostre
tylko szepcze po swojemu, po morsku:

kobieto, on jeszcze do ciebie wróci,
twój Azow

14 maja 2023. Przełożyła Aneta Kamińska

HIBA ABU NADA

Gaza nocą jest ciemna blaskiem rakiet,
cicha dźwiękiem bomb,
straszna błogością modlitwy,
czarna światłem zamęczonych.
Dobrej nocy, Gazo.



LEW RUBINSTEIN

Czasy są takie, że nie dajesz rady wstać
Ani leżeć ani siedzieć, krzyżeć czy przeklinać.
Budzisz się w nocy, bo twoje łóżko
tonie, a ty toniesz razem z nim



MAKSYM KRYWCOW

Moja głowa toczy się od smugi drzew do smugi drzew
 jak przetoczone pole
 lub piłka,
 moje ręce oderwane
 wyrosną fiołkami na wiosnę,
 moje nogi
 rozwlóczą psy oraz koty,
 moja krew
 zafarbuje świat na nowy czerwony
 Pantone ludzka krew,
 moje kości
 zapadną się w ziemię
 i utworzą szkielet,
 mój przestrelony automat
 zardzewieje,
 biedaczek,
 moje rzeczy na zmianę i sprzęt
 przełożą nowym rekrutom,
 niech już szybciej będzie wiosna,
 żeby wreszcie
 zakwitnąć
 fiołkami.



Przełożyła Aneta Kamińska

MIRA HAVIAROVA

20 kwietnia 2024 roku



Odeszła Mira Haviarova. Ubyło dużo miłości w świecie. Powiedzieć, że kochała kino albo Polskę, to powiedzieć dużo za mało. To kinu zdawało się, że Mira tylko je kocha, a Polsce, że bardziej ją kocha niż inne kraje. Dlatego, że właśnie tak kochała – najbardziej, ale bez wyjątku. Niby kroplę deszczu w morzu, rozpuściła miłość w życiu. I nie było już granicy, na której jej paszport nie miałby wizy wstępu.

Poznaliśmy się z dala od kina, w księstwie literatury, głodni nowej Europy Środkowej. Mówiła, że jest u siebie w domu w Pograniczu, swoich przyjaciół przywoziła tu w gości, bez zbędnych ceregieli zamieniając się w gospodynię. Potrafiła sprawić, że u niej w Pradze byłem u siebie, ale poczulby to samo przybysz z Marsa, gdyby tylko miał poczucie humoru.

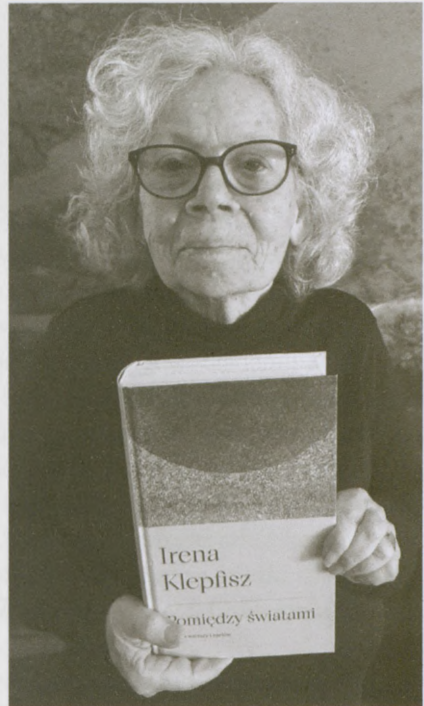
Rozbawiła mnie przeczytana gdzieś informacja, że Mira przeszła na emeryturę w 1979 roku. Równie dobrze mogli by napisać, że poleciała na Marsa. Gdybyśmy wszyscy tak przechodzili na emeryturę, jak ona, to zbudowalibyśmy wieżę dobra sięgającą nieba. Może zresztą taka już istnieje, a Mira – wspiąwszy się na jej koronę – zaraża śmiechem anioły. Bo co by tu nie powiedzieć, Miro, gdy tylko zaczynamy wspominać Ciebie, oczy zachodzą nam aniołami. Zawsze to potrafiłaś najlepiej: tak ubywać, by innym przybywało.

IRENA KLEPFISZ

21 maja 2024 roku

Do Krasnogrudy zawitała właśnie książka Ireny Klepfisz „Pomiędzy światami. Wybór wierszy i esejów”. Dzieło zespołu wspaniałych kobiet, do którego miałem zaszczyt dołączyć: redaktorki książki i tłumaczki Olgi Kubińskiej oraz czuwającej nad redakcją całości z ramienia wydawnictwa słowo/obraz terytoria Alicji Smaruj, a także tłumaczek Justyny Bilik, Urszuli Chowaniec, Sylwii Chutnik, Bronisławy Karst, Katarzyny Kaszorek, Bożeny Keff, Pauliny Kruk, Agnieszki Legutko, Magdaleny Macińskiej, Izabeli Morskiej, Belli Szwarzman-Czarnoty i Karoliny Szymaniak. Od początku duszą tego przedsięwzięcia była Gabi von Seltsmann. Do tego książkę zdobią detale z prac Judith Waterman, życiowej partnerki poetki.

Pracowaliśmy nad książką dobrych kilka lat. I tak Irena Klepfisz powraca do Polski. Nigdy nie jest za późno. Późna pora człowieka sprawia, że poezja nabiera mocy, podobnie jak świadectwo życia. Urodzona w getcie warszawskim, odważnie patrzy światu w oczy. Świadoma Zagłady, cierpienia Palestyńczyków, nierówności płci i wykluczenia innych. Świadoma, bo tak przeszła życie, walcząc. Kierowała się kompasem moralnym, o którym wiedziała przede wszystkim to, że jeśli będzie nastawiony na cierpienie tylko jednej strony, to szybko się popsuje, a razem z nim jej człowieczeństwo. Była wolontariuszką w kibucu Nir Oz, jednym z tych, które 7 października doświadczyły okrucieństwa Hamasu. I jest Żydówką, która nigdy nie uważała, że ta ziemia jej się należy, że jest jej domem do odzyskania. Wychowana została w tradycji



doikayt (tutejszość), kierującej się zasadą, że Żydzi mogą i powinni być pełnoprawnymi obywatelami każdego kraju.

Swoją książkę Irena Klepfisz zadedykowała pamięci Mameszi, czyli Róży Perczykow-Klepfisz, której pierwszą miłością była literatura polska, i która do ostatnich dni przepowiadała sobie z pamięci strofy „Pana Tadeusza”. A teraz dzieło życia Ireny staje na półce naszej biblioteki. Mama Ireny „marzyła tylko o książkach / czekających na przeczytanie”. Czyż marzenie to nie jest duszą biblioteki? Dopóty żyje, dopóki czekają na nas książki nieprzeczytane. I dobrze jest złączyć się marzeniem z Mameszi.

I dobrze jest, za sprawą magii wierszy, powrócić z Mameszi do domu, tego pierwszego, w którym ktoś z zewnątrz mógłby dostrzec głód, a o którym ona z naciskiem mówiła „radość”. W ten sposób powracają też słowa i nabierają znaczenia. Powraca do nas Irena Klepfisz, a razem z nią powracają słowa i utracone znaczenia. Od dnia, w którym ocalała, ocalająca każdego.

Wacław Bielecki



ZAPISKI MELOMANA

GDAŃSKIE DNI KLARNETU

czwartek, 21 marca 2024 r.



Gra Polski Zespół Basethornowy, pierwszy z prawej Andrzej Wojciechowski, fot. W. Bielecki

Koncert galowy kończący IV Międzynarodowy Festiwal „Gdańskie Dni Klarinetu i Saksofonu” odbył się zapełnionej wykonawcami i słuchaczami starej auli Akademii Muzycznej w Gdańsku w tzw. budynku czerwonym. Wystąpili na nim uczniowie, studenci, nauczyciele i wykładowcy oraz gwiazdy festiwalu. Najpierw usłyszeliśmy duże orkiestry. Jako pierwsza zagrała ponad 60-osobowa orkiestra klarinetowa złożona z uczniów szkół muzycznych I stopnia. Pod dyrekcją Barbary Pappelbaum-Kruczkowskiej najmłodszy instrumentalisci z radością wykonali rytmiczną *Tequilę* Chucka Rio. Ich starsi koledzy ze szkół średnich oraz studenci w nieco mniejszym, 50-osobowym zespole zagrali temat ze ścieżki dźwiękowej skomponowanej przez Ennio Morricone do filmu *The Ecstasy of Gold*. Orkiestrę prowadził Szymon Zawodny.

Potem była zmiana nastroju, bo na estradzie pojawiło się pięciu profesorów, którzy zaprezentowali publiczności klasycystyczny *Kwintet B-dur op. 56 nr 1* Franza Danziego składający się z czterech kontrastujących części. W tym utworze można było zobaczyć i usłyszeć różne rodzaje klarinetów: grający w najwyższych rejestrach klarinet Es, dwa typowe klarnety B, basethorn (większa, altowa odmiana klarinetu z zakręconą czarą dźwiękową) i największy klarinet basowy.

Ostatnią część koncertu wypełniły utwory zagrane przez Baltic Clarinet Camerata, czyli studencką orkiestrę klarinetową w 13-osobowym składzie. Dyrygowali na zmianę

profesorowie: Jan Jakub Bokun z Wrocławia (szef uznanego w świecie Festiwalu Klarinetowego „Clarimania”) i znany z występów w Sztumie i Waplewie - Andrzej Wojciechowski z Gdańska. Zespół wykonał siedem utworów w aranżacji na taką, nietypową orkiestrę. Były to: Vivaldi - *Concerto RV 548* w oryginale na skrzypce i obój, a tutaj na dwa klarnety (Dorota Boruch-Żołnacz i Blerim Emerllahu); Mozart - I część serenady *Eine Kleine Nachtmusic*; Rossini - *Uwertura do opery Cyrulik Sewilski*; Szostakowicz - *Taniec Chasydów*; Michele Mangani - *Blues*, Paul Saunders - *Clarifunkation!*; David Burndrett - *Dave's disco*.

Spośród wykonanych dzieł najbardziej spodobał mi się *Blues* Manganiego. Jest to żartobliwy mix wykorzystujący fragmenty *Błękitnej rapsodii* i *Amerikanina w Paryżu* Gershwina w którym solo na klarnecie wykonał prof. Roman Widaszek z Katowic. Była to pyszna interpretacja, typowo jazzowa ze swingiem, zagrana finczyjnie i dowcipnie.

Po występie pogratulowałem prof. Andrzejowi Wojciechowskiemu występu w nietypowej dla niego roli dyrygenta i zapytałem: - Jak się Panu dyrygowało? Odpowiedział z uśmiechem: - Dobrze, bo w przeciwieństwie do klarncisty, jak się dyrygent pomyli, to tego nie słyhać.

WIOSNA W SOPOCKIEJ FILHARMONII

piątek, 22 marca 2024 r.



Dyrygent Szymon Morus prezentuje orkiestrę po wykonaniu koncertu, fot. W. Bielecki

Na początku tego roku nastąpiła zmiana na stanowisku dyrektora i dyrygenta Polskiej Orkiestry Kameralnej w Sopocie. Prawie czterdzieści dwa lat tę funkcję pełnił maestro Wojciech Rajski, który w styczniu przekazał batutę Szymonowi Morusowi - swojemu uczniowi z klasy dyrygentury w Akademii Muzycznej w Gdańsku, doktorowi sztuk muzycznych, który od sezonu 2021/2022 piastuje także stanowisko dyrygenta gościnnego Filharmonii Sinfonia Baltica w Słupsku.

Koncert nosił tytuł „W poszukiwaniu wiosny”. W programie zaproponowano słuchaczom wysłuchanie kilku utworów jakoś związanych z tym tematem. Wieczór zaczął się spokojną i marzycielską muzyką z drugiej części znanej *Serenady na smyczki* Edwarda

Elgara. Następnie sopoccy kameraliści zagraли skoczny *Taniec wiejski* z poematu symfonicznego Harvey'a Hope oraz spokojną miniaturę Maxa Richtera *O naturze światła dziennego*. Wszystko to miało na celu przygotowanie odpowiedniego nastroju do głównego wydarzenia wieczoru, jakim był występ gitarzysty klasycznego Mateusza Kowalskiego, znanego nam z recitali w Sztumie i Waplewie. W Sopocie zagrał utwór skomponowany przez angielskiego wirtuoza gitary, szczególnie barokowej, Harvey'a Hope'a na gitarę z orkiestrą smyczkową pod nazwą *Madrugada* (hiszp. *Wczesny poranek*), składający się z trzech części: 1. *Danza de los Sueños* (*Taniec marzeń*), 2. *Amanecer* (*Wschód słońca*), 3. *Mercado de la Mañana* (*Targ poranny*).

Madrugada, celowo nawiązuje do słynnego *Concierto de Aranjuez*, koncertu na gitarę Joaquina Rodriga i – jak to usłyszeliśmy od prowadzącego koncert Krzysztofa Dąbrowskiego – skomponowana jest nieco z przymrużeniem oka. To muzyczny dowcip w hiszpańskim stylu, pomyślany jako żartobliwa alternatywa dla mocno już ogranego koncertu Rodriga zwanego przez Anglików... „orange juice”, czyli coś, co jest codziennie. Rzeczywiście, od pierwszych taktów słyhać wyraźne nawiązania do koncertu Rodriga z charakterystycznym pobrzmiwaniem melodii i rytmów w stylu flamenco. Po świetnym zagranium *Madrugady* Mateusz Kowalski uraczył słuchaczy finezyjnym i brawurowym zarazem wykonaniem *Tanga en Skaï* z repertuaru francuskiego gitarzysty Rolanda Dyensa.

W czasie przerwy udało mi się porozmawiać z solistą. Dowiedziałem się, że w dalszym ciągu pracuje jako asystent na Uniwersytecie Muzycznym Fryderyka Chopina w Warszawie, gdzie uczy kilkunastu studentów gry na gitarze. Bardzo dużo koncertuje. Zaczął pisać pracę doktorską na temat wykonania na gitarze *Koncertu f-moll* Chopina. Ten temat jest mu bardzo dobrze znany, bo w sierpniu ubiegłego roku zagrał ów koncert w aranżacji Jerzego Koeniga w Filharmonii Narodowej w Warszawie podczas „Festiwalu Chopin i jego Europa” z towarzyszeniem {oh!}, czyli Orkiestry Historycznej pod dyrekcją Martyny Pastuszki, co osobiście widziałem i słyszałem podczas transmisji internetowej.

Po antrakcie usłyszeliśmy dwa utwory na orkiestrę smyczkową. Pierwszym była kompozycja Macieja Zakrzewski zatytułowana *Air de cour for string orchestra*. Jest to swoisty hołd muzyczny złożony J. S. Bachowi, w którym młody gdański kompozytor i organista (dwukrotnie grał w Sztumie) cytuje i przetwarza słynną bachowską *Sarabandę z V Suity wiolonczelowej BWV 1011*. Utwór ten został ciepło przyjęty na początku tego miesiąca w Filharmonii Narodowej w Warszawie. Koncert zakończył się dziełem *Wiosna w Appalach* Amerykanina Arona Coplanda uważanego za prekursora muzyki współczesnej. Do jego wykonania dołączyło do smyczków kilka instrumentów dętych drewnianych (flet, klarnet, fagot) oraz fortepian. Tutaj ciekawostka. Copland był początkowo awangardzistą, ale później zmienił się, bo jak sam wyznał: - *Uświadomiłem sobie, że nam kompozytorom grozi niebezpieczeństwo działania w próżni. Nie miało sensu ignorowanie słuchaczy i nadal pisanie tak, jakby nie istnieli*. Skojarzyła mi się *Wiosna w Appalach* z muzyką filmową. Jest to dość zróżnicowane dzieło, gdy idzie o prezentowane nastroje i konwencjonalne w wykorzystaniu klasycznych środków kompozytorskich. Ten utwór, jak i poprzednie, został bardzo dobrze przyjęty przez publiczność szczerze wypełniającą ciasną salę koncertową przy Operze Leśnej.

PIEŚNIĄ I TAŃCEM POWITALI WIOSNĘ „POWIŚLANIE” W KWIDZYNIE

sobota, 23 marca 2024 r.



Szefowa ZPiT Powiśle - Ewa Jamrozek dziękuje wykonawcom i publiczności, fot. W. Bielecki

Wiosenny koncert Zespołu Pieśni i Tańca „Powiśle” z Kwidzyna odbył się w sali miejskiego kinoteatru. Widzowie zobaczyli prawie trzydzieści tańców i pieśni z różnych regionów naszego kraju: Dolnego Powiśla, łowickiego, krakowskiego i dziecięce zabawy taneczne z lubelskiego.

Dwa lata temu „Powiślanie” obchodzili 60-lecie swojego istnienia. Wtedy zaprezentowali się w ponad dwugodzinnym koncercie, który został nagrany i można go oglądać na YT. Przez przypadek odkryłem to nagranie, co spowodowało, że chętnie pojechałem do Kwidzyna aby obejrzeć śpiewaków i tancerzy na żywo. Zespołowi przewodzi od wielu lat choreografka Ewa Jamrozek. Zgromadziła ona wokół siebie sporą grupę osób zainteresowanych kulturą ludową i tradycyjnymi tańcami polskimi. W tym dużym, ponad 60-osobowym zespole tańczą i śpiewają cztery grupy wiekowe: maluchy, dzieci, młodzież, seniorzy oraz kapela w składzie: 3 akordeony, 2 skrzypce, 2 klarnety, na czele z akordeonistą Januszem Ketzem. W relacjonowanym tutaj koncercie wiosennym nie zauważyłem seniorów.

Celem zespołu jest, m.in. „kultywowanie i ochrona od zapomnienia zwyczajów, pieśni, tańców pięknego polskiego folkloru, w szczególności całego regionu Dolnego Powiśla”. Tancerze i śpiewacy ubrani w barwne stroje ludowe wykonali na bardzo dobrym poziomie pomysłowe układy taneczne, ciekawie opracowane, dynamiczne i zmienne. Niektóre pieśni powstały współcześnie, na przykład, na rozpoczęcie koncertu usłyszeliśmy poloneza zaczynającego się od słów: - *Hej, tu na Dolnym Powiślu, dzielnych ludzi mieszka wiana, / tęgich mamy gospodarzy, piękna nasza ziemia cała*, a w trakcie występu żartobliwą piosnkę: - *W tym naszym Kwidzynie są ładne dziewczuchy*. W czasie koncertu widzowie mogli się napatrzeć i nasłuchać wszystkich narodowych tańców polskich: poloneza, kujawiaka, oberka, mazura, krakowiaka oraz walczyków i polek.

Wśród wielu innych usłyszałem śliczną i rzewną pioszeczkę *W moim ogródeczku* oraz kilka utworów z „żelaznego” repertuaru „Mazowsza”: *Cyt, cyt, Kukuleczka, Po co żeśta kawaliry przyszli, Wysokie płoty tato grodził, Wyszła bym za dziada, żeby się trafiło*. Szczególnie piękne było taneczne wykonanie rzewnego kujawiaka przez grupę dziewcząt z dużymi, kolistymi wiankami w rękach oraz żwawego krakowiaka *Albo tośmy jacy tacy* przez zespół dziecięcy. Na zakończenie występu wszyscy zaśpiewali pieśń znaną mi z dawnego repertuaru szkolnego: *Bo to jest wiosna, wiosna, wiosna, piękna i radosna*.

Prezentowane tańce i pieśni były często nagradzane przez licznie zgromadzoną publiczność gromkimi oklaskami, a szczególnie mocno i często były oklaskiwane ciekawsze układy taneczne. Tak więc, mimo padającego za oknami deszczu, koncert zakończył się radośnie, a dla mnie optymistycznie, bo jak się okazało, tradycyjna polska kultura jeszcze nie upadła na Dolnym Powiślu i ma tutaj swoich sympatyków oraz - co najważniejsze - młodych wykonawców.

KONCERT STUDENTEK ZAGRANICZNYCH UMFC

niedziela, 7 kwietnia 2024 r.



Na saksofonie altowym zagrała Ester Dvořaková, fot. W. Bielecki

W niezwykle upalną kwietniową niedzielę znalazłem się w sali koncertowej Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina w Warszawie. Wieczór anonsowany był jako „Koncert studentów zagranicznych” tej prestiżowej uczelni. Okazało się jednak, że wystąpiły same panie, głównie chyba Chinki: dwie pianistki, dwie skrzypaczki, altowiolistka i sopranistka. Wśród występujących wyróżniała się, na moje ucho, grająca z niezwykłym zacięciem i temperamentem na altówce Wang Yuaxio. Usłyszeliśmy ją najpierw w *Preludium z VI Suiy* J. S. Bacha napisanej w oryginale na wiolonczelę solo, potem zagrała w duecie ze skrzypaczką Suen Yehan zaaranżowany na ten skład piękny utwór F. Schuberta *Erlkönig (Król Olch)*.

Do odnotowania w tej relacji pozostał mi jeszcze występ saksofonistki Ester Dvořakové (sądząc po nazwisku, chyba Czeszki). Z akompaniamentem fortepianu zagrała na złocistym

saksofonie altowym nieznaną mi zupełnie *Sonatę cis-moll* Fernanda Decrucka. W tym czteroczęściowym utworze znajduje się część III *Fileuse (przędzarka lub prządka)*, wymagająca wręcz wirtuozowskiego opanowania instrumentu i tym wymaganiom występująca znakomicie sprostała. Zastanawiałem się, dlaczego Ester Dvořakova zagrała całą sonatę, a nie tylko jedną część, jak pozostałe koleżanki. Wytłumaczenie może być proste. Otóż opiekę artystyczną na koncercie sprawował prof. dr hab. Paweł Gusnar, saksofonista i prorektor ds. zagranicznych UMFC.

Był to nieco dziwny koncert, bo odbył się bez choćby jednego słowa powitania, zapowiedzi czy komentarza. Po prostu studentki wychodziły po kolei na scenę i grały utwory w kolejności zapisanej w wydrukowanym programie. Niestety, zabrakło w nim elementarnych informacji, choćby takich, z jakiego kraju pochodzą oraz u jakiego profesora studiują.

POMORSKA NAGRODA ARTYSTYCZNA

czwartek, 25 kwietnia 2024 r.



Pianista Gábor Farkas specjalizuje się w repertuarze lisztowskim, fot. Internet

Podczas gali zorganizowanej w sali Polskiej Filharmonii Bałtyckiej na gdańskiej Ołowiance Marszałek Województwa Pomorskiego Mieczysław Struk wręczył Pomorskie Nagrody Artystyczne za rok 2023 r. Impreza ta odbyła się po raz 25. Wielką Pomorską Nagrodę Artystyczną przyznawaną osobiście przez marszałka za całokształt wybitnych osiągnięć w dziedzinie kultury otrzymała Dorota Kolak, aktorka Teatru Wybrzeże, pracująca w nim od czterdziestu lat. Poza tym, tzw. Wielka Kapituła nagrodziła artystów w trzech kategoriach – *I. Kreacje artystyczne*: Łukasz L.U.C. Rostkowski – za muzykę do filmu „Chłopi”, André Ochodlo - za „Pieśni Getto”, Jerzy Snakowski - za reżyserię operetki „Księżniczka czardasza”; *II. Pomorska nadzieja artystyczna*: Karolina Kowalska – za rolę „Pięknej Zośki” w Teatrze Wybrzeże oraz *III. Mecenat kultury*: firma Laminopol - za wsparcie finansowe Polskiej Filharmonii Sinfonia Baltica w Słupsku.

Koncert symfoniczny odbył się na zakończenie uroczystości i był jej zwieńczeniem. Był znacznie krótszy niż zwykle koncerty piątkowe. Na jego program złożyły się trzy utwory bardzo

przyjemne w odbiorze. Filharmonicy pod batutą George Tchitchinadze zaczęli od *Uwertury do opery 'Cyrylik Sewilski'* Rossiniego. Zagrali ją w niezbyt pospiesznym tempie, co pozwoliło na wyeksponowanie najróżniejszych smaczków w instrumentacji tego hitu. Potem zabrzmiał najważniejszy utwór wieczoru: *II Koncert fortepianowy A-dur* Liszta w wykonaniu węgierskiego pianisty Gábora Farkasa. To jednocześnie dzieło o zmiennych nastrojach składa się z sześciu niezbyt długich sekwencji wykonywanych bez przerw między nimi. Koncert zaczyna się od powolnego *Adagio*, gdzie początkowo główny temat podejmuje klarnet. W jednej ze środkowych sekwencji umiejscowiony jest przepiękny dialog wiolonczeli z fortepianem, a całość kończy się żywiołowym *Allegro animato*. Ta nietypowa budowa utworu – jak twierdzą muzykolodzy – przypomina jeden z ważniejszych wynalazków Liszta: poemat symfoniczny.

Muzyka skomponowana przez Liszta zawiera wiele brawurowych momentów wirtuozowskich, które z dużą swobodą i w bardzo szybkim tempie zaprezentował pianista. Nie było to dla niego nic nowego, bo jak wynika z CV artysty, specjalizuje się on w wykonywaniu muzyki Liszta, o czym świadczy zwycięstwo w roku 2009 na Międzynarodowym Konkursie Pianistycznym im. F. Liszta w Weimarze. Trzy lata później Gábor Farkas otrzymał największe państwowe muzyczne wyróżnienie na Węgrzech - nagrodę im. Ferenc Liszta. Jednak dzisiejsza gra pianisty nie wzbudziła entuzjazmu wśród gdańskiej publiczności i bisu nie było. Przypuszczam, że tego wieczora na widowni siedziało sporo osób, które przyszły tutaj nie na koncert, tylko na konkursową galę i stąd dość powściągliwe przyjęcie artysty. Na zakończenie gdańscy filharmonicy uraczyli słuchaczy brawurowym wykonaniem *La valse'a* Ravela. W tym znanym utworze orkiestra wystąpiła w składzie powiększonym, m.in. o dwie harfy, klarnet basowy i kontrafagot. *La valse* wykonany został z wielkim animuszem, dlatego hucznym brawem nie było końca. To było piękne i radosne zwieńczenie wieczoru.

Przy okazji gali naszły mnie refleksje dotyczące sposobu wyłaniania osób do nagrody w najważniejszej kategorii: *Kreacja artystyczna*. Trzech zwycięzców wybiera się teraz spośród pisarzy, reporterów, poetów, aktorów, reżyserów, muzyków klasycznych i jazzowych, itp. Zastanawiałem się, czy można to zrobić w bardziej klarowny sposób? Jak np. wyważyć zasługi reżysera jedynego spektaklu teatralnego w porównaniu z muzykiem, który przez 50 lat zorganizował dwa i pół tysiąca (!) koncertów kameralnych? Moim zdaniem, byłoby bardziej przejrzyste i sprawiedliwe, gdyby przyznawać nagrody w kilku odrębnych kategoriach, np. aktorzy i reżyserzy, pisarze i reporterzy, muzycy i kompozytorzy.

ORGANY Z SAKSOFONEM PODCZAS KWIDZYŃSKIEJ WIOSNY MUZYCZNEJ

wtorek, 30 kwietnia 2024 r.

Po miesiącu po raz drugi trafiłem do Kwidzyna na koncert, ale tym razem odbył się on w konkatedrze. Był to ostatni, czwarty koncert na zakończenie 7 Międzynarodowego Festiwalu Kwidzyńska Wiosna Muzyczna. Impreza ta organizowana jest przez fundację Phasma-Music i Kwidzyńskie Centrum Kultury. Jej spiritus movens jest świetna flecistka Iwona Glinka, rodowita kwidzynianka, mieszkająca w Grecji. Koncert organowy poprzedziły dwa

inne, kameralne, w Kasynie Kultury oraz występ w kinoteatrze Orkiestry Smyczkowej Lwowskiej Narodowej Filharmonii pod batutą Wołodymyra Syvokhipa z solistami, m.in. Iwoną Glinką na flecie altowym.



Ryszard Żołędziwski saksofonista i Piotr Rojek organista zeszli z chóru po występie, aby pokłonić się publiczności, fot. W. Bielecki

Wykonawcami koncertu w konkatedrze byli dwaj profesorowie z Akademii Muzycznej we Wrocławiu: Ryszard Żołędziwski, saksofonista i Piotr Rojek, organista. Obaj są kierownikami katedr, saksofonista - Katedry Instrumentów Dętych, Perkusji i Akordeonu, organista - Katedry Organów, Klawesynu i Muzyki Dawnej (jest też Dziekanem Wydziału Instrumentalnego). Panowie profesorowie mają w swoim dorobku wiele koncertów w Polsce i za granicą, nagrane płyty, często też występują razem w tym ciekawym duecie.

Na program koncertu złożyło się osiem utworów, wszystkie na organy z saksofonem altowym (bądź sopranowym). Trzy z nich były to dłuższe kompozycje o charakterze elegijnym: Vincent d'Indy – *Choral varié*, Claude Debussy – *Rhapsody*, Michael Dulitsky - *Elégia*. Te poważne kompozycje przedzielane były krótszymi miniaturami o pogodniejszym a nawet tanecznym charakterze. Usłyszeliśmy więc znanego Poloneza *'Pożegnanie ojczyzny'* Michała Kleofasa Ogińskiego i skoczno *Cardasa* Vittoria Montiego oraz dwie kilkuczęściowe kompozycje w lżejszym nastroju: *6 Tańców Rumuńskich* Beli Bartoka i trzy fragmenty z *Suity nr 1 'Peer Gynt'* Edvarda Griega. Na zakończenie muzycy zagrali romantyczną w stylu *Arię*, którą skomponował ich kolega z wrocławskiej uczelni Mirosław Gąsieniec.

Zestawu dwóch, w istocie dętych instrumentów, słuchało się dobrze, tym bardziej, że muzycy okazali się perfekcjonistami, a aksamitny dźwięk saksofonu w sposób niezwykle spletał się z ciekawie dobranymi głosami organów. W sumie jednak podczas koncertu przebił jakiś przemożny smutek. To fakt, że smutne melodie bywają piękne, ale w tym koncercie tych smętnych było, moim zdaniem, nieco za dużo.

Wstęp na koncert w konkatedrze był wolny. Organizatorzy, jak to powiedział na początku ksiądz proboszcz, liczyli na ofiarność słuchaczy, aby zebrać fundusze na remont organów. Wiadomo powszechnie, że ich stan jest nie najlepszy. Profesor Piotr Rojek określił, że funkcjonują zaledwie w 30 proc. swoich możliwości kolorystycznych, bo brakuje im wielu

głosów. Powolny remont wlecze się od wielu lat. W tym roku, podobno już w czerwcu, ma być zainstalowany nowy głos: cymbał. Na koniec trzeba zauważyć, że tego wieczora publiczność niezbyt dopisała. W kościele zajętych była zaledwie 1/3 ławek. Może to była sprawa znakomitej, cieplej pogody niesprzyjającej udziałowi w zamkniętych pomieszczeniach, albo obawa przed lodowatym wnętrzem świątyni, a może kwidzynianie odzwyczajeni są po prostu od koncertów organowych.

MARTIN GARCIA GARCIA W RECITALU NA 77 URODZINY GDAŃSKIEJ UCZELNI

piątek, 10.05.2024 r.



Gościem specjalnym wieczoru był hiszpański pianista Martin Garcia Garcia, fot. W. Bielecki

W mojej ulubionej szkole, Akademii Muzycznej im. Stanisława Moniuszki w Gdańsku, odbył się koncert z okazji „Dni Uczelni” i 77. rocznicy jej powstania. W pierwszej części zagrała uczelniana orkiestra „Camerata Gedania” pod dyrekcją dr hab. Andrzeja Kacprzaka, prowadzącego ten studencki zespół od pierwszych skrzypiec. Muzycy wykonali aż 5 krótkich koncertów z różnymi solistami. Najpierw były to dwa koncerty A. Vivaldiego – *Sinfonia nr 3 G-dur na smyczki* oraz *Koncert a-moll na obój i orkiestrę smyczkową* w którym partię solową wykonał dość nietypowo zachowujący się na scenie Szymon Bratke. Kolejny utwór – *Koncert g-moll na organy i orkiestrę smyczkową* G.F. Händla - wykonał na pozytywie prof. Roman Perucki. W ten sposób zaprezentowano publicznie nowo zakupiony przez uczelnię instrument: pozytyw, czyli małe, przenośne, trzygłosowe organy bez klawiatury pedałowej, wykonane przez znaną firmę organmistrzowską Krzysztofa Mollina z Odrów koło Czarska. Zabrzmiął on delikatnie, ale bardzo wyraźnie, pokazując piękne, charakterystyczne głosy.

Następnie słuchacze mieli możliwość wysłuchania *Concertina na puzon i orkiestrę smyczkową* szwedzkiego kompozytora Larsa Erika Larssona. Trudną, ale i efektowną partią

solową podzielili się dwaj puzoniści - Dominik Łukaszczyk i Tomasz Przybysławski. Jeden wykonał część I, a drugi część II i III, tego mało znanego utworu. Na koniec zabrzmiała cz. II i III *Opale Concerto na akordeon i orkiestrę smyczkową* Richarda Galliano, współczesnego kompozytora francuskiego. Na harmonii zagrał ją z wielkim uczuciem Albert Woelke. Druga część tej kompozycji utrzymana jest w stylu francuskiego walca, a trzecia to tango przypominające słynne utwory Astora Piazzolli. Wykonawca został zmuszony do zabisowania krótkiego fragmentu dzieła.

Po przerwie, w drugiej części koncertu wystąpił gość specjalny: Hiszpan Martín García García, zdobywca III nagrody na XVIII Międzynarodowym Konkursie Pianistycznym im. Fryderyka Chopina w 2021 r. Został on zaproszony przez uczelnię również do przeprowadzenia warsztatów pianistycznych ze studentami. Program recitalu pianisty był do samego końca niespodzianką, ale okazało się, że nie aż tak wielką. Grający na fortepianie Fazioli muzyk zaczął od utworów Bacha, a w drugiej części półrecitalu zagrał trzy walce Chopina: *e-moll op. posth., cis-moll op. 64 nr 2, Es-dur op. 18* i zakończył bisem z kolejnym walcem: *Des-dur op. 64 nr 1*, tzw. minutowym.

Martín García García to młody, 28-letni wirtuoz fortepianu. Zarówno Bacha jak i Chopina grał z niesłychaną biegłością i łatwością. W barokowych utworach Bacha znakomicie ukazywał skomplikowaną strukturę polifoniczną, a w miniaturach chopinowskich wspólnie stosował zmienne tempo rubato i odcienie dynamiczne. Zupełnie inaczej, odkrywczo, zabrzmiał pod jego palcami mój ulubiony *Walc cis-moll* Chopina. W czasie grania słysząc było, że pianista ciągle coś sobie podśpiewuje, ale – o dziwo – nie przeszkadzało to w odbiorze muzyki. Był to sumie bardzo przyjemny i udany koncert. Dodać trzeba, że w gdańskiej akademii wykonuje się rocznie ponad 500 koncertów, czyli średnio dwa dziennie. Jest więc czego słuchać i dlatego nie dziwi fakt, że sala uczelni nie była wypełniona po brzegi. Zauważyłem już dość dawno, że na ogół w czasie koncertów w szkołach muzycznych nie ma nadmiaru słuchaczy. Wynika to zapewne z tego, że muzycy codziennie od rana do wieczora mają zajęcia wypełnione muzyką i czasem mają jej po prostu dość, podobnie jak listonosze, dla których pójście na zwykły spacer nie jest żadną atrakcją.

AFRYKANIN DYRYGUJE W FILHARMONII NARODOWEJ

sobota, 25 maja 2024 r.

Planowałem wysłuchanie zupełnie innego koncertu i w innym mieście, ale los niepodziewanie rzucił mnie do Warszawy. W Filharmonii Narodowej obchodzono akurat 75 urodziny Piotra Mossa, polskiego kompozytora, ucznia Nadii Boulanger. Jak wiadomo, u tej słynnej nauczycielki studiowało w Paryżu wielu Polaków, m. in. Grażyna Bacewicz, Stefan Kisielewski, Zygmunt Krauze, Krzysztof Meyer, Kazimierz Serocki, Stanisław Skrowaczewski, Romuald Twardowski. Z okazji wspomnianej rocznicy obecny dyrektor Filharmonii Narodowej Andrzej Boreyko zamówił u Piotra Mossa utwór poświęcony jego nauczycielce i w ten sposób powstała okolicznościowa kompozycja zatytułowana: *Mademoiselle - homage à Nadia Boulanger*. Jest to kilkunastominutowa miniatura napisana na dużą orkiestrę

symfoniczną z udziałem organów i dwóch harf oraz licznych instrumentów dętych i perkusyjnych, raczej o smutnym charakterze z wyeksponowaną partią wiolonczeli. Po zakończeniu tego po raz pierwszy wykonywanego utworu, obecny na koncercie kompozytor został zaproszony na scenę, gdzie otrzymał wiązankę kwiatów i kłaniał się nisko dziękując orkiestrze, dyrygentowi i publiczności.

Potem zabrzmiał główny utwór wieczoru: *Koncert fortepianowy cis-moll* Francisa Poulenca. Co prawda, nie dorównuje on popularnością innej, znanej mi dokładnie kompozycji tego twórcy - *Koncertowi g-moll na organy, orkiestrę smyczkową i kotły*, ale w odbiorze jest bardzo przyjemny. Pełno w nim ładnych i powtarzających się melodii, łatwo wpadających do ucha i podejmowanych przez fortepian bądź orkiestrę. To trzyczęściowe dzieło, trwające niewiele ponad 20 minut jest tak zbudowane, że każda kolejna część jest krótsza od poprzedniej. Solistą był świetny polski pianista Piotr Sałajaczyk, który błyskotliwie wykonał partię fortepianu z francuską lekkością, dużą radością i dozą wytwornego humoru. Muzyk zagrał na bis dwie impresjonistyczne miniatury Claude'a Debussy'ego. Pierwszą z nich było preludium pt. *Taniec pajacyka*, które skojarzyło mi się ze skocznym ragtimem.

Koncert zakończył się *VIII Symfonią G-dur* Antonína Dvořáka. I tutaj znowu trzeba wspomnieć, że nie jest ona tak słynna jak następna jego kompozycja - *IX Symfonia „Z Nowego Świata”*. Zawiera wszakże bardzo dużo przepięknych melodii, opartych na czeskim folklorze i kunsztownie zinstrumentowanych. Szczególnie zachwycająca jest trzecia część zaczynająca się przepięknym walcem. Słuchanie takiej muzyki daje wiele przyjemności. Nic dziwnego, że warszawscy melomani obdarzyli wykonawców długą owacją na stojąco. Wśród nich był dyrygent Vimbayi Kaziboni, urodzony w afrykańskim Zimbabwie, wysoki, łysy, z brodą i w okularach, ubrany nietypowo, bo w czarną koszulę i niefortunny dobrane, według mnie, spodnie. Dyrygował uważnie, plastycznymi, miękkimi ruchami rąk sprawnie przeprowadził muzyków orkiestry przez wszystkie, tak inne stylistycznie, utwory kompozytorów różnych nacji: Polaka, Francuza i Czecha. Wydaje mi się, że był to typowy koncert, jakich wiele można wysłuchać co tydzień w Filharmonii Narodowej.



Vimbayi Kaziboni, dyrygent pochodzący z Zimbabwie,
 fot. Internet

WARSZAWA CHOPINEM STOI

niedziela, 26 maja 2024 r.



Jan Wachowski gra swoje „Wariacje C-dur”, fot. W. Bielecki

Jak napisałem w tytule tej relacji: muzyczna Warszawa Chopinem stoi, o czym przekonała mnie dzisiejsza niedziela. W samo południe pojechałem rowerkiem do Parku Łazienkowskiego, aby wysłuchać koncertu plenerowego pod pomnikiem Chopina. Niestety, musiałem się wycofać, bo słońko grzało tak mocno (temperatura wynosiła ponad 30 stopni Celsjusza), że groził mi udar słoneczny. Na skwerze otaczającym pomnik nie ma się gdzie schronić. Nieliczne miejsca w cieniu pod drzewami są zajęte przez warszawiaków, którzy przychodzą do Łazienek znacznie wcześniej, a reszta słuchaczy wystawiona jest na działanie promieni słonecznych, jak na przysłowiowej patelni. Odjechałem więc pospiesznie, nie czekając nawet na rozpoczęcie koncertu. Jednak w Warszawie muzyki Chopina można posłuchać codziennie w innych miejscach, małych salach koncertowych na Starym Mieście. Od kilku lat takie koncerty są codziennie organizowane o godzinie 18:00 w siedzibie... Polskiego Związku Artystów Fotografików, tuż przy Zamku Królewskim. Parę kroków dalej, codziennie o godzinie 18.30 można wysłuchać muzyki Chopina na żywo w Muzeum Archidiecezji Warszawskiej, gdzie bilety kosztują drogo, tyle samo co w Filharmonii Narodowej. Nieco dalej, pod murami Starego Miasta przy ulicy Podwałe funkcjonuje kolejna instytucja z niebudzącą wątpliwości nazwą: „Sala Fryderyk”.

Ja wybrałem się jednak do bardziej prestiżowej sali koncertowej znajdującej się w nowocześniejszym Muzeum Chopina w Pałacu Ostrogskich przy ulicy Tamka. Tutaj w każdą niedzielę w okresie letnim odbywają się recitale chopinowskie powtarzane trzykrotnie w godzinach 12.00, 15.00 i 17.00. Natrafiłem na recital pianisty Jana Wachowskiego, absolwenta Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina, obecnie doskonalącego swój warsztat w Brukseli w zakresie pianistyki i kompozycji. W krótkim recitalu młody artysta zaprezentował się przygodnej publiczności, składającej się głównie z uczniów jakiejś szkoły średniej

zwiedzających akurat muzeum. Usłyszeliśmy *Mazurka e-moll* i *Balladę As-dur* Chopina, *Sonatinę* polskiego kompozytora Mieczysława Wajnbęrga oraz własną kompozycję wykonawcy – *Wariacje C-dur*. Trzeba przyznać, że pianista i jednocześnie kompozytor, umiejętnie wykorzystał występ na zapoznanie słuchaczy ze swoją twórczością, bo skomponowany przez niego utwór zajął prawie połowę czasu półrecitalu trwającego zaledwie 30 minut. Zauważyłem jednak, że jest to ciekawa, zróżnicowana w nastrojach i bardzo trudna miniatura wymagająca dużej biegłości, wręcz wirtuozerii od pianisty, niczym kompozycje Liszta. Warto było jej posłuchać.

SYMFONIA „PIEŚNI ŻAŁOSNYCH”

sobota, 1 czerwca 2024 r.



W środku kadru: dyrygent Łukasz Borowicz i sopranistka Izabela Matuła, fot. W. Bielecki

W ramach 27 Festiwalu *Gdynia Classica Nova* w kościele św. Andrzeja Boboli na Obłuzu odbył się koncert z udziałem Orkiestry Polskiej Filharmonii Bałtyckiej pod dyrekcją Łukasza Borowicza, obecnego szefa poznańskich filharmoników. Chociaż w programie tego rocznego festiwalu były wyłącznie koncerty jazzowe, to ten relacjonowany był wyjątkiem. Wykonano na nim trzy smutne utwory: *Adagietto* z opery *Raj utracony* Krzysztofa Pendereckiego w kompozytorskiej wersji na smyczki i rożek angielski oraz pieśń *Ich bin der Welt abhanden gekommen* (*Jestem zgubiony dla świata*) z muzyką Gustava Mahlera ze słowami mniej znanego poety niemieckiego Friedricha Rückerta.

Głównym punktem programu była *III Symfonia 'Pieśni żalosnych'* Henryka Mikołaja Góreckiego w której partię solową zaśpiewała sopranistka Izabela Matuła. Dziwna to symfonia. Dziwna, bo jak wiadomo „symfonia” jest utworem instrumentalnym na orkiestrę symfoniczną, a tymczasem *III Symfonię* Góreckiego można by określić jako cykl trzech pieśni na sopran z towarzyszeniem orkiestry symfonicznej. Dziwne są też części tego dzieła, bo

wszystkie są utrzymane w tempie „lento”, co w muzycznej terminologii oznacza „powoli”. Cała symfonia jest długa, bo trwała prawie godzinę, dokładnie 56 minut.

Henryk Mikołaj Górecki skomponował ten utwór w 1976 roku. Do napisania zainspirowały go słowa wyryte przez kilkunastoletnią dziewczynkę Helenę Błazusiakównę na ścianie celi numer 3 w zakopiańskim komisariacie gestapo znajdującym się w pensjonacie „Palace”: *„Mamo, nie płacz, nie. Niebios Przczysta Królowo, Ty zawsze wspieraj mnie. Zdrowaś Mario”*. Dziewczynka została schwyta 25 września 1944 roku przez Niemców w Schronisku na Lubaniu i więziona przez nich. Ten tekst jest wykorzystany w drugiej części symfonii. Natomiast, w pierwszej, najdłuższej części utworu trwającej 30 minut, znajduje się krótki, XV-wieczny *„Lament świętokrzyski z „Pieśni łysogórskich”* zaczynający się słowami: *Synku miły i wybrany / Rozdziel z matką swoje rany*. To także jest dziwna część, bo 5-minutową partię solistki poprzedza cały kwadrans muzyki granej przez orkiestrę, a po zaśpiewaniu tekstu znowu słyszymy 10-minutowe zakończenie instrumentalne. W ostatniej części utworu znajduje się najwięcej słów pochodzących z ludowej pieśni z opolskiego: *Kajze mi sie podziol / mój synocek miły? / Pewnie go w powstaniu / złe wrogi zabiły*.

Dziwna jest też muzyka symfonii napisana w stylu minimalistycznym, z powtarzającymi się w nieskończoność prostymi, surowymi melodiami i harmonią opartą głównie na akordach dur-moll i niezbyt nieskomplikowaną instrumentacją. A najdziwniejsze jest to, że ten utwór po szesnastoletnim okresie zapomnienia od chwili pierwszego wykonywania stał się światowym przebojem. Nastąpiło to po jego nagraniu przez orkiestrę London Sinfonietta z solistką Dawn Upshaw w 1992 roku. Płyta z tym nagraniem rozeszła się w ponad milionowym (!) nakładzie na całym świecie i weszła do kanonu arcydzieł muzyki symfonicznej XX wieku, przynosząc światową sławę swemu twórcy.

Niestety, w odbiorze utworu w gdyńskim kościele bardzo przeszkadzała mi kiepska akustyka tej świątyni, charakteryzująca się niepożądanym pogłosem. Tak zwykle bywa w niedawno wybudowanych kościołach. Duży pogłos bardzo utrudniał zrozumienie tekstu. Gdybym przed koncertem jeszcze w domu nie zapoznał się ze słowami, to niewiele bym zrozumiał, o czym śpiewała solistka. Izabela Matuła zaprezentowała silny, dramatyczny sopran, często o niskim, altowym zabarwieniu. Jej śpiew, chociaż z polskim tekstem, przypominał w odbiorze wokalizę, czyli pieśń bez słów. Łukasz Borowicz, jeden z moich ulubionych dyrygentów, znany z dużego temperamentu, tym razem prowadził orkiestrę bardzo spokojnie, minimalnymi gestami, stosownie do charakteru utworu. Wykonanie *III Symfonii* H. M. Góreckiego zostało przyjęte długimi oklaskami przez publiczność, głównie w wieku dojrzałym i starszym. Gdyńscy melomanii zapełnili kościelne ławy w dwóch/trzecich, pewnie dlatego, że wejście do kościoła było biletowane (ulgowy bilet kosztował 40 zł).

SZARA STREFA W FOTOGRAFII

**Z WOJCIECHEM SZARUGĄ ROZMAWIA
AGNIESZKA ŚWIERCZ-KARAŚ**

W sieci już od kilku lat funkcjonuje Szara Strefa Urbexu. Profil poświęcony jest fotografii, a prowadzi go mieszkaniec Sztumu, Wojciech Szaruga. W wywiadzie, jaki udzielił Prowincji, artysta opowiada, czym się zajmuje na co dzień, czym jest urbex, a kim likwidator z Czarnobyla.

Czy fotografia to u Pana pasja czy zawód?

Z zawodu jestem żołnierzem, służę w jednostce wojskowej 1128 w Malborku od 13 lat. Fotografia jest moją pasją, sposobem na spędzanie wolnego czasu i realizowaniu swoich wymyślonych projektów.

Czego dotyczą takie projekty?

Ostatnim moim pomysłem jest historia „likwidatora z Czarnobyla”, który po wybuchu reaktora błąka się po świecie szukając swojego miejsca na ziemi. Próbuje choć w małym stopniu odwzorować jego ubiór, robiąc zdjęcia starałem się pokazać jego życie w różnych miejscach. Materiał już jest, powoli się za niego zabieram. Kolejnym pomysłem jest zapraszanie do swojego małego studia ludzi na portrety, czarno białe kontrastowe portrety.

Często też zdarza mi się fotografować w pracy. Różnego rodzaju sekcje, organizując różnego rodzaju szkolenia, proszą mnie o reportaż (oczywiście jako wojsko wszystko robię wewnętrznie, zdjęcia nie wychodzą na wierzch z mojej strony). Traktuję to jako fotograficzny trening dla siebie.

Dlaczego akurat fotografia? Co Pana urzekło w zdjęciach? Czy na co dzień potrzebne jest dużo czasu, aby móc zajmować się takim hobby?

Fotografuję od około 12 lat, pierwszy aparat cyfrowy kupiłem przed narodzinami mojej córeczki Zosi. Zaczynałem chyba jak każdy fotograf od... tzw. kwiatków. Z każdym kolejnym rokiem ewoluowało to w coraz większe zainteresowanie. Od około 4 lat fotografuję, można powiedzieć, codziennie. Był czas, że aparat towarzyszył mi za każdym razem, jak wychodziłem z domu. Dziś w domu mam swoje małe przenośne studio, jestem po trzech wystawach i codziennie w moim głosowym notatniku dodaję nowe pomysły do zrealizowania.

Jak wygląda to, co się znajduje w takim przenośnym studiu?

Takie studio składa się z tła, lamp reporterskich i różnego rodzaju gadżetów potrzebnych, żeby to wszystko błyskało. Takie lampy są o tyle fajne, że mogę wziąć je w rękę i doświetlić sobie modela bądź modelkę w każdym miejscu. Wszystko jest na baterie, nie potrzebuję prądu. Ale nie powiem, że nie marzy mi się takie stacjonarne studio z prawdziwego zdarzenia, ale do takiego studia potrzeba o wiele więcej miejsca.

Pana profil w mediach społecznościowych nazywa się: Szara strefa Urbexu. Czym jest urbex?

Urbex Exploration czyli Eksploracja Miejsca jest to forma aktywności polegająca na eksplorowaniu opuszczonych, zrujnowanych, zapomnianych, niedostępnych czy ukrytych budynków. Moja strona na FB i Instagramie nazywa się „Szara Strefa Urbexu” jest poświęcona moim podróżom po opuszczonym świecie. Opuszczonych lokacji takich, jak np. szkoły, szpitale, domy itp. jest bardzo dużo rozmieszczonych na terenie całego naszego kraju. Systematycznie staram się zwiedzać takie miejsca i opisywać swoje przygody poprzez zdjęcia.

Pustostany są dla mnie miejscem, gdzie odpoczywam. Przeszywająca cisza jest tam tak głośna, że aż piękna, jakkolwiek to brzmi.

Bardzo fascynuje mnie to, jak wiele można wyczytać z pozostawionych rzeczy po osobach, które tam mieszkały. Uwielbiam układać swoje historie i tworzyć opisy do moich fotorelacji. Fascynuje mnie też w tym wszystkim natura... jak potrafi się przypomnieć i zabiera co swoje np. wchodzące jak do siebie przez okno gałęzie drzewa.

Czy w naszym regionie jest dużo takich miejsc?

Na terenie powiatu sztumskiego znajduje się parę ciekawych miejsc wartych uwagi. Najczęściej są to opuszczone domy.

Mógłby Pan wymienić kilka z nich?

Jest to na przykład: Dwór Pudłowiec, Mauzoleum Donimirskich, opuszczony domek na Zajezierzu, opuszczony domek na Kępinie (zburzony), ruiny Mauzoleum w Iglach, wiatrak Holender w Dziergoniu albo ruiny mostu Wartule.

Jeśli ktoś chciałby zacząć poznawać urbex, ma Pan dla takiej osoby jakieś rady?

Osoby, które by chciały zacząć podróżować po opuszczonym świecie, muszą pamiętać o tym, że należy do takich wypraw się odpowiednio przygotować. Trzeba pamiętać o sprzęcie, który jest niezbędny, tj. odpowiedni ubiór, latarki czy sprzęt medyczny. Podróżując samemu, należy powiadomić najbliższe osoby o chęci odwiedzenia danego miejsca, gdyby w razie braku kontaktu najbliżsi wiedzieli, gdzie się wybraliśmy. Na początku polecam odwiedzenie takich miejsc z osobą doświadczoną, mówię to z autopsji. Sam na starcie przygody jeździłem z doświadczonymi graczami, obserwowałem i się uczyłem.

Pora, którą ja lubię na zwiedzanie, to taki lekki chłodek, czasami nawet mróz, bo robi bardzo dużą robotę na pustostanach. Tworzy mega klimat, wschód słońca w opuszczonych domku w styczniowym mroźny poranek wpadających przez okno to jest coś pięknego. Wakacje (urlop) staram się odpocząć i gdzieś wyjechać, np. w góry. Ale gdy trafi się fajne miejsce, to zawsze znajdę czas, nawet w lato.

Użył pan słowa „gracze”, czy tak się nazywa miłośników urbexu? A może to coś więcej niż zwiedzanie i fotografia?

Urbex to nie tylko zwiedzanie i fotografowanie tych miejsc. Urbex to też robienie reportażu w postaci filmu z eksploracji, jak i szukanie wspaniałych miejsc do innej fotografii np. wykorzystanie scenerii jako tło do fotografii portretowej.

Inne osoby odwiedzające takie miejsce nazywane są zazwyczaj eksploratorami, słowo „gracze” to moje takie wewnętrzne nazewnictwo.

Ma pan swoje mapy, na których pan zaznacza, gdzie już był, a gdzie chciałby w najbliższym czasie dotrzeć?

Mapa urbexowych miejsc to podstawa. Każdy, kto zajmuje się urbexem, taką mapę posiada w swoim telefonie. Mam wiele pinetek na mojej mapie Google, chociaż znam ludzi, którzy mają tego i wiele więcej.

Czy ludzie interesujący się urbexem wymieniają się informacjami? Czy ta społeczność jest w Polsce duża? W naszej okolicy zna pan więcej takich hobbystów?

Ja wymieniam się współzrędnymi geograficznymi danego miejsca, które np. sam odkryłem, tylko z zaufanymi eksploratorami. Często działa to na zasadzie wymiany: ja ci coś dam, ale też się czymś podziel. Chcemy unikać potencjalnych kradzieży i dewastacji.

Na przestrzeni całej Polski jest dużo takich osób, którzy robią to na naprawdę dużą skalę. Prowadzą swoje kanały na Youtube czy relacjonują swoje podróże w podobny sposób do mojego. Znam z całej Polski ludzi z tej branży.

W okolicy jest parę osób, co zajmują się zwiedzaniem opuszczonych miejsc, ale w Sztumie nie znam nikogo.

Czy Pana codzienna fotografia związana jest z urbexem, czy uwiecznia pan też życie najbliższych w okolicy?

Moja codzienna fotografia nie jest związana stricte z urbexem. Wyjazdy urbexowe są zazwyczaj planowane i przygotowuję się do nich inaczej, jak do typowego wyjścia z aparatem na spacer. Tak, bardzo lubię fotografować najbliższych. Moje dzieci lubią stawać przed aparatem, jak stworzysz odpowiednie warunki, masz ciekawe gadżety, to z chęcią się przebierają i pozują.

Czy uważa pan, że do fotografowania należy jeszcze w dzisiejszych czasach zachęcać, czy może dzięki dostępności aparatów jest już przesytność zdjęć w naszej przestrzeni?

Żyjemy w czasie, gdzie każdy ma przy sobie aparat w postaci telefonu. Telefony z roku na rok są coraz mocniejsze i mają coraz lepsze aparaty fotograficzne, także sądzę, że nie trzeba zachęcać ludzi do fotografowania. W każdym momencie można wyciągnąć z kieszeni telefon i zrobić zdjęcie, a społeczeństwo bardzo chętnie zapełnia swoje telefony zdjęciami, które później drukuje w Rossmanie.

Według mnie nie ma czegoś takiego jak przesytność fotografii w przestrzeni. Każdy inaczej patrzy na dany obiekt fotografii. Zmieniające się światło na przestrzeni dnia tworzy zmieniające się warunki, które powodują to, że każde zdjęcie może być inne. Stawiając paru fotografów przed obiektem, każdy zrobi inne zdjęcie i to jest piękne w fotografii.

Ma pan swoich ulubionych fotografów, artystów, których pan podziwia bądź się na nich wzoruje?

Bardzo lubię twórczość Zdzisława Beksińskiego tak jako malarza, jak i fotografa, bo też miał swój epizod jako fotograf. Malarsko jest dla mnie mistrzem.

Wiktor Franko to portrecista, dla którego atmosfera na zdjęciu i szczerść jest rzeczą najważniejszą. Bardzo chętnie podglądam jego nowe prace, jak i słucham podcastów, gdzie tylko się pojawi jako gość.

Jest ich bardzo wielu, obserwuje ich social media na bieżąco. Traktuję to jako motywację, inspirację i naukę.

W ostatnich dniach kwietnia odbyła się pana wystawa w Bibliotece Kwadro. Czy to był pana pierwszy wernisaż? Jak wrażenia?

Była to moja trzecia wystawa, która jednocześnie przerosła moje najśmielsze oczekiwania. Przybyło bardzo dużo gości, rodzina, przyjaciele czy władarze. Była to ważna dla mnie chwila dlatego, że wystawa odbyła się właśnie w Sztumie. Od dawna o tym marzyłem i się udało. Pomoc i chęci dziewczyn z biblioteki była niezwykła, z takimi ludźmi to można współpracować i realizować swoje marzenia.

Dziękuję za rozmowę, życząc wielu ciekawych opuszczonych lokalizacji do odwiedzenia

Agnieszka Świercz-Karaś

Dotychczasowe wystawy Wojciecha Szarugi:

- 18 września 2021 r. „Ocalić od Zapomnienia” Fundacja MAPA Obywatelska,
- 19 października 2023 r. „Zapomniana Ekspozycja” Biblioteka Miejsko-Powiatowa w Kwidzynie,
- 26 kwietnia 2024 t. „Zapomniane Ekspozycje” Biblioteka KWADRO Sztum.

Prac artysty szukaj na: FB: Szara strefa Urbexu, Instagram: szara_strefa_urbexu



W. Szaruga podczas wystawy w Bibliotece Kwadro

Piotr Napiwodzki



PATRONKA DZIERZGONIA W RÓŻNYCH ODSŁONACH

Po trzech tekstach, które ukazały się w ostatnich numerach *Prowincji*, a które poświęcone były przedstawieniom Patronki Dzierzgonia w sztuce, pojawił się pomysł zaproszenia lokalnych artystów do przyjrzenia się tematowi i do zaproponowania własnej interpretacji. Jest szansa, że akcja przyniesie jeszcze dalsze owoce, ale póki co chciałbym zaprezentować cztery artystyczne odpowiedzi, które – każda z innej strony i w różny sposób – mówi nam coś o św. Katarzynie Aleksandryjskiej, ale przede wszystkim o potencjale drzemiącym tak w samym temacie (tak bogatym w tradycję ikonograficzną), jak i w twórcach, którzy zgodzili odpowiedzieć na zaproszenie. Cieszy także, że część z prac nawiązuje do dzieł omawianych już na łamach *Prowincji* – nigdy za mało twórczego fermentu i wzajemnego inspirowania się. Przejdźmy zatem do prac poszczególnych autorów zaprezentowanych w kolejności alfabetycznej.

Jacek Albrecht, „Św. Katarzyna według rzeźby Zbigniewa Chrostka”, olej na płótnie, 60×40, z cyklu „Pomniki polskie”, 2024

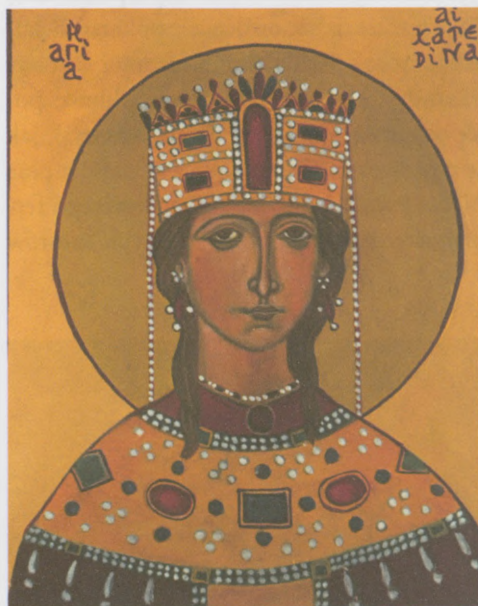
Jacek Albrecht ostatnio znany jest czytelnikom *Prowincji* z serii portretów, które wykonuje sprawnie i chętnie. Bardzo charakterystyczne jest dla nich oszczędne gospodarowanie kolorem – czasami są one prawie monochromatyczne. Stąd też obraz znajdującego się w Dzierzgoniu pomnika Katarzyny Aleksandryjskiej, obraz posagu, jest niejako jednym z wielu portretów Jacka Albrechta. Katarzyna z obrazu jest jakby jedną z żyjących osób – i rzeczywiście, być może pomnik Zbigniewa Chrostka na tyle głęboko żył się z miastem, że tak też, jak żywy, może być traktowany.

Malarz operuje tu głównie światłocieniem skupiając się wyłącznie na górnej części pomnika. Elementem drugoplanowym, ale wydobytym przez naniesienie koloru, jest koło św. Katarzyny. O ile całość obrazu jest wiernym odwzorowaniem dzierzgońskiej rzeźby, to koło wyraźnie odbiega od tej konwencji



przypominając, że mamy jednak do czynienia nie z prostym odwzorowaniem pomnika, ale z autonomicznym obrazem. Kolejnymi takimi typowo malarskimi elementami jest delikatnie naniesiony kolor skóry przełamujący monochromatyczność rzeźby, jak również mocne, granatowe tło, z którego Malarz wydobywa postać Świętej. Na obrazie nie mamy pomnika w swoim otoczeniu, ale rzeczywiście Katarzynę Aleksandryjską namalowaną w oparciu o wizję Zbigniewa Chrostka.

Obraz „Św. Katarzyna według rzeźby Zbigniewa Chrostka” jest częścią cyklu „Pomniki polskie” – wypada bacznie obserwować kolejne prace z tej serii, ciesząc się, że Patronka Dzierzgonia odnalazła w niej swoje miejsce.



Zenon Chrześcijański, „Ikona św. Katarzyny Aleksandryjskiej”

Promując pisanie ikon w Sztumie i okolicach, Zenon Chrześcijański tworzy między innymi wizerunek św. Katarzyny Aleksandryjskiej oparty na jednym z jej najstarszych przedstawień. Należy bowiem zauważyć, że chociaż święta ta żyła w IV wieku, to jej kult zaczął rozwijać się szczególnie dynamicznie od wieku X, a to z kolei związane było z ożywieniem czci oddawanej tej świętej w najstarszym z istniejących do dzisiaj klasztorów chrześcijańskich – w klasztorze Świętej Katarzyny na górze Synaj. Klasztor ten posiada imponujący zbiór ikon (także rzadkich ikon wczesnochrześcijańskich, które tam uniknęły zawirowań ikonoklazmu, a więc czasu niszczenia

ikon), a wśród z nich znajduje się ikona typu „narracyjnego” (typ od XIII wieku obecny także na Zachodzie), przedstawiająca postać św. Katarzyny ze scenami z jej życia. Ikona ta pochodzi z XIII wieku, powstała być może w samym klasztorze na górze Synaj¹. Uwagę zwraca fakt, że Katarzyna ubrana jest w szaty cesarskie – to korona i loros, czyli najczęściej złota, ciężka cesarska szarfa wysadzana klejnotami. Nie jest to nawiązanie do legendy o św. Katarzynie, zgodnie z którą wywodziła się ona z królewskiego rodu w Aleksandrii. Chodzi o tradycję cesarską: początkiem lorosu jest rzymska toga konsularna; w chrześcijańskim cesarstwie loros symbolizował całun Chrystusa, przypominając jego śmierć i zmartwychwstanie. Loros otaczał szyję cesarza, jeden koniec opadał z przodu, drugi oplatał cesarza w pasie i luźno zwisał przerywany przez lewe przedramię. Taki sposób zakładania lorosu utrwalił się właśnie w wieku XIII, a więc w czasie powstania interesującej nas ikony. Z niej natomiast pochodzi przedstawienie oblicza Katarzyny Aleksandryjskiej i elementów jej ubioru odtwarzane w ikonach Zenona Chrześcijańskiego i jego uczniów czy uczennic.

¹ Por. Nancy P. Ševčenko, *The Monastery of Mount Sinai and the Cult of St Catherine*, rozdział XVII w: *The Celebration of the Saints in Byzantine Art and Liturgy*, London 2013.

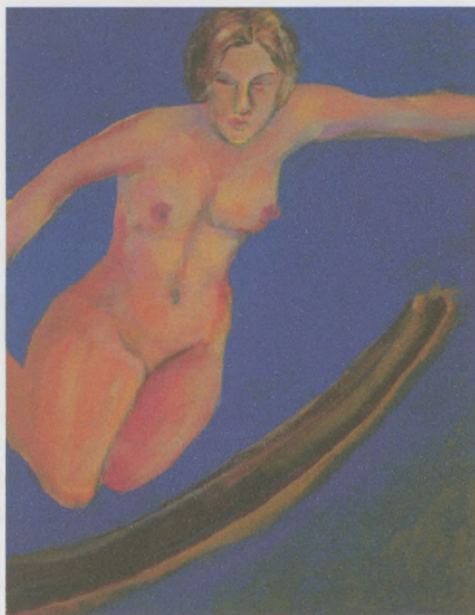


Władza cesarska w Bizancjum to uobecnienie władzy Boga, a więc także uobecnienie jego świętych. Nie przez przypadek więc atrybuty świętych i atrybuty cesarskie przenikały się wzajemnie. Widać to na bizantyjskich ikonach, a z ikoną takiej właśnie proveniencji mamy do czynienia w przypadku naszej, „sztumskiej” ikony św. Katarzyny Aleksandryjskiej.

Katarzyna Aleksandryjska ze scenami jej męczeństwa, początek XIII wieku, tempera i złoto na desce, Klasztor Świętej Katarzyny na Synaju, Egipt

**Agnieszka Rutka-Napiwodzka,
„Św. Katarzyna Aleksandryjska”,
akryl na płótnie, 70×90, 2024**

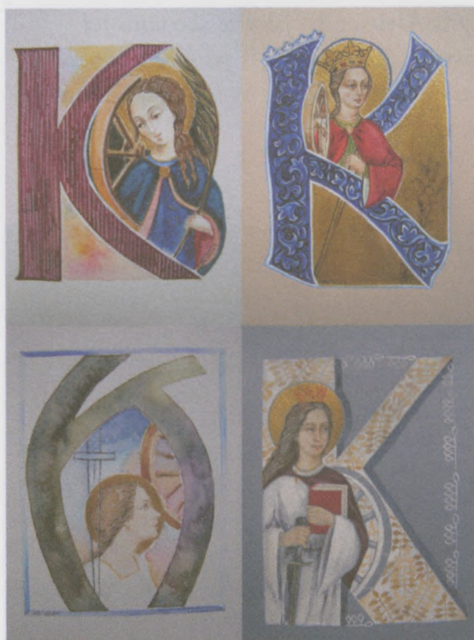
Obraz ten jest dalekim nawiązaniem do św. Katarzyny Michała Anioła przedstawionej w scenie Sądu Ostatecznego w Kaplicy Sykstyńskiej (uważni czytelnicy *Prowincji* pamiętają, że pierwotnie postać ta była naga, a jej aktualna zielona szata nie pochodzi od Michała Anioła)². Katarzyna Aleksandryjska pędzla Agnieszki Rutki-Napiwodzkiej nie jest już jednak postacią strzegącą granicy pomiędzy potępionymi ściąganyymi w dół przez szatanów a zbawionymi dążącymi w górę. Jest tu przedstawiona samotnie i unosi się w bezkresnym błękitcie. Jej nagość jest symbolem czystości, koło – atrybut męki – jest mocno i wyraźnie zasugerowane kształtem dominującym w dolnej części obrazu. Ten wybijający się kolorystycznie element jest ważnym zabiegiem nadającym obrazowi dynamikę i wywołującym poczucie ruchu. Innym wartym dostrzeżenia szczegółem jest fakt, że u dołu kompozycji błękit jest „zanieczyszczony”, co wskazuje na oddalanie się przedstawionej postaci od spraw ziemskich. Świat poniżej



² Pot. *Prowincja*, 3 (53) 2023, s. 112–118.

nie jest światem idealnym, co jest delikatnie unaocznione przez kontrast pomiędzy pełnym błękitem tła całego obrazu, a lekko żółtym prawym dolnym rogiem kompozycji.

Katarzyna patrzy być może w dół, być może w kierunku obserwatora obrazu, spojrzeniem surowym i niepokojącym. Nie jest tak muskularna, jak u Michała Anioła, ale jej ciało zachowuje spójność i emanuje energią. Jej dłonie są niewidoczne, a więc jej działanie nie jest bezpośrednio widoczne – nie wiemy, gdzie, jak i czy w ogóle Święta interweniuje – pozostaje tajemnicza i w jakiś sposób groźna i to pomimo nagości kojarzonej zwykle z bezbronnością. Tu właśnie wyraźnie widać, że siła Katarzyny tkwi poza nią i wypływa z ruchu, który ją unosi. Ostatecznie, jak możemy się domyślać, jest to siła samego Boga, który człowieka nagim stworzył i nagięto do siebie wzywa.



Irena Zmysłowska, „Św. Katarzyna Aleksandryjska”, akwarela i gwasz na papierze, 4 razy 18x25, 2024

Cztery rysunki Ireny Zmysłowskiej nawiązują luźno – jak stwierdza sama Autorka – do malarstwa iluminatorskiego i tablicowego. Konstrukcję ich kompozycji stanowią ozdobne inicjały. Inicjał to nie tylko pierwsza litera imienia (czy nazwiska), ale także nawiązanie do tradycji inicjałów rozpoczynających akapit tekstu (zwłaszcza dawnych rękopisów), o różnym kształcie i wielkości, najczęściej w rozmiarze zdecydowanie większym niż pismo tekstu, ujętych w formie kwadratowej lub owalnej. Taki inicjał, oprócz funkcji ozdobnej, jest rodzajem wprowadzenia w tekst – w naszym przypadku jest początkiem opowieści o Katarzynie – czy to o św.

Katarzynie Aleksandryjskiej, czy to o osobie uznającej ją za swoją patronkę i noszącą to samo imię. Rysunki mają więc prowadzić dalej, jedynie inicjują proces zapoznawania się z postacią Świętej.

Oprócz oczywistego nawiązania prac do średniowiecza przez pomysł inicjałów, sam rysunek – delikatny i ozdobny – przywodzi na myśl sztukę wieku XIX, zwłaszcza tradycję prerafaelitów. Symbolicznie (choć realistycznie) zasygnalizowane atrybuty świętej wprowadzają bardzo subtelną dramaturgię, są elementem kompozycji harmonijnie wkomponowanym w całość przedstawienia. Rysunki mają więc oczywistą wartość dekoracyjną, ale są też otwarte na interpretacje teologiczne. Tego typu przedstawienie zaprasza również do medytacji nad samym imieniem (czy też jego pierwszą literą), a więc praktyki obecnej, chociaż nieco zapomnianej, w szeroko rozumianej tradycji mistyki judeo-chrześcijańskiej.

Paulina Hoppe-Gołębiwska



IRONICZNY PRZEWODNIK PRZETRWANIA RODZICA

Bycie rodzicem to nawet nie praca na cały etat, a raczej praca na całą dobę, w której urlop zależy od tego, czy dzieci pojadą na biwak, albo zlituje się babcia i przygarnie na weekend latorośl. Praca ta komplikuje się, gdy w domu jest dociekliwy pięciolatek, który opanował wyrzucanie słów niczym fontanna wodę. Boleśnie odczuwam takie akcje, gdy zmęczona wracam do domu, a Oski szczebiocze nieprzerwanie, na przemian pytając lub wygłaszając swoje spostrzeżenia. Niektórzy powiedzą, że będę za tym kiedyś tęsknić, jednak znając siebie, raczej nie za tym. Prędeż za słodkością małej twarzyczki, szczerym spojrzeniem i ujmującym uśmiechem. A z potokiem słów próbuję sobie radzić na swój własny, matczyńsko-ironiczny sposób.

Moim flagowym manewrem obronnym, póki mieszałam z byłym mężem, było stwierdzenie: „nie wiem Kochanie, tata lepiej ogarnia te sprawy. Spytaj Go.” Może i jest to przyznanie się do niewiedzy, a feministki powiedzą, że umniejszam swoją inteligencję, poddając się męskiemu punktowi widzenia. Jednak do feminizmu mi daleko i nie poczuwam się do roli obrończyni kobiecej samodzielności. Wyznaję zasadę, że obowiązki rodzica należy dzielić po równo oraz, że także mężczyźnie należy dać szansę wykazać się w roli ojca. Dlatego metodę delegacji stosowałam bez wyrzutów sumienia i z pełną odpowiedzialnością, czerpiąc siły z chwili spokoju, jaką w ten sposób udało mi się uzyskać.

Teraz, kiedy mieszkam sama, staram się opracować nową taktykę. Jak wiesz, Drogi Czytelniku, pamięć dzieci jest krótkotrwała, więc bezpośrednia delegacja jest znacząco utrudniona. Dlatego też rozważam „telefon do taty” na bieżąco lub założenie zeszytu ze szczególnym przeznaczeniem. Coś w rodzaju złotych myśli dla taty: będziemy spisywać pytania i czekać na odpowiedzi od ojca. Jeszcze nie zdecydowałam, która wersja mi pasuje i nic nie jest przesądzone, jestem otwarta także na nowe możliwości.

Często też stosuję metodę dość drastyczną, a przewrażliwieni rodzice stwierdzą, że podkopuję rodzicielski autorytet, jednak ja zupełnie nie mam z tym problemu. Lawinę pytań ucinam krótkim, strategicznym „nie wiem”. Niewychowawcze? Według mnie wręcz przeciwnie. Nie boję się pokazywać moim dzieciom, że rodzic też człowiek, a nie chodząca Wikipedia. Mogę czegoś nie wiedzieć, mam prawo do tej niewiedzy się przyznać, udowadniając, że to nie grzech. Metoda ta ma dwie wersje: zdecydowane ucięcie tematu z wyrazistą kropką na końcu. Dzięki temu zyskujemy upragniony spokój. W najgorszym wypadku płynne przejście do kolejnych zagadnień, które będzie trzeba potraktować w ten sam sposób, by wytrwale dotrzeć do upragnionego spokoju. Jest jeszcze wersja soft, którą stosuję w przypadku, gdy temat wyda mi się ciekawy i warty pociągnięcia. „Nie wiem, ale możemy sprawdzić za chwilę/w domu/jak wrócimy.” Ta wersja jest jedną z moich ulubionych, bo

pozwała wspólnie znaleźć odpowiedź na ciekawe pytanie, pozwala konstruktywnie spędzać czas z dzieckiem i pokazuje, jak samemu szukać odpowiedzi na nurtujące pytania. Niespodziewanym bonusem jest to, że czasem pięciolatek się znudzi jeszcze zanim znajdzie odpowiedź w sieci. Rodzicielski autorytet nie ucierpiał, a temat został zapomniany.

Kolejna metoda pozwala nam ćwiczyć kreatywność, równocześnie ucinając w zabawny sposób temat. Na przykład na pytanie „Dlaczego nie możemy mieć psa?” odpowiadamy: „Bo pies musi mieć własne biuro do pracy zdalnej, a my nie mamy tyle miejsca w domu”, lub „Psy mają swoje paszporty i specjalne wizy, a w naszym kraju trudno je dostać. Może kiedyś to się zmieni.” Tu ogranicza nas tylko wyobraźnia, a śmiechu może być co niemiara: stara tradycja rodzinna na sprzątanie pokoju, badania nad magią jakiegoś miejsca, magiczne króliki, zagadka detektywistyczna. Największe absurdy dostosowane do wieku potrafią zdziałać cuda, no i nikt ci nie zarzuci braku zaangażowania. To co, że jest ono trochę dziwne? Świat i ludzie też są dziwni i jakoś wiele osób przyjmuje to za normę.

No dobrze, kwestię pytań mamy omówioną. A co ze słowotokami? To ten moment, w którym pięciolatek gada i gada, nie tylko zadaje pytania, na które sobie odpowiada, ale wygłasza teorie i sprostowania, zlewające się w jeden potok nieprzerwanych słów. Żadnych kropek, przecinków czy spacji. Wszystko idzie razem.

Co wtedy? Moja rada: przyjmij to jako swoje przeznaczenie. Pogódź się z faktem i zamień się w mistrza pozornego zainteresowania. Po pierwsze o płytkości twojej uwagi wiesz tylko Ty, a po drugie nie czyni to z Ciebie złego opiekuna. Przepraszam bardzo, ile nasza rodzicielska świadomość może znieść historii o przygodach z plasteliną czy zajęczkiem w rajach marchewek. Przytakuj, zadawaj pytania w stylu: „Aha, i co o tym myślisz?”, „O! Naprawdę? I co na to Kuba?” itp. itd. Wiem, że bywają sytuacje, w których po prostu nie mamy już siły udawać. Szczególnie w chwili, gdy przedszkolak wypowiada zdanie numer tysiąc osiemset dwadzieścia sześć. Wtedy sięgam po staroindyjską sztukę milczenia. Czasem ewentualnie skinę głową lub wymownie spojrzę. Czy to działa? Oczywiście, że w większości przypadków nie działa, ale mam przynajmniej poczucie, że próbowałam zawalczyć o siebie. Nie zginać w tym chaosie zdań i refleksji otaczającego świata. Jeśli już wejdziesz w tryb walki o przetrwanie w potoku słów, możesz spróbować kolejnej sztuki ratunku, jednak ta już wymaga większego poziomu skupienia i kreatywności. Możesz na przykład spróbować wyobrazić sobie, że słowa twojego dziecka to melodyjna pieśń ptaków, symbolizująca radosny poranek w krainie wiecznej harmonii. W sytuacji, gdy słowa pięciolatka stają się bardziej uporczywe niż wesole wrzaski na polu bitwy krasnoludów, odkrywanie nowych światów to świetna alternatywa, która pozwoli uratować resztki równowagi psychicznej, jaka jeszcze się tli. Ledwo, bo ledwo... ale jednak. Odkryj w zakamarkach swojego *ja* magiczny kąt, z fotelem i rozpalonym kominkiem. Możesz też zamienić fotel na poduszkę do medytacji, kozetkę lub łóżko wodne – wybieraj, co potrzebujesz. Do swojego bezpiecznego miejsca zabierz dobrą energię i wszystko, co uznasz za niezbędne. Co jakiś czas wyłapuj pojedyncze słowa – nie jesteś przecież taką ignorantką/ignorantem – i pomrukuj przytakująco, po czym wracaj do strefy komfortu, w której nikt ci nie wadzi. Jeśli wolisz mniej statyczne rozwiązania, wyobraź sobie, że jesteś elfem, który skacze z każdego słowa na słowo, które pada z ust małego agresora. Możesz nawet pokusić się o włożenie elfiej szaty, tiulowej kiecki

czy zwiewnego welonu. W takiej chwili nic, co dobre i dziecięce, nie jest zabronione, bo obrona taktyka pozwala pielęgnować twoje wewnętrzne dziecko. Wszyscy coachowie tego świata mówią o tym, jak ważne jest zadbanie o tę część naszego duchowego życia. Wiesz, nic nie rozwiązuje lepiej problemów, niż skakanie po kałużach deszczu i zamykanie oczu na obowiązki dorosłego życia. Ja proponuję elfie skoki po słowach wyrzucanych z ciała pięcioletniego oratora, bo to spełnia to dwie role: ratunkową i pielęgnacyjną. Dwie pieczenie, no nie?

Czy to, co napisałam, ma sens? Po przeczytaniu całości, dla mnie tak, jednak jeśli dla ciebie niekoniecznie, pozostaje ostateczne rozwiązanie: uwolnij swoją wewnętrzną jednoróżkę. Jednoróżce to niezwykle twarde zwierzęta, które przetrwają każdą burzę, biegają po tęczy i radośnie stają na tylnych kopytkach. Nie myśl, że to totalnie powalona rada. Szukasz ratunku w mojej rubryce, będąc o włos od szaleństwa, zagadana/zagadany na śmierć przez własne dziecko. Kto tu bardziej jest szalony?

Bycie rodzicem to nawet nie praca na cały etat, a raczej praca na całą dobę, w której urlop zależy od tego, czy dzieci pojedą na biwak, albo zlituje się babcia i przygarnie na weekend latorośl. Praca ta komplikuje się, gdy w domu jest dociekliwy pięcioletek, który opanował wyrzucanie słów niczym fontanna wodę. Teraz jednak jesteś wyposażony w plecak równie szalonych porad i jesteś gotowa/wy na wycieczkę do krainy nonsensu, gdzie spokój to tylko złudzenie, a milczenie jest zapomnianym luksusem. Nie zapomnij elfiej spódniczki i kozetki. Na pewno się przydadzą.

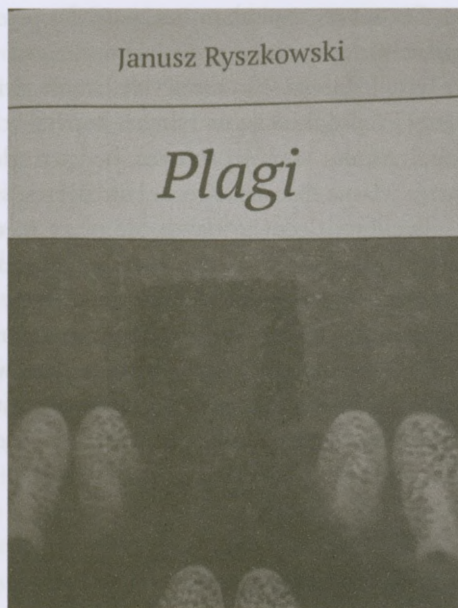
Piotr Napiwodzki

O POEZJI PARĘ (BYĆ MOŻE ZBĘDNYCH) SŁÓW

Janusz Ryszkowski, *Plagi*, 2024.

Niegdyś poezję rozumiałem jako sztukę odsłaniania się poety – miałby to być rodzaj ukazywania swoich przeżyć, postrzegania świata, emocji, a więc ostatecznie ukazywania samego siebie. Obcując z poezją – co prawda nieregularnie, ale intensywnie – doszedłem do przekonania, że poezja to o wiele bardziej sztuka zasłaniania: to rodzaj ukrywania swoich przeżyć, postrzegania świata, emocji, a więc ostatecznie ukrywania samego siebie. W tym drugim poglądzie utwierdza mnie także najnowszy tomik poetycki Janusza Ryszkowskiego. Mam nieodparte wrażenie, że Autor skutecznie i bardzo twórczo ukrywa się za kunsztowną zasłoną słów, niedopowiedzeń, przenośni, nawiązań do różnorodnych sytuacji. To bardziej teatr, niż osobiste wyznanie, co w niczym nie ujmuje autentyczności czy oryginalności. Wprost przeciwnie – to poezja dojrzała, bo uniwersalna, zaangażowana, a przecież zdystansowana, bliska konkretnej egzystencji, a przecież czyniąca swoim tematem tęsknoty i lęki powszechne i absolutne.

Oczywiście, dla tych, którzy Autora znają lepiej, utwory te mogą powiedzieć więcej, ale nie dajmy się zwieść – dla wszystkich jest to zaproszenie do podjęcia swoistej gry – gry wyobraźni, a przede wszystkim gry słów, które kończą się zwykle niespodziewanie, urywają w momencie, w którym czekamy na ostateczne dopowiedzenie, na uroczysty finał. Nikt nie jest w sytuacji jednoznacznie uprzywilejowanej, bo poezja zawsze wymaga pewnego rodzaju skupienia czy też



otwarcia na podążanie za Autorem i uzupełnianie jego słów tym, co one wzbudzają w nas, co jest owocem naszej konfrontacji z jego słowem. Tak, wiele osób będzie znało konkretne osoby, o których jest dany utwór, będzie potrafiło przyporządkować dany wiersz do konkretnych okoliczności czy sytuacji, ale to w końcu nie na tym polega czytanie poezji, nie musi to być nauczane (przynajmniej kiedyś) w szkole poszukiwanie źródeł inspiracji czy nawiązań do mniej lub bardziej aktualnych wydarzeń. Sama gra słów jest już wystarczającym wyzwaniem i źródłem satysfakcji, zwłaszcza, gdy uda się podczas lektury uruchomić coś w swoim własnym patrzeniu na rzeczywistość.

Cóż, taki urok poezji (a prawdopodobnie każdej sztuki) – chodzi w niej o to, aby nas zadziwić, zaniepokoić, zasmucić,

czasami rozbawić – a najczęściej wszystko na raz i taki właśnie zabieg, szybkiego przejścia od banalnej rzeczywistości do głębokiej zadumy – uważam ze szczególnie udany w tomiku Janusza Ryszkowskiego. Na przestrzeni sześciu, ośmiu wersów czytelnik jest w stanie parsknąć śmiechem i się przestraszyć, na początku utworu się ucieszyć, a na końcu zatrwożyć (lub odwrotnie). Ta poezja uczy, jak bardzo krótka może być droga od zwykłych spotkań i od pospolitych rzeczy do metafizycznej refleksji czy melancholijnej zadumy. Ten „żaden materiał na wiersz” staje się punktem wyjścia do popatrzenia na świat z dystansem umożliwiającym szerszą perspektywę – a to wszystko bez pretensji do jakiegoś ogólnego i wyczerpującego ujęcia. To raczej zaproszenie do spojrzenia na to, co powszechne, w sposób, który

unieszkodliwia banał i powszedniość, co pozwala na wyrwanie się i wzniesienie na inny poziom przetwarzania docierających do nas informacji – niezależnie od tego, czy to powierzchowny bełkot mass mediów, czy przesywający bólem nekrolog bliskiej nam osoby. Okazuje się, że wszystko może być punktem wyjścia i punktem dojścia, a poeta może ewentualnie pomóc w umiejscowieniu się pomiędzy tymi punktami.

„Plaga” to – według słowników – zjawisko groźne, szerzące się i trudne do opamiętania, być może dokuczliwe. To słowo nieczęsto już używane, kojarzone bardziej z Biblią niż z życiem codziennym. Nawiazania biblijne brzmią mniej pewnie w dzisiejszym świecie, gdzie „każdy uważa się za boga po krótkim e-kursie”, ale nawiedzających nas plag nie brakuje. „Plagi” Janusza Ryszkowskiego to próba poetyckiego zmierzania się z tego typu zjawiskami i niejako ich rozbijanie. Być może trzeba je nazwać i opisać, ale też być może trzeba nad nimi zamilknąć, bo w końcu jedną z funkcji poezji jest wprowadzanie w umiejętność zamilknięcia. Dobra poezja – jak mówią niektórzy – to nie ta, która wypełnia nasz umysł wielością słów, ale ta, która prowadzi do zamilknięcia, która sprawia, że pozostajemy bez słów. Naprawdę – po obcowaniu z poezją Janusza Ryszkowskiego chce się pomilczeć, a więc konsekwentnie to krótkie omówienie wypada zakończyć i jedynie gorąco lekturę tę polecić.

Wacław Bielecki – od 1947 roku mieszkaniec Nowego Stawu, a od 1974 roku Sztumu. Absolwent pedagogiki Uniwersytetu Gdańskiego. Pracował jako nauczyciel w Szkole Podstawowej w Nowym Stawie i asystent w Katedrze Pedagogiki UMK w Toruniu. W 1980/81 roku redaktor naczelny tygodnika „Sztumska Solidarność”, a na przełomie lat 1989/90 członek kolegium redakcyjnego tego czasopisma. Odznaczony Krzyżem Wolności i Solidarności. Dyrektor Poradni Wychowawczo-Zawodowej oraz szkół medycznych w Sztumie. Meloman, autor książki *Zapiski melomana z prowincji*.

Jan Chłosta – dr nauk humanistycznych, wiceprezes Towarzystwa Naukowego im. Wojciecha Kętrzyńskiego, autor ponad 30 książek i 500 artykułów, poświęconych przeszłości Warmii i Mazur, w tym piśmiennictwu – *Warmia i Mazury w literaturze polskiej i niemieckiej w latach 1994–1995*, leksykonów – *Słownik Warmii*, prac o Wydawnictwie „Gazety Olsztyńskiej” i ludziach z nią związanych.

Krzysztof Czyzewski – eseista i animator działań międzykulturowych; twórca Fundacji „Pogranicze” i Ośrodka „Pogranicze – sztuk, kultur, narodów” w Sejnach; redaktor naczelny pisma „Krasnogruda” i szef Wydawnictwa Pogranicze, w którym redaguje m.in. serie „Meridian” oraz „Sąsiedzi”. Autor książek *Ścieżka pogranicza* (2001), *Linia powrotu. Zapiski z pogranicza* (2008), *Małe centrum świata* (2017). Wykładowca m.in. Uniwersytetu Warszawskiego, Uniwersytetu Wileńskiego, New School University (Nowy Jork), Transregional Center for Democratic Studies (Kraków), Boston University. Laureat Medalu św. Jerzego, nagród A. Gieysztorą i J. Giedroycia, nagrody Forum Ekonomicznego w Krynicy „Nowa Kultura Nowej Europy”. Laureat nagrody NEPTUNA, przyznawaną przez miasto Gdańsk.

Paulina Hoppe-Gołębiwska – ur. w 1986 roku w Malborku, mieszkanka Sztumu od 2007 roku. Związana z fundacją Damy Radę, asystentka do spraw marketingu w Malborskiej firmie So Chic. W 2013 roku założyła blog pod nazwą Radość i Partyzantka. W 2021 przemianowała go na paulapisze.pl, gdzie w dalszym ciągu z dystansem pisze o codziennych sprawach.

Andrzej Kasperek – ur. w 1958 roku, absolwent polonistyki na Uniwersytecie Gdańskim (seminarium prof. Marii Janion), pisarz, badacz literatury, działacz opozycji demokratycznej (jeden z założycieli Niezależnego Zrzeszenia Studentów), doktor nauk humanistycznych; od 1985 zajmuje się pracą nauczycielską (Liceum Ogólnokształcące w Nowym Dworze Gdańskim). Nominowany do Finału Nagrody Literackiej Gdynia 2011 za książkę *Back in the DDR i inne opowiadania* (2010). Autor tomu esejów *Galeria Jacka Kaczmarskiego. Skrzydło wschodnie* (2013) oraz tomu opowiadań *Koronczarka* (2013). W 2018 wydał *Mój płaski kraj Żuławy*. Odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (2012). Żuławiak od urodzenia.

Beata Langowska – nauczycielka języka polskiego w Szkole Podstawowej w Waplewie Wielkim. Poetka, w ramach Stypendium Kulturalnego Starosty Sztumskiego wydała tomik poetycki *Słowa szemrane*.

Andrzej C. Leszczyński – urodził się w Chodzieży. Eseista, wykładowca akademicki, okazjonalnie nauczyciel licealny. Studiował pedagogikę i filozofię. Autor pięciu książek i ponad 200 rozpraw i szkiców z zakresu filozofii człowieka, etyki, antropologii teatru. Promotor ponad stu prac magisterskich i licencjackich. Prowadził teatralne warsztaty komunikacji i ekspresji w kraju i za granicą.

Andrzej Lubiński – ur. w 1952 roku w Gniewie. Absolwent historii w UMK w Toruniu. Prezes Towarzystwa Miłośników Sztumu. Publikacje w „Komunikatach Warmińsko-Mazurskich” „Studiach Elbląskich”, „Roczniku Elbląskim”, „Prowincji”, „Z dziejów Sztumu i okolic”. Autor książki *W ich snach powracała Polska*. Mieszka w Sztumie.

Alicja Łukawska – ur. w 1959 roku, absolwentka filologii polskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Bydgoszczy, później pracownik naukowy tejże uczelni, dziennikarka prasy lokalnej i krajowej, autorka książki *Duchy Kresów Wschodnich* wydanej w 2018 roku w wyd. von Borowiecky, współautorka książki *Córka organisty. Wspomnienia mieszkanki Pomorza*.

Piotr Napiwodzki – ur. w 1972 roku w Jeleniej Górze, teolog, filozof, tłumacz, były dominikanin. W 2005 obronił doktorat na Uniwersytecie we Fryburgu Szwajcarskim. W latach 2006–2010 rektor

Kolegium Filozoficzno-Teologicznego Dominikanów w Krakowie. Ostatnio w Bibliotece Prowincji wydał *Małe obrazki, proste scenki. Powiślańskim szlakiem Wilhelma z Modeny i losy całkiem współczesnych osadników* (2020). Od 2010 mieszka w Koślince koło Sztumu.

Wiesław Olszewski – ur. w 1957 roku. Absolwent Akademii Rolniczo-Technicznej w Olsztynie, rolnik. Inicjator reaktywacji struktur Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego w Nowym Dworze Gdańskim. Przewodnik po Muzeum Stutthof oraz Muzeum Zamkowym w Malborku.

Piotr Podlewski – absolwent historii na UW-M w Olsztynie i etnologii na UMK w Toruniu. Współzałożyciel kanału historycznego na platformie YouTube *Penetracje wokół Sztumu* i autor książki pod tym samym tytułem (2021) oraz *Żywy zmarłych* (2013). Nauczyciel historii i muzyki. Mieszka w Sztumie.

Stefan Rusin – ur. w 1946 r., poeta, pisarz, krytyk literacki, plastyk (malarz, rysownik, grafik, plakacista). Opublikował kilkadziesiąt zbiorów wierszy, ostatnio „Bez retuszu” (Biblioteka „Toposu” 2023), zbiory szkiców i esejów, także związanych z regionem. Mieszka w Koninie.

Janusz Ryszkowski – ur. w 1955 roku w Opaleniu. Ostatnio opublikował tomik wierszy *Stacja przedostatnia* (2014), *Morawscy – pięć pokoleń i pół. Patchwork historyczno-literacki z Powiśla i Kociewia* (2014), redaktor książki Józefa Borzyszkowskiego i Marka Stażewskiego *Dzieje Sztumu 1806–1945* (2014).

Ryszard Rząd – ur. w 1958 roku, historyk, absolwent KUL. Pracownik Muzeum Zamkowego w Malborku. Autor szeregu publikacji poświęconych dziejom odbudowy zamku w Malborku na przełomie XIX i XX wieku.

Leszek Sarnowski – ur. w 1959 roku w Barcinie na Kujawach. Absolwent historii Uniwersytetu Gdańskiego. Współpracował z „Gazetą Wyborczą”, „Dziennikiem Bałtyckim”, „Radiem Gdańsk”, „Radiem Plus”, „TVP Olsztyn”, „TVP Gdańsk”. Redaktor naczelny „Sztumskiej Solidarności” i „Gazety Sztumskiej” w latach 1989–1993. Pomysłodawca, wydawca i redaktor naczelny kwartalnika „Prowincja”. Autor książki *Sztumska droga do wolności* (2017), *Ocalona pamięć. Żydzi na ziemi sztumskiej* (2018) oraz *Franciszek Baumgart. Osaczony bohater* (2024).

Mariusz Stawarski – ur. w 1961 roku. Absolwent Wydziału Architektury Wnętrz Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Gdańsku. Od 1990 roku pracuje w zamku w Malborku, gdzie zajmuje się wystawiennictwem i grafiką użytkową. Od 1986 roku zajmuje się malarstwem liryczno-groteskowym, wystawianym i nagradzonym w wielu krajach i zagranicznych konkursach. Mieszka w Malborku.

Marek Suchar – z wykształcenia psycholog oraz absolwent studiów z zakresu judaistyki i archeologii biblijnej, nauczyciel akademicki na sopockim Wydziale Uniwersytetu SWPS w Sopocie. Autor czterech książek i licznych artykułów poświęconych historii i teraźniejszości Jerozolimy. Ostatnio ukazała się drukiem jego powieść *Kwadrat jerozolimski*.

Agnieszka Świercz-Karaś – absolwentka Uniwersytetu Gdańskiego. Od początku kariery zawodowej związana z samorządem i lokalnymi mediami. Wieloletnia redaktor naczelna „Nowin Gniewskich”, współpracowała m.in. z TVP i Wydawnictwem Pomorskim. Obecnie zatrudniona w Starostwie Powiatowym w Sztumie i zaangażowana w tworzenie nowego wydawnictwa „Dzień Dobry Powiat Sztumski”.

Zbigniew Jerzy Woś – płk w st. spocz. mgr inż., rocznik 1956, Urodzony w Nałęczowie na Lubelszczyźnie. W młodości mieszkał w Jarnołtowie i Olsztynie na Warmii i Mazurach, od 1980 w Warszawie. Po ukończeniu studiów wojskowych o profilu politechnicznym studiował politologię oraz ochronę i kształtowanie środowiska. Przez wiele lat pracował na stanowiskach kierowniczych w Instytucjach Centralnych MON. Obecnie na emeryturze. Prywatnie interesuje się historią Prus. Współuczestniczy w prowadzeniu portalu www.jarnoltowo.pl, gdzie opublikował wiele artykułów dotyczących historii Jarnołtowa i najbliższych jego okolic.

Łukasz Walendziak – ur. w 1983 roku w Gdańsku. Piszę o sobie: „W 2015 roku stałem na skraju przepaści. Limit głupot, błędów i porażek już wyczerpałem. Za mną były spalone mosty a dookoła zgłiszcza. W akcie desperacji zdecydowałem się na ucieczkę przed samym sobą. Bilet w jedną stronę do Nepalu. Z perspektywy dnia dzisiejszego, śmiało mogę jednak stwierdzić, że cały ten trud nie

poszedł na marne. Były to korepetycje w zakresie odpowiedzialności, samodzielności, radości życia czy poczucia własnej wartości”.

Arkadiusz Welniak – ur. w 1973 roku, historyk archiwista, genealog. W latach 1999–2011 kustosz i kierownik Oddziału w Archiwum Państwowym. Od 2011 roku pracujący w branży usług archiwistycznych, dokumentacyjnych i genealogicznych, w międzynarodowej firmie GEN Gesellschaft w Berlinie. Aktywny członek Towarzystwa Genealogicznego Prus Wschodnich i Zachodnich. Publikował m.in. na łamach „Rocznika Elbląskiego”, „Przeglądu Zachodniego”, „Archeionu”, „Archiwisty Polskiego” oraz periodyków genealogicznych w Niemczech. Zainteresowania naukowe koncentrują się wokół problematyki polsko-niemieckiego pogranicza w XIX i XX wieku. Praca doktorska dotycząca kwestii migracyjnych, demograficznych i społecznych Elbląga w latach 1945–1950, obroniona na Uniwersytecie Gdańskim. Miłośnik muzyki, twórczości Güntera Grassa i literatury współczesnej.

Piotr Zawada – pasjonat historii, w szczególności epoki napoleońskiej. Z wykształcenia ekonomista, posiada też licencjat z historii. Od 2002 roku w polskim ruchu rekonstrukcyjnym epoki napoleońskiej. Dowódca Pułku 12 Piechoty Księstwa Warszawskiego z Gdańska. Autor książek: *Sojusznik czy wróg? Armia rosyjska w kampanii galicyjskiej 1809 roku* (2009) oraz *Victor za Bluchera. O marszałkach epoki napoleońskiej z polskimi ziemiami* (2020).

Biblioteka Kwartalnika Prowincja



Leszek Sarnowski

FRANCISZEK BAUMGART

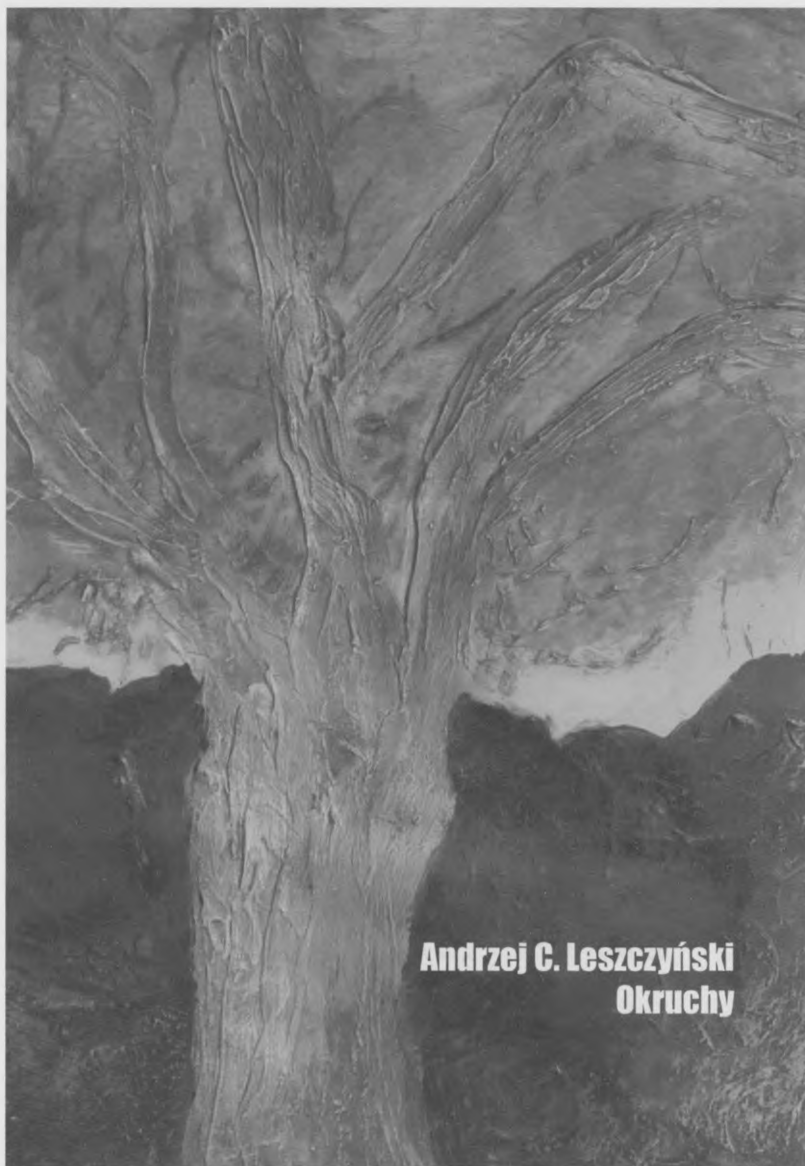
OSACZONY BOHATER

Publikacje można zamawiać na

provincja@onet.pl

Można również zamawiać archiwalne numery Prowincji

Biblioteka Kwartalnika Prowincja



Andrzej C. Leszczyński
Okruchy

Publikacje można zamawiać na

prowincja@onet.pl

Można również zamawiać archiwalne numery Prowincji

Biblioteka Kwartalnika Prowincja

**SIERAKOWSCY Z WAPLEWA
HISTORIE MYŚLIWSKIE**

Adam Langowski



Publikacje można zamawiać na

provincja@onet.pl

Można również zamawiać archiwalne numery Prowincji

Biblioteka Kwartalnika Prowincja

PIOTR PODLEWSKI

ŻYWOTY ZMARŁYCH

PLYTY NAGROBNE NA POWIŚLU XIV–XVIII W.



PENETRACJE PO POWIŚLU

Publikacje można zamawiać na

prowincja@onet.pl

Można również zamawiać archiwalne numery Prowincji



PRACE FOTOGRAFICZNE WOJCIECHA SZARUGI

